

ZEMSTA RYWALA.

OBRAZEK MAŁOMIEJSKI.

82
Mieczysław Czerneda.
(M. Bierzyński).

20
SZKICE



M. Piotrowska

WARSZAWA.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

Teddera Paprockiego i S-ki.
41. Nowy-Świat 41.

1892.

02084



PRZEDMOWA WYDAWCY.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Апрѣля 1891 года.

Życiu zmarłego w 1889 r. Mieczysław Jana Bierzyńskiego wiemy niewiele. Urodził się w r. 1857 w Kielcach. W r. 1881 skończył w uniwersytecie warszawskim wydział prawny ze stopniem kandydata. W uniwersytecie pracował nad prawem polskim; między innemi napisał rozprawę p. t. *Przywileje Żydów w Kazimierzu Dolnym nad Wisłą*, rzecz opartą na nieznanych dokumentach, którą uniwersytet własnym kosztem postanowił wydać.

Jeszcze będąc studentem, pracować począł na polu dziennikarsko-literackiem. Było to początkowo próbowanie sił, poszukiwanie dro-

gi właściwej. W r. 1878 wstąpił do redakcyi Wędrowca, gdzie pomieszczał tłumaczenia rozmaitych podróży, jak Stanley'a *Tajemnicza część świata*, *Z Orenburga do Samarkandy*, *Podróż do południowej Afryki* i t. d. W r. 1880 objął obowiązki sekretarza redakcyi Ekonomisty, gdzie drukował bieżące artykuły ekonomiczne, nadto obszerniejszą pracę p. t. *Z dziejów miast polskich*.

Od r. 1881 był członkiem redakcyi Kurjera Warszawskiego. W r. 1882, na żądanie Bolesława Prusa, wszedł do składu redakcyi Nowin, po upadku których pracował w Gazecie Polskiej. Od r. 1884 osiadł w Kielcach, gdzie był adwokatem przysięgłym i pracował na polu beletrystyki pod pseudonimem Mieczysława Czernedy. I na polu beletrystyki nieprędko znalazł Czerneda właściwy swój klawisz. Tłumaczył białym wierszem Wilhelma Tella (Szyller) i Skąpego rycerza (Puszkina). Nadto drukował w Tygodniku Ilustrowanym urywek z oryginalnego dramatu p. t. *Sędziwój*. Wreszcie pióro swoje skierował ku noweliście; nie wiadomo oczywiście, czy z tych skromnych zaczątków nie wytworzyłby się

jaki utwór większego zakroju. Ten jednakże spadek, jaki pozostawił po sobie Czerneda, mimo skromnych rozmiarów, pozwala nam na taką hipotezę; widzimy w nim bowiem indywidualność skończoną i inteligentną, która szybko doszła do świadomości swego przeznaczenia. W całym tym zbiorze znajdzie się tylko jeden lub dwa obrazki nieodpowiednie, niezgodne z właściwym temperamentem autora. Jest to *Zemsta rywala*, quasi humorystyczna historya miłości. Zdaje się, że rodzaj psychologiczno-erotyczny nie leżał w naturze talentu autora; chociaż nieco dalej znajdujemy drobny szkic *O zmroku*, nader subtelnie przedstawiający uczucia serdeczne. Również nie były w naturze talentu Czernedy szerokie uogólnienia filozoficzne; i jakkolwiek nie zbywało mu na szlachetnych, idealnych popędach, w sztuce był on realistą, w najdodatniejszym znaczeniu tego wyrazu. Ściśle biorąc, między idealizmem a realizmem w sztuce można by postawić taką granicę, jak między pojęciem ogólnym a szczególnym. Idealista — z wyżyn już-to swojej nieprzejedнанej osobowości, już-to z bezwzględного punktu swój doktryny — nie do-

strzeża bynajmniej drobnych różnic, jakiemi odznacza się każda niemal fizyognomia w szarym tłumie maluczkich; dla niego są to tylko figuranci, służący za dekoracyę w działaniu „istot wyższych.” Dla idealisty istnieje tylko Faust, Werter, Manfred i t. p. postaci. Jeżeli weźmie on postać z tłumu, to i w nią wleje tyle cech ogólnych, że stworzy postać typową, symboliczną, idealną. Idealista jest to człowiek, który przedewszystkiem kocha ideę; ludzie zaś istnieją dla niego o tyle tylko, o ile stanowią materiał wcielenia téj idei. Przeciwnie postępuje realista: bez uprzedniego idealnego szematu, widzi on przedewszystkiem ludzi — i z ich pragnień i czynów, z poszczególnych zjawisk życiowych dąży do stworzenia całości. Badając szczegóły życia, coraz nowe szczegóły odnajduje; dlatego w szarym tłumie maluczkich widzi on wieloliczne, coraz inne, coraz nowe fizygnomie: każda z nich ma swoje duszę, swoje indywidualność, swoje cechy szczególne, swoje cierpienia i swoje serce. Realista przedewszystkiem kocha ludzi.

Takim właśnie realistą, który kocha ludzi, był Mieczysław Czerneda. Nietrudno ogarnąć jednym rzutem oka tę nieliczną garstkę istot maluczkich, której zbyt wcześnie, niestety! zamkniętą galeryę pozostawił nam ten uzdolniony autor. Zawczasie śmierć wydarła go piśmiennictwu; nie wątpię, że ta galerya, tak umiejętnie składana, rozrosłaby się w kalejdoskop żywych typów ludowych, miejskich i wiejskich. Obserwacya młodych lat rzuciła w oczy Czernedzie przedewszystkiem typy wiejskie, lud okolic kieleckich; jego życie, zwyczaje, troski, przesady, jego nędza i ciemnota — wszystko to układało się pod piórem Czernedy w seryę obrazów z życia wieśniaków zagórzowskich, seryę pełną surowej i realnej prawdy. Wszędzie tu występują te same niemal postaci.

Niektóre nowele mają pewien zakrój epiczny. Inne są bardziej opisowe, opowiadając już-to historię wdowca, który nanowo chce się żenić (Wdowiec); już-to czarownicę wiejską, znachorkę, co to nie wiedzieć zkąd przyszła, cyganka jakaś, i w Zagórz pod miastem zasiadła (Augustowa); już-to historię ukradzionych koni,

których właściciele, jak indyanie puszczy amerykańskich, za śladem kopyt i butów poszukują (Za śladem); już-to znowu szelmostwa pokątnych doradców, którzy chłopów rujnują prowadzeniem spraw sądowych (Za sprawą, Wartalek); już nakoniec smutne historye chłopskich dzieci (W zamkniętej chacie, Za psa). Cała serya powieści wiejskich pod ogólnym tytułem *Pod strzechą* drukowaną była w Tygodniku Ilustrowanym. Dwie ostatnie (W zamkniętej chacie i Za psa) drukowane były gdzieindziej,—oczywiście jednak, z treści sądząc, musiały do tego samego cyklu należeć. Życie wieśniaków jest u Czernedy szare i jednostajne, smutne i pełne nieświadomego okrucieństwa, wyniku ciemnoty; ztąd chłop narażony jest na wyzysk ludzi bez sumienia, pokątnych doradców i szynkarzy,—a z drugiej strony sam on mimowiednie jest zły, niemoralny i bez sumienia. Czerneda silnie uległ wpływom realistów francuzkich, a szczególnie Daudet'a, co widzieć się daje w kompozycjach całości, przypominających małe obrazki autora *Jack'a*. Ale wiejski koloryt jego utworów i siła, z jaką barwy rozlewał

po płótnie, pozwalają nam stawiać hipotezę (którą, niestety! sprawdzić nie będzie można), że krył się w nim talent, pokrewny talentowi Prusa w jego specjalnym objawie—w Placówce. Taż sama zdrowa i surowa siła, przypominająca szarą, na nierówne grudy rozbityą ziemię orną, ale która dysze świeżem powietrzem, rumianością policzków swych dzieci,—która zapowiada żyzność i płodność,—ta sama siła, którą czujemy w tém może najdoskonalszém i najsurowszém dziele Prusa (Placówka),—ta sama siła występuje u Czernedy w jego obrazkach. Czasami występuje téż u niego zimna i gorzka, nieśmiejąca się flauberowska ironia. Dziecko spaliło się w „zamkniętej chacie.” Matka rozpacza, włosy wyrywa z głowy, chce się do grebu rzucić... W pół godziny potem wszyscy szli do karczmy. Stary Ślizień pochował żonę—i, pijany wróciwszy do domu, zapomniał o wszystkiém i woła: „Jagna! hej, Jagna!” Ale Jagna nie przychodzi; wtedy on jęj zapowiada, że „choć nigdy nie prał, to teraz, dalibóg, ją spierze.” I runął na ziemię uspiiony. Albo w szkicu *Kancelista*: Stary urzędnik, z pensją 20 rubli,

umiera; dwóch panów z tekami pod pachą (widać starsi koledzy jego) spoglądają na kondukt pogrzebowy. „Znów pogrzeb!” — zauważył niechętnie jeden z nich. „Aha!... — odparł towarzysz. — A propos, wiecie... Bartnicki umarł. A szkoda... pisał prosto litografią!... Szkoda!...” Miał więc i mowę pogrzebową... Miejskie postacie Czernedy są to również ludzie mali, szarzy, wykołajeni, o historii życia niezłożonej, ale bardzo smutnej, — jest to biedak, którego jedyną rolą jest być świadkiem wszelkich aktów u rejenta; kancelista, mający żonę i kilkoro dzieci, i 15 rubli, a później 20 rubli pensyi, który po całych nocach pracuje, i zapada w anemię i umiera przy pracy; stary robotnik fabryczny, który w fabryce się wychował, i wszystko stracił na ziemi i tylko tę fabrykę ukochał, aż i ona się spaliła; uwiedziona dziewczyna, która dziecko podrzuca do stojącej w alejach karety; i drobniejsze postaci.

Autor tak się wcielił w te drobne, szare istoty, tak się przeniknął ich cierpieniami i życiem, tak je gorąco ukochał, że w każdą z nich wlał dużo prawdy i dużo uczucia. Każda z tych figur wywołuje silne i wzruszające

wrażenie. Jest to wynik niewątpliwy tych dwóch elementów składowych, jakie Czerneda wlał w swoją pracę: realizmu i miłości ludzi. Będzie to może z naszej strony banalnym i ekliwym sentymentalizmem, jeżeli wobec tego drobnego zbioru szkiców zmarłego powiemy: Szkoda talentu, który zmarł zawczesnie! — A jednak, pomijając czysto ludzkie względy, jest to niemała szkoda dla naszego piśmiennictwa, gdzie tak rzadko znajdują się talenta realistyczne i gdzie tak bujnie rozkwita fantasmagorya i bajkopisarstwo, — jest to, powtarzamy, niemała szkoda, że ten talent, choć o lotach niewysokich, ale istotny, trzeźwy, inteligentny, świadomy, że ten talent dla piśmiennictwa zginął przedwcześnie.

I.

Głęboko, głucho i pusto było na ulicach miasteczka ***. Czasem gdzieś w dali pies zawył żałośnie, czasem silniejszym podmuchem wiatr ruszył jednym z wystających szyldów; ten zgrzytnął raz, drugi, zakołysał się zwolna i zawisł w milczeniu, aby za chwilę znów zgrzytnąć, zamilknąć — i tak bez końca.

Od czasu do czasu monotonna cisza przerywało bicie zegaru. Dwóchsetletni staruszek, chrzęszcząc i zgrzytając, ogłaszał wówczas śpiącemu miastu kwadranse i godziny, echo pokilkakroć powtarzało słowa staruszka i znowu cisza zalegała ulice miasta.

Tak przeszło blisko godzinę.

Przez puste ulice przemknął zaledwie jeden cień przechodnia i znikł gdzieś w sieni,— zresztą nigdzie najmniejszego ruchu, nigdzie śladu życia: sen i cisza dokoła.

Zegar uderzył dwunastą.

Zaledwie umilkło warczenie kół i kółek i gdzieś w dali skonało echo, jako ostatnie wspomnienie dnia minionego, gdy w nawpół otwartej sieni jednego z domów rozległo się przeciągłe, leniwe ziewnięcie.

Ktoś się przebudzał...

Za chwilę ten ktoś przeciągnął się, splunął, zaklął siarczyście i powstał z ziemi.

Był to stróż nocny.

— Wciórnaści nadali z tym snem i z tom służbom!—mruczał, szukając czegoś na podłodze, na której tylko co spoczywał.—Wszyscy śpią, a człowiek ich pilnować musi. I po co? Hm, zdaje się, że biła dwunasta... A gdzieżeś się, bestyjo, podziała?... a... a... jest!—i podniósł z ziemi wielką drewnianą trajkotkę, w rodzaju tych, z jakimi żydziaki podczas świąt Lagbeomer biegają.

Pociągnąwszy sukmany, zwolna wyszedł przed sień, splunął w garść i zaczął kręcić trajkotką wokoło.

Piekielny trzask napełnił powietrze. Zagłuszył i psa wyjącego i skrzypiące szyldy, dwanaście razy milknąc i dwanaście razy powstając z coraz większą siłą, bo pan Andrzej Gulas nie żałował ręki.

Skończył.

Pan Andrzej Gulas, tak bowiem zwał się ten mąż od trajkotki, oparł się na kiju i patrzył przed siebie. Ciemno, pusto i głucho było jak wprzód. „Czego ja tu pilnować będę?” — pomyślał sobie i obejrzał się na sień, w której dziś pewnie niejedną godzinę, a w swém życiu niejedną noc przespał.

Opuścił już ręce i miał się na spoczynek udać, gdy dobiegł uszu jego odgłos kroków, szybko zbliżających się ku niemu.

— Cieee... ktoś idzie!—mruknął z niemalém zdziwieniem.—Adyć to pewnie pan sekretarz, bo ktoby się inny włoczył po późnicy?—dodał po chwili, niedbale machnąwszy ręką.

Ciekawość wszelako przemogła i Andrzej skierował się w stronę odgłosu. Po paru minutach spotkał młodego, o ile w ciemności rozróżnić było można, mężczyznę, zajrzał mu w oczy i usunął się z trotoaru.

Andrzej nie omylił się: był to rzeczywiście pan sekretarz.

— Dobrzej nocy, Andrzeju...

— Dobrzej—odparł ten,—ale chyba panu. Panowie się wylegujecie, kiedy cłek was pilnować bez całą noc musi: kiedy... eh!—dodał, widząc, że wymowa jego była straconą, gdyż pan sekretarz był zadaleko, aby móżdżek usłyszeć tyradę nieszczęśliwego cerbera.

Zostawimy na chwilę Andrzeja, do którego i tak później powrócić będziemy musieli, a udamy się za panem sekretarzem, by mu się lepiej przyjrzeć.

Naprawdę!

Ani jednej gwiazdki na niebie, ani jednej palącej się latarni, przy której możnaby ujrzyć twarz pana sekretarza, bo niebo szare zaciągnęły chmury, a latarnie palić się nie mogły, ponieważ kalendarz najwyraźniej zapowiadał na dzisiaj noc księżycową, a dbała o dobro mieszkańców municypalność niemniej wyraźnie zakazała oświecać miasto wtedy, gdy ma być pełnia księżyca. „Dwa grzyby w barszcz zawiele”—mówiło orzeczenie magistratu, i trzeba było się z nim pogodzić. Chcąc nie chcąc, musimy więc odłożyć na później nasze zamiary, a teraz nie pozostaje nam nic, jak z wielką uwagą podążać za panem sekretarzem, aby przypadkiem nie zwichnąć gdzie nogi na jakim mostku złamanym, lub schodach, łączących ulicę z chodnikiem, bo w takim razie musielibyśmy odłożyć nasze z nim poznanie aż do czasu ukończenia kuracji.

Pan sekretarz, którego nazwijmy sobie Witoldem, często widocznie po nocy tę drogę przebywał i przywykł już do niej, bo szedł krokiem pewnym, wesoło nucąc piosnkę pod nosem.

Witold szedł szybko przez ulice i uliczki miasteczka, skręcając to w prawo, to w lewo, to znów w prawo, nareszcie stanął przed niewielkim domem, dzwoniąc z całej siły.

Wstrzymujemy się od opisu ceremonii otwarcia bramy, bo komuż z czytelników, nie mówię czytelniczek, nie zdarzyło się powracać późno do domu? Kto nie stał pół godziny pod bramą, zanim dobudził się stróża? Komuż ten na koniec, po długim jak wieczność szukaniu dziurki od klucza, nie otwierał bramy z miną zasną a hardą, milcząc usty, lecz klnąc w duchu, na czem świat stoi?

Ta sama ceremonia powtórzyła się teraz.

Stróż otworzył bramę i z dziwną zręcznością, pomimo nocnego zasnania, schwycił rzuconą dyskę, poczem Witold wbiegł szyko na schody, prowadzące na tak zwane „pięterko.”

Przebywszy dziewiętnaście schodów, zatrzymał się przed małymi drzwiami, wyjął klucz z kieszeni, dwa razy obrócił nim w zamku i wszedł do niewielkiego pokoju.

„Po mieszkaniu poznasz pana”—mówi jakieś przysłowie; co rozkażą więc piękne czytelniczki: mam je wprzód zapoznać z mieszkańcem, czy mieszkaniem? W każdym jednak razie panie wybaczą, że wstrzymam się jeszcze chwilę, bo do tego koniecznie światła potrzeba, a pan sekretarz nie może znaleźć zapalek.

— A, są nareszcie! — zawołał, znalazłszy pudełko z zapalkami na ziemi, z których jedną potarł o... nie mogę powiedzieć... i zapalił świecę.

Teraz dopiero możemy mu się przyjrzyć dowoli.

Witold, sekretarz jednej z władz miasteczka, był to mężczyzna przystojny w całym znaczeniu tego wyrazu. Wysoka jego postawa, regularne rysy oblicza, włos bujny, wąs gęsty dawały mu prawo do tego zawsze, a dziś może więcej niż kiedykolwiek. Jakaś radość i wesele błyszczały z piwnych oczu jego, śmiały się z jego twarzy, w każdym niemal rysie widniało piętno zadowolenia.

Ten człowiek był szczęśliwym!..

Wesoło wodził oczyma po pokoju, wciąż myślą jakąś zajęty, wciąż uśmiechając się do siebie. Wtém wzrok jego znalazł to, czego szukał, padając na fotogram, wiszący nad łóżkiem, a przedstawiający jakąś blondynkę o uroczym wejrzeniu.

Szybkim ruchem zdjął fotogram ze ściany i, zapominając, że ma jeszcze palto na sobie, rzucił się na kanapę, stojącą pompatycznie pod jedną z czterech ścian jego pokoju.

Nie przerywajmy mu — niech marzy, patrząc w jej oblicze. Chwile szczęścia są tak krótkie... kto wie, co go jutro czeka!..

Tymczasem obejrzyjmy jego mieszkanie.

Jest to przedewszystkiem „mieszkanie kawalerskie na pięterku,” czyli niskie, bielone, z pułapem zamiast sufitu, z oknem wychodzącym na dach, z masą myszy, z sąsiedztwem kotów, wyprawiających koncerta, i mnóstwem innych przyjemności, o których nigdy nie znajdziesz nawet najmniejszej wzmianki na kartach właścicieli, poszukujących lokatora. Jeżeli do tego dodamy „kawalerski porządek,” to będziemy mieli wierutny obraz mieszkania pana sekretarza. Zresztą przyjrzyjmy mu się bliżej.

Na oknie, rozumie się wychodzącym na dach, obok pudełka papierowego od kapelusza stała karafka, szklanka, około których rozrzucone były dwie talie kart. Jak na jedno okno, to niezbyt wiele. Zato stół przedstawiał widok trochę więcej zajmujący. Na nim w towarzystwie kałamarza, rozrzuconych papierów, maszynki od herbaty, cukierniczki i grzebienia, leżał serdelek zawinięty w papier, para mankietów brudnych, druga czyścych, cybuch, krawat, lustro, tom Muszkietarów i Barbary Ubryk, szczotka od czyszczenia butów, dwie świece i ostatni numer gazety.

Czyż można żądać więcej?

Przepraszam! zapomniałem na śmierć o zeschniętym bukiecie i dwóch parach dziś sza-

rych, a niegdyś zapewne białych rękawiczek, które mieściły się na samym rogu, tuż obok popielniczki i lichtarza.

Umeblowanie mniej więcej odpowiadało temu, cośmy przed chwilą widzieli. Pod jedną ścianą stało zwyczajne żelazne łóżko, przykryte starą kołdrą, a nad niem wisiał krzyżyk i fotografia blondynki. Pod drugą ścianą rozpierała się kanapa o gwałtownie wystających sprężynach, kilka krzesełek, z których jedno utraciłszy dwie nogi, sentymentalnie wspierało się na ramieniu podstarzałej sąsiadki. Mała szafka, prosty stółek, miednica i dzbanek dopełniały reszty tego prawdziwie kawalerskiego umeblowania.

Lecz czyż można winić Witolda za ten nieporządek i opuszczenie? On tak rzadko bywał w domu,—bo zresztą któryż z kawalerów w nim przesiaduje, szczególnież gdy się kocha?

Witold się kochał, czego zapewne dawno się nadobne czytelniczki domyśliły, jak również i tego, że przedmiotem miłości Witolda była owa blondynka o uroczym spojrzeniu i rozpuszczonych kosach, której fotografię w ręku teraz trzymał, zapominając nawet o niekonieczności wygodnych sprężynach kanapy.

Imię blondynki było Walerya, a nazwisko—mniejsza o nie. Dla serca ono całkiem

niepotrzebne, bo przecież nikt nie wzdycha: o! panno Kropska, Dętalska, lub Anyżkiewiczówno!—lecz szepcze zcicha: Maryo, Heleno, aniele!..

Witold kochał, a co ważniejsza, był kochanym.

Nieraz to wprowadzie mu się zdarzało. Za każdym razem klął się na duszę, że kocha po raz pierwszy i ostatni, za każdym razem przysięgał obraz ukochanej wiecznie nosić w pamięci i sercu—i za każdym razem zapomniał; teraz jednak myśl jego przybrała poważniejszy kierunek: postanowił się ożenić.

Niejeden lub niejedna za złe mu to wziąć może. Witold miał pyszne nadzieje na przyszłość, niewielką pensję w teraźniejszości i wcale wielkie długi z przeszłości. Żenienie się w takich warunkach, przyjmowanie całego szeregu obowiązków i ciężarów na swe barki, jest krokiem dość nierozważnym, jak na jednego; lecz Witold z zasady nie zastanawiał się nad niczem—powiedział sobie: ożenię się, zyskał serce panny i myślał, że jest już u portu.

Biedny! zapomniał, że przystań daleko; zapomniał o skałach, jak pozwolenie rodziców, o które wiotka łódź jego rozbić się mogła; zapomniał o morskim bałwanie—rywalu, któ-

regu miał w osobie Jacentego Wyjadkiewicza, komornika...

Biedny! zapomniał, że ma długi i że komornik jego rywalem.

Nie obwiniajmy jednak zbyt mocno Witolda: czasami jasno stawało mu przed oczyma położenie rzeczy, wywołując chwilę rozważań i zastanowienia; lecz wówczas on tak wierzył głęboko w swą gwiazdę szczęśliwą, tak ufał niezachwianie, że zwyciężyć musi tego brzydkiego i garbatego rywala, który śmiech tylko pusty w nim budził, że... że co najwięcej machał ręką i wołał: „To garbus zły będzie, gdy mu pannę sprzątnę z przed nosa!”

Pan sekretarz wrócił właśnie od rodziców Waleryi.

Była to środa, zwykły dzień przyjęcia, w którym zbierało się osób kilka lub kilkanaście na tańczące pączki w karnawale lub muzykalną herbatkę w innych porach roku. Towarzystwo, jak zwykle w miasteczku, składało się z pana burmistrza, zwanego prezydentem, pani prezydentowej, aptekarza i jego czcigodnej połowicy, od których wkoło rozprzestrzeniał się zapach przeróżnych preparatów,—dalej z pana komornika, pisarza powiatu, podsądka, jednego czy dwóch kancelistów, tyluż panien, piekących raki za każdym słowem, oraz pana sekretarza. Tego ostatniego

zawsze tam dobrze widziano, jako właściciela... pary nóg, w każdej chwili gotowych do tańca, oraz głowy, która ze wszystkich umiejętności bodaj czy nie najlepiej sztukę wyzwoloną gry w wista wystudowała. Nic więc dziwnego, że papa prosił go, aby co środa na herbatkę przybywał,—był to bowiem gość do wszystkiego, który, stosownie do potrzeby, występował to w roli tancerza, to w roli partnera. Zaproszenie to niezmiernie ucieszyło Witolda, miał już bowiem wtedy zamiar starania się o rękę Waleryi, a to dawało mu sposobność zbliżenia się do panny.

Tak mijały miesiące.

Pomiędzy nim a Waleryą zawiązywał się stosunek coraz bliższej przyjaźni, tej miłości bez skrzydeł, jak mówi Byron; przebywali z sobą coraz chętniej, coraz chętniej razem tańczyli, lub prowadzili długie o niczem rozmowy, i powoli, powoli przekonali się, że żyć bez siebie nie będą mogli.

Nie chcemy z anatomicznym nożem w rękę rozbierać, o ile ta miłość była trwałą i prawdziwą,—nie piszemy anatomii serca, ani psychologicznego studium, opowiadamy tylko fakta.

Lecz powróćmy do rodziców Waleryi.

Ojciec, figura niewielka, wygolona, o zapadłych policzkach, niegdyś biurokrata, dziś

właściciel „kamieniczki,” jak się sam wyrażał, miał się za jedną z pierwszych gwiazd na horyzoncie miasteczka.

Matka była istnym typem małomiasteczkowej pani radczyni. Ruchliwa, wygadana, obśliniała sąsiadki, sprzeczała się z swym mężem o wszystko, na jednym tylko punkcie z nim się godząc: że córkę koniecznie muszą wydać bogato za męża.

— Bo to, widzisz, aniołku—mówiła do męża, poprawiając czepeczek, — Walercia nasza ładna, wyedukowana, będzie miała...

— Kamieniczkę w posagu — kończył papa z powagą.

— Tak, i kilkanaście tysięcy gotówką. Toć to jój nie można wydać za byle kogo... Zresztą spuść się na mnie, kochanku, już ja jój męża wybiorę...

— Tak, żeby tylko Walercia była szczęśliwą.

— Rozumie się, rozumie; ale co to szczęście? Jak będą pieniądze, to i szczęście będzie.

— Zapewne. Za biednego i ja jójbym nie wydał, ale zawsze...

— Mówię ci, aniołku, spuść się na mnie; ja jój męża wybiorę.

Taka nieraz toczyła się półgłosem rozmowa, gdy pani radczyni zwijała bawełnę, a pan radca, właściciel „kamieniczki,” trzymając pa-

semko, pilnie baczył, by zawczasie nie spuścić nitki, i od czasu do czasu spoglądał na córkę, która w drugim pokoju siedziała z książką w ręku lub jaką robótką.

Nie będę opisywał panny Waleryi: boję się chwalić blondynki, by nie obrazić na siebie pięknych czytelniczek o kruczonych włosach; nie chcę zachwycać się spokojnym wyrazem jej modrych oczu, by nie wywołać niezadowolenia tych wszystkich, które nieba obdarzyły ognistym wejrzeniem; wolę więc ograniczyć się tém tylko, że panna Walerya była trochę brzydszą od ciebie, piękna czytelniczko, w każdym jednak razie dość ładną, by móżd być kochaną.

Witold téż ją kochał, marzył o ożenieniu się z nią, choć, jak widzimy z rozmowy rodziców, niewiele miał do tego prawa: był biednym, a raczej nie umiał utrzymać pieniędzy.

Posada sekretarza mogła mu dać niezłe utrzymanie, gdyby nie ta dziwna umiejętność wydatkowania. Nie pił, nie zgrywał się w karty, a mimo to pensya nigdy dłużej nad dni kilkanaście w jego kieszeni nie pozostała. Wiedział o tém dobrze każdy w mieście, wiedział téż o tém i ojciec Waleryi — i kilka już razy w rozmowie z żoną orzekł, że gdyby nie ta wada, gdyby tak Witold miał ze dwa

tysiące pensyi, to możeby mu córkę oddał za żonę.

— Panie, odwróć od nas to nieszczęście! — wykrzykiwała wówczas, rzucając pończoszkę, małżonka. — A toż to utracysz, sowizdrzał, grosz go się trzymać nie chce... Chcesz chyba, aniołku, naszą Walercię i nas puścić z torbami.

— Ale cóż znowu, moja duszko — odpowiadał mąż, — z kąd takie myśli? Kto się ożeni, ten się odmieni...

— Już ja ci powiadam, że się nie odmieni... i Walerci za tego wierzpiętę nie wydamy. O, pan Hyacent...

— Ułomny...

— Cóż z tego, że ma nieco okrągłe plecy?... ale człowiek stateczny, majątny... to mąż dla Walerci.

— Jabym wołał innego.

— Ty zawsze ze mną spierać się musisz. Powiadam ci, aniołku, spuść się na mnie; już ja ję męza wybiorę.

Wobec takiego położenia rzeczy Witold nie mógł nawet marzyć o ręce Waleryi, témbardziej, że pan Hyacent, mając matkę za sobą, stanął z nim do wyścigu, a złośliwi utrzymywali, że, mimo ciężaru, który nosił z sobą w kształcie garbu, i — mówimy to pod sekre-

tem — jedną nieco krótszej nogi, prędkiej stanie u mety.

Lecz Witold wierzył w swą gwiazdę szczęśliwą i z ufnością spoglądał przed siebie. Wierzył, że rodzice zmiękną, widząc łzy córki jedynaczki, i pobłogosławią; co zaś do pana Hyacenta, to z tego śmiał się serdecznie. Co tydzień spotykał go u rodziców Waleryi wieczorem. Co tydzień rywale podawali sobie końce palców, mierzyli się wzrokiem i rozchodzili w różne strony.

Hyacent nienawidził go całym sercem, jak nienawidzą ludzie upośledzeni od natury tych, których kaprys obdarzył piękną postawą, — jak nienawidzą nieszczęśliwi w miłości szczęśliwych rywali. Witold lekceważył go sobie jako rywala, a nienawidził jako... kornika. Marzeniem jego było przy pierwszej sposobności godnie zapłacić Wyjadkiewiczowi za wizyty, składane mu „w imię prawa” i wobec dwóch świadków.

To też może dlatego dziś w tak wesołym powrócił usposobieniu, bo dziś po raz pierwszy wśród zaimprovizowanego walca usłyszał „kocham, będę twoją,” pod wpływem tych słów życzył dobrej nocy Andrzejowi, nie kłął stróża, szukającego dziurki pod klucza, i obdarował go jeszcze „dyską,” pod wpływem tych słów zapomniał o palcie, o sprężynach ka-

napy, wciąż trzymając jej fotografię w rękę, wciąż patrząc w jej oblicze.

Wpół do drugiej wybiło, kiedy Witold powstał z kanapy. Rozespany, rozmarzony, przystąpił do łóżka, by się położyć.

Bez przerwy obraz jej stał mu przed oczyma, w uszach dzwięczały jej słowa. Postanowił jutro się oświadczyć; zresztą z Waleryą już o tém mówił — i z tą myślą kładł się do łóżka.

Miał zgasić lampę i ujął już za koniec koldry, gdy jakiś papier zsunął się na ziemię.

Witold schylił się, by go podnieść.

Na ziemi leżał arkusz złożony na czworo.

Sam format już go przejął dreszczem.

Rozłożył: był to pozew.

— Na śmierć zapomniałem o tym długu! — zawołał. — Przy téj miłości człowiek o niczém nie pamięta... Co tu robić? co robić? — pytał, mnąc papier w rękę. — Przeklęty Mordka gotów mnie znowu tradować... Ale czego się tu obawiać... wczoraj był ostatni termin zapłaty pod rygorem natychmiastowej egzekucyi, ale przecież jutro komornika mi nie przyśle, a przez jutro może jeszcze z kąd pieniędzy dostanę... Jutro się przecież oświadczę — dodał po chwili, jakby szukając w tém jakiejś otuchy; — tak, tak...

wszystko będzie dobrze, tylko się z Waleryą ożenię... Bożel jakże mi się spać chce.

Rzucił się na łóżko.

Za chwilę głośnie chrapanie odbiło się o ściany pokoju. Witold spał, śniąc pewnie o swym ideale.

II.

Tymczasem Andrzej Gulas, ten nowy Ahaswer, tułający się wśród nocy po ulicach miasta, nie spał, a co dziwniejsza, postanowił przejść się.

Rzadko kiedy to mu się zdarzało.

Najczęściej biedak, gnąc się pod jarzmem obowiązków, padał na podłogę pierwszej lepszej sieni, na ławę kamienną lub próg sklepowy, i zasypiał spokojnie, kołysany marzeniami o łóżku i wieczery. Dziś jednak szczególnie bezsenność go napadła.

Pożegnawszy w duchu pana sekretarza jakimś niebłogosławieństwem, co prawie napewno twierdzić możemy, znając zgryźliwość i zrzędnosć stróżowego rodu, Gulas rozpoczął swą wędrówkę.

Wolnym, miarowym krokiem, nasłuchując echu własnych stąpań i uderzeń kija, klnąc za każdym potknięciem się na jakim, złamanym mostku lub dziurze w trotoarze

których nigdy nie brakowało, przechodził pan Andrzej ulice miasta. Z wielką pilnością patrzył na wsze strony, czy przypadkiem nie ujrzy czego, czém, złożywszy jutro raport, będzie mógł się pochwalić swą czujnością i dbałością o dobro mieszkańców.

Na jednym z dachów dwa koty miauczały przeraźliwie, zakłócając ciszę ogólną.

To oburzyło pana Andrzeja.

— Będziecie się wy, szelmy, tak darły! — zawołał z gniewem, rzucając w ich stronę kamieniem.

Niestety!... kamień zdołował i ugodził prosto w szybę. Koty, przerażone dźwiękiem szkła stłuczonego, pierzchły w różne strony, nie dokończywszy nawet rozpoczętej ary, a pan Andrzej, unikając odpowiedzialności, schronił się pod sklepienie jednej z sąsiednich bram.

Za chwilę w stłuczonym oknie zabłysło światło i pokazała się rozczochrana głowa strwożonego mieszkańca, który, pomimo całego strachu i przerażenia, chciał zbadać przyczynę wypadku. Ciemność, zalegająca ulicę, nie pozwoliła mu nic rozeznąć: popatrzył więc chwilę i cofnął głowę, bojąc się, aby przypadkiem kto zaczajony jego samego nie poczęstował.

Andrzej widział to wszystko ze swój kryjówki. Bacznie śledził za ruchem w oknie,

i gdy przekonał się, że poszkodowany zgasił światło, chyłkiem wymknął się w drugą ulicę, a tam odzyskał dawną powagę, i znowu stukając i klnąc naprzemian, rozpoczął przewaną wędrówkę.

— Chyba dyabeł rękę mi wyrwał — mrucał pod nosem; — a słychane to rzeczy, żebym ja kamieniem na dach nie frygnął? Dyabeł: basta!... Ffu! na psa urokl... Ho! ho! ho! druga godzina, a tam się świeci — dodał po chwili, spostrzegłszy światło w ulicy; — trzeba iść obaczyć, co to...

Po tych słowach, jakby gotując się do walki, ujął silniej kij w rękę i poszedł prosto w Piękną ulicę.

Pomimo pompatycznej swój nazwy, ulica, a nawet uliczka, złożoną była przeważnie z małych parterowych domków, które stały jeden obok drugiego krzywe, pochylone, jak to zwykle u nas po miasteczkach bywa. Jeden wpośród nich nowy, dumnie podnosząc głowę wśród starszój, lecz biedniejszój braci, słał promienie światła przez okno w ciemny zaułek.

Gulas skierował ku niemu swe kroki.

W kilka minut potem szeroka twarz pana Andrzeja przylepioną była do szyby, a wzrok przez niedosłonięte okno wdierał się do wnętrza pokoju.

— Hol hol hol bestya garbus nie śpi—myślał w duchu Andrzej:—na pewniaka jutro ko-goś straduje... Czemu on taki markotny?

Przy stole siedział jakiś skulony mężczyzna lat przeszło trzydziestu, o nieregularnych rysach, rzadkim, rudawym zarostie, kępiącym się tu i owdzie, lecz zato potężnym nosie, cienkim, kończystym, który dominował na jego obliczu.

Widocznie czarne myśli zaległy mu głowę, bo co chwila tarł czoło, to znów powstawał i przechadzał się po pokoju, utykając i zawadzając od czasu do czasu o gęsto nastawione sprzęty.

Na stole leżały pliki papierów.

Gdyby Andrzej był umiał czytać i miał wzrok lepszy, byłby dojrzał niewątpliwie, iż na samym wierzchu leżał wyrok egzekucyjny, a tuż obok fotografia... Waleryi.

Nie wiadomo, na co p. Hyacent patrzył więcej, siadając za stołem: na wyrok, czy fotografię, lecz zdaje się, iż w widoku jednej szukał sił przeciwko drugiemu.

Pan Hyacent powrócił dziś również z herbatki od rodziców Waleryi; widział, jak Witold rozpromieniony szeptał coś na ustroniu; śledził ich w walcu i zdawało mu się, że słyszał wyraz „jutro,” „kocham,” wyraz, który go parzył i piekł jak ogień, bo on... on także kochał

Jątrzony widokiem Witolda, pan Hyacent nie mógł wytrzymać dłużej i około jedenastej pożegnał wszystkich, aby uciec do domu i tam wśród samotności ukoić gniew, który nim miotał, i znaleźć pomysł do walki i zemsty.

Pierwszą rzeczą, jaka wpadła mu w oczy, był świeżo złożony wyrok egzekucyjny na stole. Jakby przeczuwając, że w nim znajduje to, czego szukał, schwycił go drżącymi rękoma i zaśmiał się tryumfująco: był to prawomocny wyrok przeciwko Witoldowi, egzekucya jutro...

— Jutro!...—zawołał i urwał, bo mu przyszło na myśl owo „jutro,” wymówione przez Waleryę, a z niemi cały szereg nienawistnych obrazów.

Usiadł za stołem. Długo rozmyślał, jak przeszkodzić temu, co się „jutro” stać miało, jak wstrzymać bieg wypadków. Najróżnorodniejsze myśli tłoczyły mu się do głowy. Nie wiedział, co robić ze sobą: to siadał, to chodził po pokoju, to znowu siadał. W takim to stanie zastał go Andrzej, gdy przyłożył swój nos do szyby.

— Ja chyba mam gorączkę... nic myśleć nie mogę...

— Co jemu się stało? — pytał w duchu Andrzej — jakiś nieswój. Ehl nic mu nie będzie: dyć to komornik...

Twarz Andrzeja przybrała głupkowato-ironiczny wyraz.

— Dobranoc ci, garbusie... — szepnął półgłosem i poszedł w ulicę.

Pan Hyacent napił się wody. Dwie szklanki uspokoiły go zupełnie. Siadł znów i zaczął przeglądać wyrok; a przeczytawszy go kilka razy, rzucił na stronę i wsunął się wgłąb fotelu.

Przesiedział tak kilka godzin.

Zaczynało już świtać, gdy powstał z radosnym obliczem.

— Już ja go „jutro” urzędzę!... — i zatarł ręce wesoło, poczem raz jeszcze spojrzął na leżącą fotografię.

Lampa zagasła...

III.

Wpół do ósmej rano Witold otworzył oczy. Dzień był prześliczny.

Niebo czyste, bez skazy: jak oko dziewczęcia, zdało się śmiać słońcem i weselem.

Przez niedomknięte okno z sąsiedniego ogrodu dochodziły wesołe śpiewy ptactwa. Wszystko zdawało się kąpać w jasnych promieniach słońca; nawet świeża łąka na gontowym dachu sąsiada—i ta lśniła jak złoto, i ta zdawała się wdzięczyć i uśmiechać.

Dzień taki byłby w stanie rozprościć samobójcze myśli, a cóż dopiero, gdy komu prócz tego jeszcze inne słońce świecił

Pierwszy przedmiot. na który Witold, jeszcze półsenny, skierował swe oczy, była, rozumie się, fotografia, wisząca nad łóżkiem.

— Dzień dobry, aniele!.. — szepnął, jakby bojąc się spłoszyć swe szczęście—piękny dzień mamy...

Przymknął oczy; uśmiech okolił mu usta.

Przeleżał tak chwilę.

Znowu otworzył oczy, znów spojrzął na obraz ukochanej i znów się uśmiechnął.

Złożył usta, jak do pocałunku.

— Aniele!...

Podparł głowę na ręce i zagłębił się w myślach.

Myśli jego przybrały poważniejszy obrót: znać to było na pomarszczonym czole,—a jednak musiały być miłe, bo znów się Witold uśmiechnął.

— Dziś się oświadczę — dodał po chwili namysłu. — Walerya ma mi donieść, o której godzinie napewno zastanę jej rodziców i czy są dziś w dobrym humorze... Cóż ja też mówię! Któżby mógł dzisiaj być smutnym!... Tak pięknie... aby tylko dzień ten był zapowiedzią szczęścia...

Urwał. Otworzył szeroko oczy i zerwał się na posłaniu, wyrwany z marzeń szelestem.

Jakiś papier spadł ze stołu.

— Znowu ten pozew przekłęty!

Równocześnie niemal dało się słyszeć lekkie stąpanie po schodach.

Witold nastawił ucho.

Potrójne uderzenie we drzwi nie pozwoliło dłużej powątpiewać, że jemu ktoś myśli złożyć wizytę.

Ten pozew, spadający, nie wiedzieć czemu, właśnie wtedy, gdy on o nią marzy,—myśl, że może właśnie posłaniec od Waleryi przybywa,—wszystko to naraz stanęło mu w myśli i utworzyło jakiś chaos niepewności, radości i strachu. Kilka chwil minęło, zanim zdecydował się zapytać: kto tam?

— *C'est moi!*—odpowiedział jakiś cieniutki głosik.

— Kto taki? — zapytał powtórnie, jakby nie dowierzając własnym uszom.

— *C'est moi!* — była znów odpowiedź. — *Ouvrez la porte!*

Witold stanął zdziwiony.

— Czyżby Walerya przysłała list przez pannę Matyldę?—pytał sam siebie.—Nie, to chyba być nie może, a jednak...

— *Ouvrez donc la porte, monsieur Vitold!*—odezwano się znowu, poruszając klamką.

— Ależ to ona niezawodnie!—i nie chcąc dłużej jej trzymać za drzwiami, wyskoczył z łóżka.

— Pani wybaczy chwilę zwłoki — mówił, ubierając się w szlafrok i pantofle,—ale jestem bez... krawata; muszę coś włożyć na siebie, bo nie mogę przecież pani tak przyjąć...

— *Cela ne fait rien* — odpowiedziano mu z poza drzwi, jakby ze śmiechem.

To go zastanowiło, lecz już było zapóźno: Witold, ubrany w perski szlafrok i pantofle, obrócił już klucz w zamku; za ledwie to uczynił, pchnięto drzwi silnie i przed osłupiałym Witoldem stanął Wyjadkiewicz, a za nim dwóch świadków: Mordka i Andrzej Gulas.

„W imieniu prawa...”

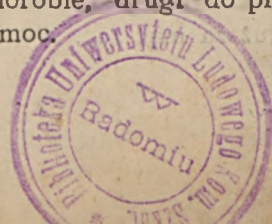
W pół godziny po wyjściu pana Hyacenta siedział biedny Witold w swoim mieszkaniu, ale już nie wpośród swych rzeczy.

Z całego majątku pozostał mu obecnie na własność szlafrok i pantofle.

W takim kostiumie trudno było iść prosić o rękę panny.

Nawet jej fotografię mu zabrano.

Dwa listy wypisał: jeden do biura z zawiadomieniem o chorobie, drugi do przyjaciela z prośbą o pomoc.



Na pierwszy nie spodziewał się odpowiedzi, na drugi odpowiedź nie przychodziła.

Przytém żadnej wiadomości od Waleryi.

Głodny, zły i nieubrany siedział tak do szóstej wieczorem.

Godziny zdawały mu się wiekami; wciąż się zrywał, nasłuchując, czy kto nie idzie... na-próżno! Nakoniec przyszedł oczekiwany „przy-jaciół”. Witold w pożyczoném ubraniu poszedł się posilić za pożyczone pieniądze.

Głowa go bolała szalenie, zataczał się jak pijany.

Zaledwie wszedł do restauracyi, jeden ze znajomych przywitał go okrzykiem: „Wiesz, Wyjadkiewicz oświadczył się o pannę Wale-ryę i podobno został przyjętym!”

Tego było zawiele: Witoldowi zrobiło się w oczach ciemno, zachwiał się i upadł...

.

W parę lat byłem znowu w miasteczku ***. Z ciekawością wypytywałem pana Antoniego, miejscowego restauratora, o dalsze koleje mych bohaterów. Powiedziano mi, że Witold dwa miesiące chorował na zapalenie mózgu w szpitalu, bo w domu nie było na czém le-żeć. Później wziął urlop i wyjechał do kre-wnych na wieś, gdzie bardzo długo bawił; a gdy ztamtąd powrócił, panna Walerya wy-szła już za mąż za...

— Wyjadkiewicz! — zawołałem.

— Eh! nie. Za jakiegoś obywatela z Ga-licyi, podobno hrabiego, którego matka jęj wyszukała. Ten stracił cały swój i żony ma-jątek i teraz u rodziców siedzi.

— A Wyjadkiewicz? A pan Andrzej Gulas?

— Pierwszy przeniósł się gdzieindziej: sły-szałem, że się żeni; a drugi zapił się biedak i zmarł przed kilkoma dniami; a szkoda... taki był dobry stróż nocny!

ZA PSA.

Wojciechowie nie mieli własnej zagrody, siedzieli więc na komornem u Jędrzejów Modraków, którzy pod dach ich przyjęli. Kąt w chacie Jędrzejów, rozumie się, darmo im nie przychodził; a że nie mieli czém płacić, musieli tedy odrabiać. Siedziało ich troje — więc wszyscy troje robili, aby się tylko wywdzięczyć Jędrzejom za szmat dachu, kęs chleba i łyżkę strawy, które im dawano: Wojciechowa naprzemian w polu, koło domu, lub przy kominie,—a Szymek, chłopak ich pięcioletni, także coś robił, bo i on z dobrodziejstw Modraków korzystał.

Początkowo używano go do drobnych posług: to szczap na ogień lub wody ze źródła nanosił; to pobiegł po wódkę do karczmy, gdzie najczęściej w dodatku szturchańca dostawał; to pół dnia skrobał kartofle; gdy mu

się jednak na szósty rok obróciło, Jędrzejowa oddała mu gęsi pod opiekę.

— Ino bacz, pędraku, żeby w szkodę nie laży, bobyś dostał!...—mówiła, wymownie gestykulując rękami.

— Pilnuj dobrze, chłopak! — przestrzegała Wojciechowa.—Naści skibkę chleba, zjesz na południe.

Szymek pocałował matkę, zabrał chleb — i w białą koszulinę odziany, bosi, bez czapki, z witką w jednym, a kromką chleba w drugim ręku, popędził gęsi przez wioskę.

Wojciechowa długo za nim patrzała. Chłopak obejrzał się raz jeden i drugi, i widział, jak matka w powietrzu zakreśliła znak krzyża świętego. I nie dziwota: wszak to po raz pierwszy jęć dziecko szło na cały dzień poza dom do pracy... Długo migąła jęć na drodze biała koszulina Szymka; potem zdawało jęć się, że tylko same gęsi widzi; wreszcie wszystko znikło między opłotkami. Wojciechowa westchnęła i weszła do chałupy.

Pierwszego dnia poszło Szymkowi nienajgorzej. Naupędzał się wprawdzie za krzykliwem ptactwem, ale wszystkie gęsi przypędził. W parę dni zato spotkało go nieszczęście.

Dzień był brzydki, dżdżysty. Zimno przejmowało do kości—Wojciechowa okręciła nawet Szymka starą chustką, aby się chłopak

nie przeziębł, na głowę mu dała dziurawy worek od deszczu i kazała na południe do domu powrócić.

— Dam ci co ciepłego—mówiła,—ino do brze się sprawuj.

Szymek, według zwyczaju, pocałował matkę i krzyknął na gęsi. Gromadka ruszyła drogą, zwolna krocząc po rozmokłej ziemi. Nie śpieszno im było: ani gęsiom, ani Szymkowi. Chłopak byłby wolał na taką „psotę” zostać w chałupie i matce pomagać koło komina, albo strugać patyki, niż wlec się z „gadziną” za wioskę; a i gęsiom milszeby były pewnie otręby w korycie, niż ziarno, którego dopiero szukaj po ścierniu. Przytém chłopak z workiem rady sobie dać nie mógł: co chwila na oczy mu spadał—i choć go odsunął, to i tak świat mu zasłaniał.

Przeszli zwolna przez wioskę i na ściernisko się dostali. Szymek oparł się na kiju i gęsi ziarna szukać zaczęły, gdy nagle, nie wiedzieć zkąd nawet, wypadł pies duży, kudłaty. Znał go Szymek dobrze i aż dech w piersiach mu zamarł: ten pies toć to Rozbój pana wójta, który nikomu nie przepuści...

I ze strachem chłopak stanął jak wryty. A i pies stanął przed zbitą gromadką. Widok strwożonych dodał mu odwagi, bo przysiadł ku ziemi i hulnął w sam środek stada.

— Jezus, Maryal—krzyknął chłopak.

Chciał gęsiom śpieszyć z pomocą, ale worek oczy mu zasłonił. Nim go odgarnął, gęsi poszły w rozsypkę. Szymek wrzeszczał, płakał i prosił, aż posiniał cały,—pies jednak nie rozumiał i gospodarzył po swojemu.

Na południe splakany przywłókł się Szymek do domu, choć byłby wolał całkiem nie wracać: przypędził tylko sześć gęsi.

— Kajżeś dwie zaprzepaścił, ty zatraceni-cze?!...—krzyczała Jędrzejowa, trzęsąc nim co siły.

— Ostały na poolu... pies zaagryyyzł... — bełkotał chłopak, szlochając.

— Bodajże cie siarczystell!...

Jak z procy wypadła z chałupy i pędem w pole pobiegła. Niedługo była z powrotem.

— A to skaranie boskie z tym rakiem przeklętym! — wołała, opatrując gęsi na stole — a to niedojdał gawron!... Drugi tydzień gęsi pasie i już takięj szkody narobił... Śpik zapamiętały!... poczekaj-no, poczekaj! — groziła zwracając się do Szymka — niech ino ociec wróci, to tak ci skórę wytataruje, co popamiętasz ruski miesiąc!

Szymek płakał, czując całą swą winę: wszak silniejszemu psu nie mógł dać rady.

Niebawem nadeszli Wojciechowie.

— O la Boga!... gęsi zagryzione!...—wrzasnęła Wojciechowa od proga.—Szymek!...—i urwała, załamując ręce.

— A juści Szymek, ten wasz kanaczek—wydziwiała Modrakowa, któżby jenszył!—i jęła opowiadać, jak Szymek tylko sześć gęsi przypędził; jak „w dyrdy” pobiegła na pole, gdzie dwie najpiękniejsze zagryzione leżały; jak bestya chłopak sam nic nie powiedział i byłby się pewnikiem wszystkiego wyparł, gdyby nie to, że ona gęsi znalazła... Wojciech słuchał w milczeniu, ćmiąc krótką fajeczkę, od czasu do czasu tylko głową kiwał; Wojciechowa ciągle wzdychała, spoglądając to na gęsi, to na chłopaka, który teraz na dobre beczał przy dzieży.

Nareszcie Jędrzejowa skończyła. Wojciech milczał jak wprzód, położył tylko fajeczkę na kominie, i odpasawszy rzemiennego paska, dopiero teraz zawołał na Szymka. Chłopak jął wrzeszczyć przeraźliwie: wiedział, że z ojcem nie przelewki.

— Tatulul, nie będę! nie będę, tatulul!...

Wojciechowej żal było dziecka. Z czworga ten jeden tylko został, a i to był „chuderlawy,” więc nieśmiało zaczęła bronić chłopaka; ledwie jednak parę słów rzekła, już ją zahukano.



— Bylibyśta cicho, Wojciechowo; smyk szkody narobił.

— Patrz, babo, swego nosa; a kiej ci markotno, to za drzwi ruszaj!

— Ino go nie katujcie... — prosiła.

Szymek uchwycił się spódnicy matczynój, ale Wojciech szarpnął nim, że aż zdarł chustę, w którą go matka rano odziała. Nie było rady. Wojciechowa wybiegła z chałupy, żeby nie patrzeć, jak dziecko bić będą, i w izbie został Wojciech, Modrakowa i Szymek.

Wojciech ujął chłopaka za rękę i zaczął liczyć. Za każdym razem rzemienny pasek zakreślał koło, z traskiem spadał na obnażone ciało dziecka i jak wąż je opasywał. Biała pręga natychmiast krwią nabiegała.

Wojciech liczył, a chłopak wił się z bólu zsiniąły.

— Siedm... ośm... dziewięć.

— A pilnuj drugi raz gęsi, jak należy! — dogadywała Jędrzejowa.

— Dziesięć.

— Tatu!... nie bijciel ta-tu-lu!...

— Jedenaście... dwanaście...

— Ta...tu...lu!...

— Będziel — zawyrokowała Jędrzejowa, i Wojciech puścił chłopaka, który na ziemię się rzucił, wrzeszczał i bił nogami.

— A pamiętaj, hyclu—mówił jeszcze Wojciech, podpasując pasa,—żebyś drugi raz pilnował gadziny, bo dostaniesz jeszcze lepiej!

I wziął fajeczkę z komina i zapalił ją nowo.

Wojciechowa wsunęła się do izby i zabrała Szymka. Wojciech siedział na ławie i pykał, wreszcie splunął przez zęby.

— Dajcie-no jeść, Jędrzejowo, bom się zmachał okrutnie...

I wytrząś tytuń do kąta.

W ZAMKNIĘTEJ CHACIE.

Dzień był słotny, jak u nas zwykle na jesieni. Niebo ponure, niby step jednostajne, płakało nad szarą ziemią, a wiatr otrząsał resztę powarzonych liści. Błoto i błoto... Droga, prowadząca przez wioskę ku miastu, była niezwykle ożywiona: to ciągnęły chłopskie furmanki, a na nich baby i chłopci ubrani jak w zimie, bo lud nasz nie zna przejściowych od pory do pory ubiorów; to śpieszyły gromadką lub pojedynczo wiejskie kobiety, człapiąc po błocie i narzekając. Za niemi gospodarze z rękoma w kieszeniach, czapkach rogatywkach, szli bezmyślnie, lub pędzili przed sobą ten wołu, tamten krowę lub wieprza spasionego. Z kobiet zato żadna nie szła po próżnicy. Każda niosła koszyk w ręku lub w białą płachtę na plecach zawiązany, w koszyku zaś różnie: to jaja, to ser bywał, to osełka masła, garnek śmietany, a czasem na-

wet i gęś biała, co wysunąwszy z pod płachty szyję, ze strachem i zdziwieniem spoglądała dokoła.

Maciejowa wybierała się także na jarmark; bo jakże nie iść, kiedy w chacie nie było ani szczypty soli, a do miasteczka na jarmark tylko dwie mile!

Maciejowa była wdową i siedziała w chałupie na końcu wsi, co jęj mąż nieboszczyk zostawił. Ogi, kiedy żył stary, była to porządna zagroda i gospodarka szła nieźgorzej, bo Maciej był rządnym, pracowitym; ale od jego śmierci jakoś niedobrze się działo.

— Oj! bieda, bieda bez mojego — mówiła nieraz Maciejowa, widząc, że wszystko jakoś naopak idzie, że Grzela teraz już nie taki skory do roboty jak wprzód; a Grzela, jak parobek zazwyczaj: póki żył gospodarz, pracował, bo musiał, lecz gdy pana nie stało, począł w chałupie przewodzić i próżniaczyć.

Maciejowa płakała, bo cóż miała innego robić? Za mąż jęj się jakoś nie trafiało, a bez chłopca w gospodarstwie obejść się nie podobna.

— Bobyście przegnali tego nicponia Grzelę — mawiali jęj nieraz sąsiedzi: — On was na dziady wy kieruje, jak bydło się zapija...

— Ta inny gorszy będzie...

Grzela przywykł się już uważać za gospodarza; robił, co mu się żywnie podobało; ot

i dzisiaj pojechał żydom wozic sęgi z lasu, choć Maciejowa chciała jechać po sól na jarmark. Byłby się może z Maciejową i ożenił, ale go ta odpychała — Bóg raczy wiedzieć czemu.

Po Macieju zostało się jedno dziecko — Walek. Na święty Michał jakoś pięć lat mu się skończyło. Roztropny to i ładny był chłopczyzna, o główce jasnej, kędzierzawej i dużych czarnych oczach, co rozumnie na świat patrzyła.

Maciejowa kochała chłopaka, jak tylko matka kochać umie; i kto wie — może właśnie przez wzgląd na Walka odrzuciła Grzelę, jedynego konkurenta przez całe trzy lata jęj wdowieństwa.

Waluś, widząc, że Maciejowa kładzie długie buty, zaraz zmiarkował, że matula kajś się wybierają, bo stanął za ławą i żalosnym zapytał głosem:

— Matulu, kaj idziecie?

— Nikaj, Walusiu, jeno do miasta wpadnę po sól na jarmark i w dyrdy nazad przylecę.

— A mnie?...

— O, jużby ci zara coś przynosić!... No, nie płacz, kupię ci bułkę...

— I obarzanek!...

— Niech ta! i obarzanek.

Twarz dziecka rozpogodziła się na wspomnienie takich gościńców. Z poza łoż, jak słońce z za chmury, błysnęły oczy Walusia i usta złożyły się do uśmiechu.

Maciejowa krzątała się po izbie. Zaglądała to do komory, to do sieni; wybrała kopę jaj, największą osetkę masła z trzech niewielkich, które na półce leżały; zawinęła ją w mokrą szmatę i schowała do koszyka. Oskrobała potem trochę kartofli i wrzuciła je do wielkiego żelaznego garnka, co stał na kominie.

Waluś śledził ruchy matki i milczał.

Maciejowa kręciła się wciąż po izbie, kiedy na dworze dało się słyszeć stąpanie konia, a za chwilę odezwał się głos gruby:

— Maciejowa! Maciejowa! Jeszczeście nie poszli do miasta? Śpieszta się, to was zabiorę.

— Zara, zara, mój kumie.

— Jenó nie marudźta, bo już niesporo.

— Walek, siedźże w chałupie i bacz, żebyś sobie krzywdy nie zrobił!—odezwała się Maciejowa do Walusia, narzucając na plecy białą płachtę, w której mieścił się koszyk z jajami i masłem.

Waluś patrzył na matkę i milczał jak wprzódy; dziwnie mu się tylko teraz oczy skrzyły.

— Kajże mi się zapaska podziela?... al jest... Kumiel już idę... — I wyszła z chałupy.

Waluś wyciągnął za nią drobne rączyny; z ust jego wydobył się jeden wyraz: matulu!...

Skrzyp klucza w zamku odpowiedział na jego wołanie.

Waluś został sam jeden w zamkniętej chacie. Przez chwilę do uszu jego dolatywał odgłos rozmowy matki z kumem Jędrzejem; potem rozległo się stąpanie konia po szosie... i wszystko umilkło.

Odjechali.

Walusiowi markotno było, choć nie pierwszy to raz zamknięto go samego w chałupie. Spojrzał raz jeszcze na drzwi, przez które wyszła matka — i w tym samym miejscu, gdzie stał, za ławą, usiadł na ziemi. Usta mimowoli drgać mu poczęły i łzy spływały po twarzy; — płakał, ale płaczu jego nikt nie słuchał, chyba jeden Mruczek, co spał na przypiecku.

Waluś płakał, a deszcz padał bezustanku, dzwoniąc po szybach małego okienka. W chacie było ciemnawo, i to onieśmiewało chłopczyńkę. Bał się ruszyć z swego kąta. Nakoniec zmiarkował, że płacz mu nic nie pomoże; począł płakać coraz ciszej, ciszej, i przestał.

Mruczek ocknął się tymczasem na przypiecku. Powstał zwolna, przeciągnął się, ze-

skoczył na ławę, z ławy na ziemię i podszedł ku dziecku.

Widok kota rozproszył obawy Walusia. Chłopak chciał go schwytąć, kot jednak uskokczył. Waluś zerwał się na nogi i dalej za kotem po izbie. Kot na okno, z okna na skrzynkę, ze skrzynki na ziemię, później na komin, na przypiecek, — a Waluś biegał za nim, nawołując i nęcąc ku sobie: kicil kicil pójdź kicil...

Nakoniec dziecko zachichotało radośnie, trzymając kota za ogon. Było to blisko okna. Kot się rzucił, szybka pękła — Waluś rozplakał się znowu...

Kot pobiegł na drogę.

Gwarno było w szynku u Szmula.

Czy to że leżał przy głównej drodze do miasta, czy wódka może była mocniejsza lub półkwatki większe niż gdzieindziej, czy też dlatego, że usłużny Szmul chętnie kredytował — dość, że u niego zawsze pełno.

To i dziś jak nabił. Był tam i kum Jędrzej, i Jacentowa z swym mężem, i stary Szymon, ojciec gromady, i pan wójt z dwoma ławnikami, i wielu innych, no i Maciejowa, która kupiwszy parę funtów soli, bułkę i obwarza-

nek dla Walusia, przyszła resztę pieniędzy zostawić Szmulowi.

Półkwatki wciąż krążyły, choć ściemniać się już poczynano. Nagle Maciejowa zerwała się z ławy i, zataczając się, poczęła gorączkowo zbierać swe manatki.

— Kumo! jescze półkwaterek! — nalegał jakiś krewniak.

— Nie, moi najserdeczniejsi, już dosyć... w chałupie chłopak ostał... sirotka!...

— Co ta! Nad sirotami Pan Bóg czuwa... nic waszemu nie będzie. Napijwa się jescel!...

— Oj, biedny mój Waluś, biedny!... biedna ja wdowa bez mojego Macieja... o mój Boże, mój Boże!... Sirotka ci ja, sirotka..

Głośne łkanie przerwało jej mowę.

Kumoszka Jacentowa, więcej uraczona od innych, ujęła się pod boki i, przytupując nogami, jęła podśpiewywać:

„Oj sirotka, sirotka... danać moja, dana!

Jam sirotka, tyś sirotka, moja ty kochana!...”

Jacenty śmiał się na całe gardło, aż posiniał z śmiechu.

— Magda! Magda! a niech cię wciorności wezmą z tym śpiewem!...

I śmiał się znowu.

— Oj sirotka, sirotka... danać moja, dana!...

— Jacentowa, bójta się Boga, co robiel — odezwał się stary Szymon. — A toć to obraza Pana Boga...

Wtrącił się Szmul:

— Niech pani Jacentowa nie słucha, co ten stary plecze. On gada, bo stary. Co ón wi? Może jeszcze półkwaterek?... ny, ja zakredytuję!

Maciejowa płakała, powtarzając bez końca: bidny Waluś, sierotka! bidna ja wdowa! Krzyczano, śpiewano, całowano się; w szynku coraz hałaśliwiej było, Szmul wciąż zacierał ręce i pisał coś kredą — a Maciejowa wciąż płakała.

Nakoniec wójt zauważył, że wypada mu użyć swego wpływu.

— Uspokójta się! — zawołał na całe gardło; i cisza zaległa. — Maciejowa, czego płaczecie? — zaczął poważnie; ale niedarmo siedział już parę godzin u Szmula: wódka go rozmarzyła, zapomniał więc o swojej powadze i o tém, co miał mówić. Chwilę milczał, głupowato patrząc dokoła, w końcu wymamrotał: — Na fraszunek dobry trunek... W wasze ręce, Maciejowa!...

— Oj nie, moi najserdeczniejsi...

— Ny, czego tu nie pić? Sam pan wójt, taka mądra osoba, to radzi...

— Napijta się, to się odmieni...

Maciejowa, obcierając jedną ręką łzy, drugą ujęła półkwaterek i wychyliła go do dna. Był to już dziewiąty. Całe szczęście, że Szmul nie znosił niechrzczonej wódki w swym szynku.

Półkwatarki krążyły. Maciejowa piła, płacząc i śpiewając naprzemian. Nakoniec poczęto wybierać się do domu.

W chacie coraz ciemniej się robiło, Waluś jednak jakoś już się oswoił z tą ciemnością, a zresztą teraz dzieciakowi począł na dobre głód dokuczać; zapomniał więc o kocie, stłuczonej szybie, samotności, otarł łzy koszuliną i począł szukać po izbie, bo komora była zamknięta, czy nie znajdzie gdzie chleba lub mleka. Matka, przyzwana do jazdy przez kuma Jędrzeja, na śmierć zapomniała dziecku zostawić jedzenia.

— A kajże mieli pamiętać, kiej im się okrutnie do miasta po sól śpieszyło — myślał Waluś i szukał... daremnie.

Zajrzał do garnka, gdzie mleko bywało, ale zastał pustki, bo Grzela rankiem, kiedy Waluś spał jeszcze, wszystko wypił, wybierając się do lasu po sagi.

Na kominie stał duży, żelazny garnek.

Waluś przypomniał sobie, że matka na wychodnem kartofle skrobała, że je następnie wrzuciła do garnka; zajrzał, lecz nic prócz wody nie mógł w nim dopatrzyć.

Chwilę jakąś stał na ławie, nie wiedząc, co robić.

— Może matula nadejdą — szepnął i poszedł ku oknu, aby przez wybitą szybę na świat popatrzeć.

Na drodze było pusto, deszcz wciąż lał, wiatr szumiał, zdala szczekanie psa dolatywało, a Walusiowi głód coraz bardziej dokuczał. Byłby się może znowu rozpłakał, gdy wtém myśl jakaś błysnęła mu w głowie.

Waluś obejrzał się, zeskoczył z ławy, co się rozpierała pod oknem, i podbiegł do komina. Wgramolił się na szeroki stół, zanurzył rękę w żeleźniaku—na dnie były kartofle. Chwila—i Waluś trzymał w ręku smolną szczapę, a w drugiej zapaloną zapałkę. Jasny płomień oświecił wnętrze chaty. Dziecku się rażniej zrobiło. Koło komina leżało trochę chrustu i drzewa. Obłożył nim garnek—i nie wyszło trzech Zdrowaś, jak na kominie wkoło garnka huczał syty ogień, a Waluś, wsparty o krawędź, patrzył i patrzył, aż mu oczy na wierzch wyjść chciały.

Waluś gotował kartofle...

— To się matula dziwować będą, jak ogień obaczą—mówił do siebie i na palce się wspinał, aby zobaczyć, czy woda nie zawrzała; ale matuli widać nie było.

Nakoniec woda kłębić się poczęła. Waluś z przejęciem śledził jęj ruchy i uśmiechał się... Kartofle się ugotowały — mniejsza o sól i omastę!

Szło teraz o to, by je wydostać. Głód dziecku sprytu dodawał — zresztą jeden był u matki, nieraz więc pomagał przy kominie. Rozgarnął trochę ognisko i pociągnął żeleźniak za ucho.

Daremniał — żeleźniak stał niewzruszony, a rozgrzane ucho parzyło ręce chłopaka.

Smutek zjawił się na jego twarzyczce; nie dał jednak za wygranę. Wiedział już, że nikt jego płaczu nie słucha—nie płacze więc, tylko patrzy na wodę, kłębiącą się, i siły zbiera, by ponowić próbę.

Przewłókł przez ucho garnka zapaskę — i ciągnie. Garnek posuwa się trochę. Dziecko ciągnie z całych sił, — wtém stół się przechyla... nóżka chłopaka ośliznęła się...

Wrząca woda z garnka lunęła, ogień zasyczał, a z piersi dziecka wydobył się krzyk straszny, nieludzki: Matulu!... Matulull...

Ogień nawpół zalany ledwie błyska na kominie, wiatr dzwoni o szyby okienka, a na

ziemi, w strudze dymiącej się wody, wśród rozrzuconych kartofli, wiję się z bólu Waluś...

— ...Ma...tulu.... Ma...tu...lu!!...

— Prrrrr!...

Koń stanął, Maciejowa się ocknęła. Sen wytrzeźwił ją trochę. Zeszła z wozu, pozeгнаła się z kumem Jędrzejem i z wolna poszła ku chacie.

Markotno było jej jakoś na sercu. Teraz dopiero przypomniała sobie, że miała wrócić na południe, że Waluś pewnie przez dzień nic nie jadł i sam jeden siedział w zamkniętej chacie,—gdy ona piła z kmotrami u Szmula.

— Toć mu obarzanek przyniosłam—pomyślała sobie, jakby dla uspokojenia sumienia.

Poomacku przeszła przez sień.

— Waluś, pódź-ino!...—zawołała, otwierając do izby—naści bułkę i obarzanek!...

Nikt nie odpowiadał.

W izbie było ciemno, że oko wykol; na kominie tylko żarzyło się jeszcze kilka węgla. Wiatr wył na dworze, dzwoniąc stłuczoną szybą. Zdawało jej się, że jęk słyszy. Dziwna jakaś trwoga ogarniała jej duszę.

— Walek!—wołała, trzymając się odrzwi.—Waluś!!... Może śpi?... Waluś!!... Waluś!!!...

Głucho było jak wprzód.

Chwiejnie postąpiła na przód krok jeden i drugi, wtém noga jej na coś miękkiego natknęła. Jakiś złowieszczy wiedziona przez czuciem, schyla się, dotyka—ręka jej dziecka! Przerażona chwyta ją konwulsyjnie; jęk cichy, żałosny dobiega jej uszu...

Widmo nieszczęścia stanęło przed nią w całej swój grozie.

— Waluś!!!... dziecko moje!!!... — krzyknęła i klęka na ziemi.

Nie wiedziała kiedy zapaliła łuczywo.

Czerwonawy płomień oświecił wnętrze chaty. Na kominie leżał żeleźniak przewrócony wpośród węgla i popiołu; na ziemi w kałuży wody—Waluś. Jedną ręką ścisnął konwulsyjnie zapaskę matczyną, druga bezwładnie była odrzucona. Oczy nawpół przymknięte i jęk głuchy zdradzały, że biedak żył jeszcze.

W pięć dni znów było słotno, jak u nas zwykle na jesieni. Niebo ponure, niby step jednostajne, płakało nad szarą ziemią, a wiatr otrząsał powarzone liście. Błoto i błoto...

Przed wiejskim kościółkiem stała na progu niebieska trumienka. Gromadka dzieci z odkrytymi głowami patrzyła w milczeniu na nią. Obok stała Maciejowa, zanosząc się od płaczu,

a przy niej kilka kumoszek, które co chwila wzdychały, kiwając głowami.

— Oj! nacierpiał ci się, nacierpiał przed śmiercią...

— Dalibyście Szymonowa spokój. Czego to wspominać! — odparła jedna. — Przestalibyście płakać, kumo; sam sobie pędrak winien...

— A juści, że sam; wyście nie krzywi.

Maciejowa mimo to łkała.

W dali przy wozie stał rozparty Grzela. Z twarzy widać mu było, że nie jeden wypił kieliszek, pewnie na frasunek. Oparty plecami o wasąg, ciął biczem po błocie i patrzył to na trumienkę, to na Maciejowę — może go teraz zechce.

Ksiądz przyszedł, pokropił; trumienkę na wóz włożono. Siadło przy niej dwoje dzieci z najbliższej chaty i Maciejowa.

Grzela zaciął konie ku cmentarzowi...

.

W pół godziny wracali ku karczmie.

O ZMROKU.

(KARTKI NA WIECZNY TEMAT).





I.

☼ Słońce po raz ostatni spojrzało na ziemię, przejrzało się raz jeszcze w falach jeziora i znikło. Nastawał wieczór, z nim spokój i cisza. Drzewa szumiały, gwarząc o doli i niedoli ludzkiej; od pola dolatywały jeszcze pomieszane głosy, śmiechy i nawoływania, skrzyp wozów i piosnka żniwiarzy; było zwolna kroczyło drogą, miarowo kiwając głowami; gdzieś w dali słyszeć było granie pastucha, a na poblizkiej łące odzywał się to derkacz samotny, to huknęła żaba krótko, nieśmiało i milkła. Jeden tylko bocian klekotał co sił na gnieździe, jakby chciał zagłuszyć głos dzwonka, który jęczał z kościelnej wieżyczki.

Nad brzegiem jeziora, pod lipą, siedziały na ławce, w półcieniu, trzy osoby. Dwie z nich wiodły z sobą rozmowę; był to mężczyzna i ko-

bieta, zapewne młodzi; trzecia siedziała nieco opodal nieruchomo, jakby ukołysana snem lub wspomnieniami minionej przeszłości. Nie kleiła się młodym jakoś rozmowa: mówili zci-cha, urywkowo; to jedno, to drugie wpadało w zadumę; nieraz pytanie pozostawało bez odpowiedzi, lub odpowiedź przychodziła tak późno, że pytający już był się całkiem jej nie spodziewał; w końcu zamilkli oboje—on jął kreślić laską na piasku jakieś dziwaczne zgłoski i hieroglify, ona utonęła wzrokiem w przestrzeni.

Zmrok tymczasem zapadał coraz większy. Gdzieniedzie na niebie pokazała się gwiazdka samotna, jakby wysłana na zwiady, czy inne zaświecić już mogą. Cisza zaległa dokoła: zamilkł i dzwonek kościelny, i granie pastusze i bocian na gnieździe, ludzkie śmiechy i głosy; żaba tylko czasami odezwała się nad brzegiem, a ode wsi wiatr niósł szczekanie Kruczka czy Burka, który strzegł chudoby swego pana. Drzewa gwarzyły dalej; młodzi milczeli, patrząc na gładką powierzchnię jeziora, która zdawała się teraz drugim niebem, usianem miliardami gwiazd i gwiazdeczek. Wieczór był prześliczny, lada chwila miał zjawić się księżyc—król nocy. W końcu i on wzniósł się ponad widnokrąg, czerwony, jak „krwawa pożaru pochodnia...”

— Panie Henryku, już późno być musi... wracajmy; mama będzie niespokojna.

Powstali. Milcząca towarzyszka ociężałe podniosła się z ławki, aby podążyć za młodymi, którzy zwolna szli obok siebie, lecz nie razem. Uszedłszy parę kroków, on schylił się — podniósł kamień, leżący na ziemi.

— Patrz pani... — mówił, rzucając go do wody.—Widzisz te kręgi zrazu małe? Środek ich pieni się, faluje. Z każdą chwilą rosną one i olbrzymieją, coraz słabiej jednak rysują się na powierzchni jeziora, coraz spokojniej w ich środku. Patrz, teraz serce koła spokojnie lśni po dawnemu, gdzieś w dali tylko jezioro marszczy się jeszcze, jak ostatnie wspomnienie, że tam w środku coś działa się... przed chwilą. Tak samo najczęściej z pamięcią ludzi... po rozstaniu. Najpierw serce zapomina. W myśli długo jeszcze błąkają się ostatnie wspomnienia o człowieku, który stał się już obojętnym, wspomnienia coraz rzadsze, coraz blejsze; w końcu i one nikną zupełnie, choć może ten, o którym zapomniano...

— Panie Henryku!...

* * *

Nazajutrz o tej samej porze nad brzegiem jeziora snuła się samotna postać kobiety. Doszedłszy do miejsca, na którym wczoraj

rozmawiali młodzi, zatrzymała się i jąta rzucać drobne kamyki do wody. Kręgi, zrazu małe, zwiększały się coraz bardziej, coraz słabiej rysując się na powierzchni jeziora. Już już miały zniknąć, gdy kobieta nowe rzucała kamyki, jakby lękając się, aby koła nie zatarły się zupełnie. Z poza drzew wyrzwał księżyc — była to ona. Nieraz jeszcze przez parę dni następnych w zwierciadle jeziora odbijała się postać kobiety, rzucającej kamyki do wody. Piątego dnia od rana niebo się chmurzyło. Około południa zaczął deszcz padać i padał bez końca... Wieczorem nikt nie przyszedł nad brzeg jeziora...

Zaledwie w tydzień wypogodziło się znowu. Pod konarami rozłożystej lipy siedziały na ławce dwie znane nam kobiety. Milcząca towarzyszka dziś z zajęciem przysłuchiwała się szczebiotowi młodej kobiety, od czasu do czasu wybuchając śmiechem.

Wieczór był prześliczny. Drzewa szumiały tajemniczo, gwarząc o doli i niedoli ludzkiej; zdala od wsi dolatywały pomieszane głosy, gdzieś na łące odzywało się granie pastusze; powierzchnia jeziora lśniła jak gładkie zwierciadło, zdające się być drugim niebem, usianem miliardami gwiazd i gwiazdeczek. Brakowało księżyca; w końcu i ten się zjawił, czerwony, jak „krwawa pożaru pochodnia...”

— Miss Kate, wracajmy; mama będzie niespokojna — i lekka jak ptaszę zerwała się z ławki.

Towarzyszka zwolna powstała: obie kobiety podążyły ku domowi. Długo jeszcze śmiech srebrny brzmiał nad jeziorem.

A kamień?

Kamień leżał na dnie... zapomniany.

II.

Gwarno i ludno na głównych ulicach Warszawy. Setki powozów i dorożek krzyżują się w różnych kierunkach; dzwonki przy tramwajach co chwila ostrzegają nieostrożnych, na trotoarach roi się tłum wesóły, uśmiechnięty, jak zwykle po południu w niedzielę. Wszędzie pełno; zda się, cała wyległa Warszawa, aby po dniu skwarliwym odechnąć choć przez chwilę świeższym powietrzem, zapomnieć o kłopotach codziennego życia.

Ona tylko pozostała w domu.

Widziała, jak gospodarz wsiadł z żoną do najetego powozu: pojechali zapewne w aleje; widziała, jak naprzeciwko mieszkające małżeństwo odświętnie przybrane wyszło na przechadzkę; słyszała, jak jej sąsiedzi wybierali się całą gromadą na Kępę; po nią nawet za-

chodziła jedna z przyjaciółek, chcąc ją wyciągnąć na spacer—mimo to pozostała w domu, bo smutno było jej jakoś na duszy i dziwnie: niby na płacz jej się zbierało, choć sama nie wiedziała czemu—ot, jak często sierocie...

Zwykle pracowite ręce dziś spoczywały beczynnie, skrzyżowane na kolanach obok książki, którą czytała przed chwilą. Przez uchylone okno z oddali dolatywał ją głuchy zgiełk uliczny, zbliżka—krzyki kilku pijanych robotników, wracających z sąsiedniej szynkowni, i głośna rozmowa stróża, który dziwy opowiadał dwóm towarzyszom, powtarzając co chwila: „Jakeśmy stali, brachu, w Świ-stopolu...”

Minuta za minutą, kwadrans za kwadrantsem płynął; niebo powoli szarzyć zaczynało. Ona siedziała wciąż przy oknie, to wodząc oczyma po dachach sąsiednich, to znowu patrząc na ulicę, gdzie ruch w miarę zbliżającego się wieczoru zwolna zamierał. Zapalone latarnie jak błędne ogniki migotały w zmroku. W domu naprzeciwko błysnęło światło, najpierw jedno, potem drugie, czwarte; stróż przerwał ciekawą opowieść i poszedł zapalać lampy na schodach; z pobliskiego szynku padał śłup światła na ulicę, a w szynku coraz

więcej snuło się postaci, coraz głośnieję rozmawiano.

Kobieta oparła głowę na rękę: na szarém tle nocy zarysował się wyrazisty profil jej twarzy.

I nagle zdało jej się, że ściany pokoju zwolna się rozszerzają. Nie jest to już mały pokój na trzecim piętrze, ale obszerny salon, gustownie umeblowany. Zna go dobrze — to niegdyś salon jej rodziców. Pod oknem, wśród kwiatów, stoi młode dziewczę, obok niej mężczyzna, który piastuje jej dłoń w swojej dłoni. Na kanapie siedzi matka, niby zajęta robotką, oczy jej jednak nie spoczywają na takowej. Spogląda na córkę i dobrotliwy uśmiech igra na jej twarzy. O czem szepczą młodzie?... Ona musi się domyślać—wszak i ona była kiedyś młodą, kochała i była kochaną...

Obraz powoli się zaciera... Gdzieś w dali biją w pogrzebowe dzwony; ulicą noga za nogą ciągnie kondukt żałobny: trumnę wiozą na karawanie, a za trumną idzie dziewczę całe w czerni, nieme, spokojne, jak posąg boleści. Obok postępuje mężczyzna chmurny, zasepiony, a dalej bliżsi i dalsi krewni, znajomi i... ciekawi... Doszli do bram cmentarza, już kroczą wśród gęstwiny krzyżów i pomników. Żałobnicy trumnę stawiają na ziemi, rozlega się śpiew monotony, ponury: „Re-

quiescat..." Ksiądz trumnę pokropił, twarda ziemia z głuchym łoskotem spada na wieko, mogiła rośnie, rośnie... serce o mało nie pęknie dziewczynie, a ona stoi wciąż nieruchoma, skamieniała, bez łzy i jęku.

I znowu salon poprzedni, tylko pusto i smutno w nim jakoś. Pod oknem stoi dziewczę w żałobie i przez łzy patrzy na kanapę, gdzie dzisiaj tylko leży zaczęta robótka kobieca. Mężczyzna, dziś jeszcze bardziej chmurny niż na pogrzebie, przechadza się wielkimi krokami po salonie i targa wąsy niecierpliwie. Mówił jej przed chwilą, że wyjechać musi—sam nie wie, na jak długo; ona mu wierzy, że wróci, a wiara ta pali go i gryzie. Milczą oboje: on dalej po pokoju chodzi, ona patrzy na niego i płacze; w końcu on za kapelusz chwyta, całuje ją w skronie i jak szalony wybiega z salonu, aby nie słyszeć jej płaczu i jej pytania: ale wrócisz?!...

Na ulicy rozległ się turkot; dorożka jakaś stanęła przed domem; kobieta wzdrygnęła się i wstała. Pies, śpiący dotychczas u nóg swojej pani, podniósł do góry głowę i patrzył teraz na nią, wychyloną przez okno na ulicę.

— Jakam ja dziecinna!... — szepnęła zcicha i siadła napowrót w fotelu. — Miałaby wrócić... po latach dziesięciu?...

Nagle zerwała się: serce zaczęło bić jej gwałtownie, cała w słuch się zamieniła. Wierny powstał z ziemi i, poszczekując radośnie, podbiegł ku drzwiom wchodowym: na schodach rozlegał się odgłos znajomych jej kroków... Niel ona śni chyba jeszcze... miałaby wrócić?... kroki słyszeć coraz bliżej — Boże! klamka skrzypnęła.

Nie wiedziała kiedy klucz obróciła w zamku, drzwi się otworzyły: w świetle lampy stał przed nią mężczyzna. Twarz jego dobrze jej znana — to on, widziała go przed chwilą w senném marzeniu, — tak, to on, on niewątpliwie; stary pies go nawet poznaje, łasi się, skowyczy, — bo on nic się nie zmienił, nie cierpiał lat dziesięciu!... Chce wołać: „wróciłeś!” — głos zamiera jej w piersi, nogi gną się, kobieta za klamkę się chwyta.

Mężczyzna patrzył na nią obojętnie, jak się patrzy na ludzi, których po raz pierwszy się widzi w życiu. Uderzył laską psa zlekka i uchylił kapelusza.

— Czy tu mieszka pan Zdzisław Górecki? — zapytał.

Kobieta nie była w stanie odpowiedzieć. Wierny spuścił łeb na dół i schował się za nią, mężczyzna pytanie powtórzył.

— Nie... na drugim piętrze — wyjąkała.

On skłonił się i odszedł, nucąc jakąś piosnkę, a ona pozostała sama... z psem i przeszłością.

.

NIEPŁAKANY.

OPOWIADANIE.

I.

Bila piąta. Ostatnie uderzenia zegaru zagłuszył świst parowej maszyny, urywany, donośny, z którym wlatywały ponad dach fabryczny białe kłęby pary, jeden za drugim. Mknęły hyżo przez wiatr pędzone i nikły stargane na szmaty. Z wysokiego komina buchał dym czarny. Maszyna jeszcze raz gwizdnęła, jeszcze jeden kłąb pary wzleciał do góry i jak poprzednie zniknął w przestrzeni.

Świst maszyny był hasłem ukończenia dziennych robót w fabryce. Wielkie koło rozpędowe zrobiło kilka jeszcze obrotów coraz wolniejszych, coraz słabszych i stanęło, a z niem w przyległym budynku zatrzymały się setki innych kół, kółek i kółeczek, którym ono nadawało życie. Szary dym ledwo snuł się u wierzchu wysokiego komina.

Dziesiątki warsztatów stanęło nieruchomo. Tu świder, który od rana wiercił otwór w wielkiej sztabie, zatrzymał się, nie dokończywszy nawet obrotu; tam piła, hałaśliwie tnąca drzewo na sztuki, zamilkła, jakby zmęczona pracą, która snąć i ją ogłuszała; gdzieś indziej potężny młot utracił siłę w połowie zamachu i legł bezwładnie. Zębate koła, z takim zapałem turkoczące przed chwilą, te ba-by kłótniwe, nigdy niezmęczone, teraz milczały; ucichł zgrzyt pił i kucie młotów; nie słychać już dyskantowych głosów pilników, ani szczerku żelaztwa, ani stukania, kucia, ani tych tysiącznych odgłosów fabrycznych, zlewających się w jeden hałas, w którym najczęściej próżno silisz się rozróżnić ludzką mowę.

W salach warsztatowych panował ruch jeszcze, ale już inny. Robotnicy pośpiesznie składali narzędzia, uprząтали warsztaty, chowali drobniejsze sztuki do szafek; ten i ów musiał oddać koledze wzięte narzędzie, niejedem miał jeszcze o coś zapytać, któryś weselszy pod nosem zanucił, inny jął gwizdać ulubioną piosnkę. Trwało to niedługo; gwar słabł coraz bardziej, w końcu zaległa cisza.

Życie przenosiło się w inną stronę zabudowań fabrycznych. Nieopodal wielkiego gmachu, mieszczącego warsztaty, wznosił się ma-

ły, piętrowy domek, starannie wybielony, rążące przeciwieństwo zakopconych murów fabryki. Długim sznurem, po dwóch, po trzech lub pojedynczo, dążyli w tę stronę robotnicy: była to ich zwykła sobotnia wędrowka po całotygodniowy zarobek.

Na dole, w kantorze, paliło się światło. Przez odsłonięte okna widać było za kratą wielkie żelazne kasy i dwóch urzędników — znali ich doskonale robotnicy. Obydwaj mieli twarze poważne, wygolone; obydwoj byli mało mówni i nie znosili żadnych pytań i żadnych protestacyj.

Zapewne dla utrzymania porządku, do kantoru nie wpuszczano nigdy więcej nad dwóch robotników odrazu. Nikt nie wchodził tu niewołany, każdy czekał wymienienia swego nazwiska w sieni lub na dworze i skracał sobie, jak mógł, chwile oczekiwania. Na dziedzińcu zazwyczaj było dość gwarno, czasami nawet pozwalano sobie na głośne wybuchy śmiechu; zato w sieni nie usłyszałeś żywszego głosu. Stojący tam robotnicy „bez uszanowanie” pozdejmowali czapki i mówili zcicha, bo „pan kasyer okrutnie nie lubił hałasu i zaraz się gniewał,” a każdemu zależało na dobrym jego humorze — w przystępie bowiem wielkiej łaskawości dawał się czasem o „for-szus” uprosić, którego prawie każdy w obe-

cniej porze potrzebował, bo to i rok był ciężki i roboty w fabryce niewiele, a płacono od sztuki.

Co chwila ktoś wychodził z kantoru i wołał następnego.

- Cóż, jak tam stary?—pytano półgłosem.
- Jak zawsze... mruczy.
- Dużoście zarobili?
- A no niby tyle, co w zeszłym...
- Bywajcie zdrowi!
- Zostańcie z Bogiem...

Gromadka czekających zmniejszała się z każdą chwilą; ściemniać zaczęło się na dobre. W sieniach zapalono światło.

Blisko od godziny, koło drzwi, stał oparty plecami o ścianę robotnik, jak inni. Migocząca latarka oświetlała teraz jego siwą głowę, zwieszoną na piersi. Duże krzaczaste brwi kępiły się pod pooranym czołem, twarz okalała krótka biała broda. Stary miał czapkę w ręku. Za każdym otwarciem drzwi podnosił głowę, słuchał i znów ją na piersi opuszczał. Co chwila ktoś koło niego przechodził, ten i ów rzucił mu pozdrowienie, gromadka wciąż się zmniejszała, on wciąż stał o ścianę oparty i wciąż czekał kolei. W końcu pozostał sam jeden.

— Słotwiński!—zawołano.

Stary wszedł do wnętrza. Drewniane jego trepki stukały straszliwie o podłogę. Na czole pana kasyera przebiegła chmura; stary ją spostrzegł i jak mógł nogi stawiał, żeby mniej robić hałasu, w końcu stanął u kraty.

Odetchnął.

- Słotwiński oddał trzy sztuki?
- Tak, panie...
- Należy mu się cztery ruble i kopiejek piętnaście?
- Tak...
- Żadnego forszusu?
- Właśnie chciałem...
- Pytam: żadnego nie brał forszusu?...
- Ani grosza!... ale chciałem pana kasyera prosić... czwartą sztukę mam na ukończeniu...
- Niema czasu, już i tak późno. Jutro... to jest pojutrze niech Słotwiński przyjdzie...
- Okienko kasowe zamknęło się z trzaskiem.
- Jutro... — powtórzył stary, zgarniając pieniądze; i znowu rozległ się stuk trepek po podłodze.
- Niech będzie pochwalony!... — rzekł od proga.

— Na wieki... — mruknięto z za kraty.

Zwolna szedł stary ku furcie przez dziedziniec fabryczny. Głucho już i pusto tu było. Na szarém tle rysował się ogromny budynek z wysokim kominem. Po bokach dwa inne

budynki, długie a niskie, mieszczące w sobie składy i kuźnie, opodal biały domek i drzew kilka; na dziedzińcu wykończone maszyny i narzędzia rolnicze. W oknach kantoru i u szwajcara błyszczy tylko światło, zresztą ciemno. Nigdzie żywej duszy, głosu, ni szelestu, echo tylko przedrzeźnia jego kroki: puk—puk, puk—puk, puk—puk...

Słotwiński na chwilę przystanął i obejrzał się dokoła. Dawno znał już tę fabrykę, bardzo dawno! Pamiętał czasy, kiedy jeszcze gmach, dzisiaj piętrowy, był niskim parterowym budynkiem, kiedy ani maszyny parowej nie było, ani tego wysokiego komina. Wszystkie niemal wspomnienia łączyły się z nią w jego pamięci. Niedaleko, w jednym z niskich domków ujrzał światłoienne. Ojciec jego był robotnikiem, pracował w tej samej fabryce. Jak przez sen pamiętał go z twarzą zawsze czarną, która tylko w święto wracała do naturalnej barwy. Jednego dnia krzyk straszny powstał w fabryce; ludzie biegli, mówiono, że koło kogoś zgruchotało. Matka, wiedzioną przeczuciem, rzuciła robotę i pobięła za innymi. Kiedy stanęła, furta była zamknięta, nikogo nie wpuszczano. Próżno błagała, zanosząc się od płaczu; wreszcie furta się otworzyła i... wyniesiono nieżywego jej męża. Chwila ta utkwiała mu w pamięci: miał

lat ledwie cztery i dziwił się, że jak tatusia do czarnej skrzyni włożono, to taki był biały, jak nigdy, nawet w niedzielę.

W rok niespełna umarła matka—i stróż fabryczny, nie mając własnych dzieci, wziął go na wychowanie. Niedługo był mu ciężarem: za ledwie szósty rok skończył, już stał przy furcie i otwierał a zamykał, i w innej pomagał mu robocie.

Stary pan, „dobre panisko,” jak mówiono, pamiętał o sierocie. Co roku sprawiał mu to buty, to jakieś ubranie; a kiedy chłopak podrośł już trochę i mógł się uczyć, kazał go posyłać do szkoły i sam o jego postępy się dowiadywał. W niedzielę Jakóbek chodził zwykle do „pana” bawić się z „paniczem,” młodszym o lat kilka od siebie, do którego przywiązał się bardzo. Później nauczono go ślusarstwa i Słotwiński w czternastym roku życia stanął przy warsztacie do pomocy dawnemu przyjacielowi ojca.

Nic dziwnego, że zrósł się z fabryką, która długi czas była dla niego wszystkiem, jego światem, rodziną.

Rok za rokiem mijał. Słotwiński dorósł, ożenił się, stracił żonę, dwoje dzieci mu umarło—i znów został sam jeden, gdy wezwał go syn właściciela, pytając, czy nie będzie mu towarzyszył. Przestał: w piekło byłby po-

szedł z „paniczem,” wyszli więc nocą w kilku-nastu z „paniczem” na czele. Kilka miesięcy dzielili razem dolę i niedolę; potem panicz padł ugodzony kulą i wspólna go gdzieś w lesie przykryła mogiła, a on poszedł piechotą daleko, het, na północ, w krainę śniegów i lodów.

W kraju niby nic nie zostawił: parę mogił, fabrykę i starego pana, a jednak tęsknił za niemi. Lat kilkanaście, jak wieki długich, zwracał się ciągle myślą w ich stronę, w końcu powrócił zgarbiony, schorzały, złamany.

Próżno szukał tego, co zostawił. Groby zarosły, czy zapadły się w ziemię — odnaleźć ich nie mógł; „stare panisko” nie żył, a fabryka przeszła w obce ręce. Po dawnych właścicielach śladu nie zostało; terazniejsi przyjechali z daleka, zaprowadzili nowe porządki, nowe maszyny, postawili nowe budynki, nawet sprowadzili nowych ludzi z zagranicy — jak zwykle. Wszystko się tu zmieniło, prócz jednej furty; ona tylko pozostała taka sama jak wprzód. Ileż razy ją otwierał, a ile przechodził! Każdy gwóźdź był mu znajomy i ten młotek do pukania, nawet ta dziura w desce po sęku, przez którą dzieckiem zaglądał...

Zapłakał...

W pierwszej chwili chciał był iść w świat, ale nie mógł — coś go do tych miejsc przykuwało: fabryka streszczała wszystko, co mu zostało z przeszłości. We dwa tygodnie przyjęto go znowu do warsztatów i odtąd fabryki nie opuszczał. Obco mu tu wprawdzie z początku było; ludzie wszyscy prawie nowi, z niejednym dogadać się nie mógł, bo ten po polsku nie rozumiał, czy nie chciał rozumieć; w parę lat jednak zatarły się dawne wspomnienia w pamięci starca i Słotwiński znów się do tych murów przywiązał całym sercem, które nie miało już kogo kochać na świecie.

To też wierniejszego robotnika nie było w całej fabryce. Wtedy, gdy inni sarkali, i słusznie, on zawsze starał się tłumaczyć zarząd i właścicieli. Dziwiono się, śmiano nawet z tej gorliwości, o której pewnie nikt nie wiedział — ani zarząd, ani właściciele. A oni? oni jak zwykle: kiedy Słotwiński chorował, to się musiał na chorobę zapożyczyć, bo z „kasy dać nie chcieli...”

Przypominano mu to nieraz; on milczał, a potem mówił swoje.

Rok temu zamieszkał w jednym z nędznych domków przedmieścia. Izdebkę odnajęła mu wdowa, kobieta już niemłoda, matka czworga drobnych dzieci. Zagrobina utrzymywała się z prania.

— Nie jestem ja tam wymyślna praczka — mówiła, — juścić ani dla hrabiów, ani dla biskupa nie pieram, ale piorę jak się należy; bielizny nie spalę, ani rozgotuję; zawsze więc mam dość roboty: i dla mnie i dla dzieci starczy; a że się człowiek napracuje, to trudno...

Z dzieci najstarsze miało lat dziewięć, najmłodsze cztery. Urodziło się w tym samym roku, kiedy „Zagroba — Panie świeć nad jego duszą! — wziął i umarł.”

Słotwińskiemu jakoś raźniej się zrobiło na sercu od czasu, kiedy zamieszkał małą izdebkę u Zagrobiny. Dzieci pokochały „dziadusia,” matka zawsze z dobrém słowem doń się zwracała, pamiętała o nim — i stary, który dawno był już wszystkich stracił, uczuł się znów jakby wśród swoich. Do dzieci przywiązywał się coraz bardziej i wkrótce przekonał się, że serce musi dzielić pomiędzy fabrykę a domek na przedmieściu.

Ot i teraz zatrzymał się markotny na dziedzińcu fabrycznym, bo słyszał, będąc w domu na obiedzie, jak Zagrobina utyskiwała, że nie ma za co kupić butów Jankowi, który ma zacząć chodzić do szkoły. Słotwiński chciał jęj „pożyczyć,” oddałaby przecie później, albo onby odmieszkał — i dlatego ośmielił się prosić o zaliczkę, gdyż sam niewiele

zarobił: robota była prawie skończona, mogli dać. Omylił się: kazano mu przyjść jutro... nie, pojutrze nawet...

Machnął ręką i zastukał do stróża.

— O! pan Słotwiński na samym końcu!

— Jak zwykle stary...

— A cóż tam dobrego?

— Dobrego?.. Ta nic, choć i złego niema. Wszystko dobrze, póki człowiek pracować może.

— Święta prawda!

— To tylko źle, że mu coraz trudniej. Nie to to dzisiaj, co dawniej bywało — mówił z westchnieniem; — ręka słabnie, w głowie czasami się tak kręci, że musisz spocząć choć chwilę; a potem przyjdzie sobota i człowiek ledwie parę rubli odbierze. Zawsze i to dobrze, że jest... Dobrzej nocy!

— Dobrzej...

Furta skrzypnęła, Słotwiński powlókł się ku domowi. Zaledwie uszedł kilkanaście kroków, pędem przeleciał obok niego powóz, unosząc z sobą jakiegoś pana i panią. Słotwiński znał dobrze i ten powóz i jadących: był to właściciel fabryki, Zygfryd von Felsenstein z swą młodą żoną. Machinalnie sięgnął do czapki i odkrył siwą głowę.

Powóz popędził dalej.

II.

Wejście Słotwińskiego dzieci przyjęły okrzykiem: „Dziaduś!” „dziaduniol!” wołały na różne tony, szarpiąc starego, nie dając mu krokiem się ruszyć. Mały Ignas uczeplił się z tyłu. Frania wspinała się na palce, nadstawiając buziaka; Jaś, jako najstarszy, spokojnie go w rękę całował; zato Michaś ciągnął go z całych sił, chcąc mu gwałtem pokazać pałasz, który ze znalezionej gonta ustrugał. Co wieczór powtarzała się mniej więcej ta sama historia; co wieczór stary niby się gniewał, niby to burczał na dzieci, ale tak jakoś, że nawet najmłodszy Ignas w prawdziwość gniewu nie uwierzył.

— Co to to znaczy, smarkacze?... Chcecie starego zamęczyć, czy co?... Wynosić mi się zaraz, bo...

— Dziadusiul...

— Słuchać, żaby, i basta!

Ale dzieci ani myślały ustąpić.

— Dajcie mi przynajmniej czapkę położyć — mówił; — niech choć ręce obetrę, bo czarne... Jeszcze was pomorusam, a pewnie matka na święta pomyła.

— A ma się rozumieć — odezwała się Zagrobina, która z uśmiechem patrzyła z boku na starego, jak się z dziećmi upędział. — Ma

się rozumieć! Zawala się to tak przez cały tydzień, choć codzień myję, żebyś się ani domył w niedzielę... Poszorowałam wszystko czworo... A to nieźnośne dzieciaki! Przestaniecie wy?!...

Nie tak to łatwo było uspokoić dziatwę, która dalej szarpała starego. Ten wciąż im niby groził, wciąż jednak uśmiechał się i oczami mrugał: rad był dzieciom — przypominały mu one dwoje jego własnych, których nawet mogiłek nie znalazł...

— A cóż też to za utrapieńcy!... — wołała Zagrobina, rozpędzając dzieci ścierką. — Będziecie wy słuchać?!... Jasiu, wytarłbyś miszkę na mleko, bo kartofle już się ugotowały.

Słotwiński nakoniec mógł przejść do swojej izdebki. Ubogo, ale schludnie tu było: proste łóżko drewniane ze skromną pościelą, nad łóżkiem krzyżyk, pod oknem stolik sosnowy, niegdyś na czerwono malowany, dwa stoliki, kuferek zielony, okuty — i oto wszystko.

Słotwiński obejrzał się raz jeszcze, ode drzwi pogroził palcem Ignasiowi, który za nim się skradał, czapkę na gwoździu powiesił, wytarł ręce i wrócił do pierwszej izby, gdzie na stole dymił się już garnek z kartoflami.

Zagrobina przerwała prasowanie, poprawiała czepeczka i jęła usadzać dzieci za sto-

łem. Słotwiński siadł na zwykłym swym miejscu, a że był bardzo głodny, jadł więc, nie mówiąc ni słowa. Przez czas jakiś w izbie słychać było tylko szcęk łyżek; misa mleka i garnek kartofli znikły w okamgnieniu. Zagrobina przeżegnała się, dzieci poszły za jej przykładem i zerwały się z swych siedzeń.

Słotwiński zapalił krótką fajeczkę.

— A może bielizna żółknie?

— Eh, niech pan Słotwiński pali—mówiła Zagrobina, prasując dalej.—Nic nie szkodzi: co ma żółknąć...

— Bo to rozmaicie mówią... — i puszczał dalej kłęby dymu.

Zaledwie dziatwa uprzątnęła od kolacyi, co było jej obowiązkiem, już Frania usiadła staremu na jedném kolanie, Ignasz rozkwatrował się na drugiem, Michaś oparł się z boku, Jaś tylko stał spokojnie. Zaczęła się rozmowa. Dzieci, jak dzieci, pytały bez końca, — stary objaśniał im i odpowiadał, ćmiąc dalej fajeczkę.

Na chwilę rozmowa się urwała i znów:

— Dziadusiu...

— Czego chcecie?

— Powiedz nam bajkę!... mój dziadusiu, mój złoty dziadusiu...

— My tak słuchać lubimy...

— Kiedy już żadnej nie umiem, wszystkie wam opowiedziałem...

— To którą starą... mój biały dziadusiul!—przymilała się Frania.

— Ej, turkawko! nie kuś starego...

— Tylko się nie gniewaj!

— No, dobrze, opowiem wam bajkę.

— Co też pan z dziećmi nie wyprawiał!—mówiła Zagrobina, która wtrącała się od czasu do czasu w ich rozmowę.—Bałamucą się smarkate i potem rady ani dać z niemi.

— Co to szkodzi, moja panil!... młode to i małe...

— A bajka? — dopominało się któreś.

— No, słuchajcie!

Dzieci ucichły, stary zaczynał:

— Było trzech braci: dwóch mądrych, jeden głupi.

— Wiemy! wiemy! wiemy! — zawołały chórem.

— Cicho mi zaraz! Mówiliście, że słuchać będziecie staręj; nie chcecie, to wam żadnej nie powiem.

— Eh... kiedy bo...

— Niema żadnych „ehll” — i stary jął się znowu chmurzyć, puszcżając wielkie kłęby dymu z fajki. Dzieci patrzyły niedowierzająco. Frania zaczęła głaskać go po twarzy i całować: „dziadusiul drogi dziadusiul...” Sta-

ry dalej mruczał, bawiąc się zakłopotaniem dzieci. Było mu dobrze, bardzo dobrze... Gdyby tak jeszcze buty był kupił Jankowi... w przyszłym tygodniu sprawi mu niezawodnie.

Nagle Zagrobina postawiła żelazko i podbiegła do okna: zdawało jej się, że słyszy jakiś niezwykle ruch na ulicy.

— Jasiu, skocz-no na ulicę, zobacz, co się dzieje...

Jaś nie dał sobie dwa razy mówić, schwycił za czapkę i wybiegł. Słotwiński uspakał, że pewnie dwóch pijaków rozpoczęło zwadę, kiedy wpadł Jaś przerażony i blady.

— Mamo... pali się!

— Jezus Maryal...

— Co się pali? Gdzie się pali?—pytał stary gwałtownie.

— Ja nie wiem...

Ruch na ulicy się wzmagał, rozległy się krzyki:

— Gore!!! Pali się!! Gorell

Stary się zerwał, gdy wtępnym drzwiami otworzył się z łoskotem. Na progu stał jeden z robotników jak trup blady.

— Jakóbie... fabryka się pali!

— Fabryka?!—zawołał i wypadł na ulicę: krwawa łuna widniała na niebie.

Bez czapki, z rozwianym włosom, pędził Słotwiński w stronę zabudowań fabrycznych. Tchu mu co chwila brakowało, przystawał i znów pędził dalej. Potrącano go, pchano, o mało nie przejechały go konie,—on nic nie słyszał, nic nie widział prócz łuny na niebie...

Jeszcze się ludzi nadzieją... Niel niel już niema wątpliwości: fabryka stoi w płomieniach.

Stary zatoczył się i oparł o drzewo.

Przed nim ogień bucha i pryska. Miliardy isker sypią się dokoła; dym czarny, gęsty, gryzie i dusi... Setki ludzi walczy z rozszałym żywiołem — na próżno! Ogień szerzy się coraz bardziej, coraz dalej...

Słotwińskiego pod drzewem już niema...

III.

Było już koło południa, kiedy Słotwiński otworzył oczy. Nic prawie nie pamiętał, czuł tylko straszny ból głowy. Machinalnie sięgnął: ręka trafiła na chustę. Jęknął.

W tej chwili otworzyły się drzwi i zajrzał przez nie Zagrobina.

— I cóż, panie Słotwiński, jak się czujecie?

— Głowa boli straszliwie...

— A bo też potrzebnie wam było leżać w sam ogień! Niestety...

— Aaa...

Zagrobina krzątała się po izdebce.

— Niech pan pozwoli, okład zmienię — mówiła, maczając szmatę w wodzie.

Slotwiński przysiadł na łóżku.

— Czy już ugasili?

— Niezupełnie; jeszcze gaszą. Taki pożar!

— Spaliło się?...

— Wszystko...

— Wszy...stko... Mój Boże!

Znów opadł na poduszkę. Zagrobina jęła mu odwiązywać chustę, odrzuciła okład — pokazała się na głowie długa, szeroka rana. Tu i owdzie wśród siwych włosów krew skrzepła.

— Wszystko!... — powtórzył.

Zagrobina zmieniła okład, stary chciał wstać.

— A to gdzie pan Slotwiński?

— Chcę iść...

— Gdzie? po co?

— Do... fabryki.

— Co też panu Slotwińskiemu przyszło do głowy?! Ledwieśmy się docucili w nocy, i pan chce iść do fabryki? Toć doktor wyraźnie powiedział, żeby spokojnie leżeć, póki się nie zagoi. Niewielkie rzeczy, kość nienaruszona...

Stary patrzył na nią dużemi oczyma: zdawał się dopiero teraz przypominać przejścia zeszlęj nocy. Przed oczyma stanął mu straszny

obraz pożaru, — przypomniał sobie, że ratował z innymi. Tak, był bardzo blisko... więc nie pamiętał. Sięgnął ręką do głowy i syknął z bólu.

— Niech się też pan położy — mówiła Zagrobina.

Usłuchał.

— Wszystko... Mój Boże!...

Przez drzwi nawpół otwarte wszedł Ignasz z Franią, trzymając się za ręce. Dzieci stanęły w nogach łóżka, trwożnie spoglądając na „dziadusia,” który leżał teraz z przymkniętymi oczyma. Zagrobina mówiła prawdę: rana nie była ciężką, skóra na głowie aż do kości przecięta, ale kość nienaruszona. Rano opatrywał ją felczer, zwany „doktorem.”

— Jeżeli gorączka się nie wzmognie — mówił bękart Eskulapa, — no, to pewnie i nic mu nie będzie; trzeba jednak zawsze głowę okładać z zimnym kompresem, bo się może wywiązać zapalenie mózgu... Zresztą, może do szpitala?...

Zagrobina aż się zachnęła.

— Ani myśleć o tém! Kiedy może leżeć w domu, niech leży. Toć tu mu każde posłuży...

— No, potrzeby niema...

Slotwiński, prawie nieprzytomny, całej tej rozmowy nie słyszał. Zagrobina zaraz za-

krzątnęła się i wysłała dwoje starszych dzieci do znajomych, aby w domu nie hałasowały, zatrzymując przy sobie Ignasia i Franię, które większej potrzebowały opieki. Była niedziela—mogła się cała oddać pielęgnowaniu chorego. Teraz, zobaczywszy dzieci wchodzące, nakazała im palcem milczenie i siadła pod okienkiem, niszcząc paciorki różańca.

Nie zmówiła dwóch Zdrowaś, kiedy otworzyły się drzwi w pierwszej izbie i rozległy się kroki kilku mężczyzn. Zerwała się zaraz z siedzenia, Słotwiński od ściany się odwrócił.

Do małej izdebki weszło czterech mężczyzn. Okopcone ich twarze piętnował jeden wyraz smutku i znużenia. Zapach dymu i spaleniźny przynieśli z sobą.

— Jak się macie?... — szepnął Słotwiński.

— Przyszliśmy, Jakóbie — mówił z nich któryś,—zobaczyć, co się z wami dzieje. Taki wypadek...

— Nieszczęście, mój Tomasz, nieszczęście...

— Oj, nieszczęściel... — wtrąciła Zagrobina. — Ale niech panowie siadają.

— Postoimy, proszę pani.

— Ale cóż znowu! toć wracacie pewnie prosto od ognia?

— A juści...

— Franiul rusz-że się! przynieś stołek i postaw panu Dederce... Panie Ludwinku, niech pan siada... panie Srebrzyński...

— Siadajcie, moi drodzy — prosił stary.

Frانيا przydzwigała stołek—w końcu ja-koś się wszyscy pomieścili, najmłodszy siadł na kuferku.

— Jakże wasza głowa?

— Ot boli... i boląc przestanie, ale...

— Ale was siarczyście ta cegła płatnęła...

— Ta... głupstwo: dziś jutro się zgoi.

— Dałby Pan Bóg; a byliśmy już o was w strachu, jak poszłicie pod sam ogień z tym węzem od sikawki... Jezus Marya!... zaczynają wołać: „łać go wodą! łać go wodą!” bo się zdało, że wszystko się na was zapali..

— Toć tak blisko ognia nie byłem!

— Bogać tam!... Nad wami buzowało aż strach... Skóra na mnie ścierpła, jakem parzył, i dygotałem cały. A tu ktoś krzyknie: „Słotwińskiego zabiło!” Jezus Marya! sądny dzień, czy co?! Dyrektor klnie: „*Verfluchte Teufell...*” ludzie drą się, potracili głowy... myśleliśmy: już po was... a tu jak się nie ciśnie Ignac z Ludwikiem w ogień, jak dyabły jakie... minuty nie wyszło, już nieśli was na rękach...

— Dobrzy ludziska... niech Bóg im nagroził!

Stary spojrział dokoła, jakby ich szukając.

— Gdzież oni? — zapytał.

— Mówiłem, żeby zaszli do was, śpieszno im było.

Zagrobina nie pierwszy raz słyszała to opowiadanie, mimo to nie mogła leż powstrzymać, które gwałtem ję się do czu tłoczyły.

— Jezu, mój Jezuniu!... — i wycierała nos, i znowu wzdychała.

Milczenie zaległo w izdebce. Słotwiński leżał nieruchomo, patrząc na towarzyszy, którzy siedzieli teraz z pospuszczanymi głowami pod brzemieniem troski. Słotwiński zgadywał ją, nie potrzebował pytać—i jemu leżała ona na sercu.

— Cóż oni? — zapytał.

— Niby dyrektor i pan Felsenstein? — spytał Dederka.

— A tak.

— Nic. Wczoraj całą noc byli przy ogniu; nad ranem pan poszedł, dyrektor to może dwie godzin temu.

— Nic nie mówili?

— Do nas nic. Szwargotali sami coś po niemiecku i tyła. Strasznie mieli markotne miny. Pan to palił cygaro za cygarem.

— Taka strata!...

— Oj, strata! strata!... Oni stracili, ale co z nami będzie? Fabryka nieprędko stanie, tu

zima za pasem, roboty nie będzie, z głodu przyjdzie umierać...

— Toć przecie jak psom mrzść nam nie dadzą...

— Kto ich tam wiel! Dobrego nie od nich czekać... Pamiętacie, co było ze Zgagą? Człowiekowi prawą rękę urwało, chłop do niczego się zrobił: dali mu dziesięć rubli, i ruszaj, gdzie oczy poniosą. Żona, dzieci... na dziadów wyszli.

Zagrobina westchnęła, w izdebce znów się zrobiło cicho; każdy zdawał się pytać z przerażeniem w duchu, czy go nie spotka los Zgagi.

— Myśmy właśnie przyszli — począł Ludwinek — do was wedle rady.

— Cóż ja wam poradzę?

— Zawszeć jesteście najstarszy między nami, to może co i poradzicie... Możeby iść do pana Felsensteina i prosić, żeby nam dał jakie zajęcie. Spaliły się główne warsztaty, ale kuźnie zostały.

— Ha! może i da się co zrobić.

— Spróbować nie zawadzi.

— Juścić, toć my tylko pracować chcemy.

— Nie poszlibyście z nami, Jakóbie?

— Dobrze; kiedy trzeba, to się człek zwlecze...

— Ani myśleć, panie Słotwiński! — zawołała Zagrobina — nic z tego nie będzie... Dzi-

siaj niech pan leży spokojnie, zaraz okład zmienię. Póki głowa niezagojona, z łóżka ani krokiem!... Jutro...

— To jutro, moi drodzy... dziś bardzom słaby...

Ani przypuszczał Słotwiński, że nazajutrz nie będzie się mógł ruszyć. Gorączka się wzmogła, głowa bolała straszliwie, zimne okłady co chwila trzeba było zmieniać. Zagrobina cały dzień przy nim siedziała. Około południa przyszli towarzysze—nie puściła ich nawet do chorego, bo doktor, którego rano zawezwała, zabronił mu rozmowy, zapisując jakieś lekarstwo. Zagrobina uprosiła Dederkę, aby wstąpił na chwilę, wracając, i powiedział, co odpowiedziano im w „kantorze.”

We dwie godziny wszedł pocichu Dederka i skinął na nią ode drzwi. Zagrobina wyszła na palcach do pierwszej izby, żeby nie budzić starego. Już z twarzy zmiarkowała, że niedobre będą nowiny.

— I cóż? — spytała półgłosem.

— Nic — odparł i umilkł.

— Widzieliście się z nimi?

— A jakże: pan dyrektor do nas wyszedł.

— No i cóż? Mówcież prędzej!

— Cóż będę mówił?... Powiedział, że fabryka się spaliła, więc jój niema, to i roboty być nie może, bo pan poniósł daleko większe

straty, pół miliona rubli, kiedy żaden z nas nic nie stracił, bo każdy może iść do innej fabryki i tam pracować...

— Ciekawam gdzie, jak jedna fabryka w mieście!

— Tak mówił...

— A w kuźniach?

— Mówił, że są kowale; zresztą gadali, że w kuźniach zostaną się tylko ci, co to ich z zagranicy przywieźli...

— Pan widział się z wami?

— Nie, lokaje puścić nie chcieli. Pan kasjer tylko mówił to samo...

— A on jaki?

— Jak zawsze: polazł do kasy, bo się kantor nie spalił.

Zagrobina milczała. Nagle zagadnęła:

— Więc mówicie, że lokaje nie chcieli wpuścić?

— Juścić, gadali, że pan chory.

— Łzał...

— Pewnie...

Chwilę porozmawiali jeszcze, w końcu Zagrobina pożegnała Dederkę.

Kiedy obudził się Słotwiński, Zagrobina, ubrana w białe, wykrochmalony czepek i odświętną chustkę, wybierała się gdzieś na miasto. Przy łóżku Jaś siedział.

— Gdzie to... pani... idzie?—pytał Słotwiński powoli.

— Mam interes, niech pan będzie spokojny. Jasiu, pamiętaj, dziecko, dać lekarstwo za pół godziny; ja niedługo wrócę.

Dobrze się już ściemniało, kiedy Zagrobina wróciła do domu; była zamyślona i chmurna. Słotwiński spał znowu.

Następnego dnia gorączka wzmogła się — Słotwiński cały dzień przespał, budził się tylko na krótko, zażywał lekarstwo i znów zasypiał. Mimo całego niepokoju, Zagrobina znowu wyszła gdzieś na miasto, zostawiając starego na opiece Jasia, i znowu powróciła zamyślona i chmurna. Pod wieczór lękano się, że zapalenie mózgu wywiąże się niewątpliwie; szczęściem nazajutrz gorączka zelżała, rana zasklepiła się, a następnego dnia Słotwiński przysiadł po południu na łóżku i bawił się z dziećmi, które obległy dokoła swojego „dziadusia” po dawnemu.

Zagrobiny nie było—od czterech dni stale wychodziła o jednej godzinie. Przez pierwsze trzy dni brała za każdym razem świeży czepek i nową chustkę; dziś wybiegła, jak stała, chustkę tylko zarzuciwszy na ramiona.

Dzieci szczebiotały ze starym, gdy nagle otwarły się drzwi i do izdebki weszła zady-

szana Zagrobina. Słotwiński spojrział na nią z przestrachem.

— Co się stało?—zawołał. — Mówcie! Znowu nieszczęście?

— Wyjechali!

— Kto... kto wyjechał?

— A któżby: p. Felsenstein!

— Toć wróci.

— Zkąd!... wyjechał za granicę. I pani pojechała... Cztery dni chodziłam, prosiłam się lokajów, żeby puścili... Co dnia mi „jutro” kazali przychodzić, a dziś pan wyjechał...

— Cóżecie wy od nich chcieli?... — zapytał stary i krzaczaste brwi zbiegły mu się pod czołem. Zagrobina spojrziała na starego; nie wiedziała, co odpowiedzieć: w tajemnicy przed starym chciała dlań coś zrobić, a teraz...

Ale brwi już się rozsunęły i przygasłe oczy łagodnie na nią patrzyły: stary ją odgadł i nie pytał.

IV.

W miarę jak siły wracały staremu, coraz czarniejsze myśli snuły mu się po głowie. Nim wstał z choroby, wiedział o wszystkim: i o tém, że robotnikom nie dano żadnego zająęcia, ni zapomogi, i o tém, że fabrykę niezaraz miano odbudować. Sąd przeprowadził

już śledztwo, zkąd pożar wynikł—i wykrył, że „z niewiadomój przyczyny.” Wszystko było w porządku. Stróż jak dawniej furtę otwierał i zamykał, kasjer jak dawniej siedział w białym domku za stołem, pan z panią jak zwykle za granicę wyjechali,—nic się więc dla nich nie zmieniło,—tylko w tém miejscu, gdzie dawniej wznosił się gmach fabryczny, teraz sterczały bezkształtne gruzy, a no i stu kilkadziesiąciu robotników zostało bez chleba.

Śpieszno było staremu do jego fabryki. Pierwszego zaraz dnia, kiedy zwlókł się z łóżka, wybrał się o kiju, z głową zawiązaną, w znajomą mu drogę. Szedł powoli, zatrzymywał się, jednak szedł. Głowę opuścił na piersi, patrzył w ziemię, jakby lękając się widoku, który miał ujrzyć za chwilę. Próżno Jaś, który mu towarzyszył, do niego przemawiał: stary zbywał go niczém, lub milczał.

O kilkadziesiąt kroków od muru, otaczającego zakłady, stanęli. Słotwiński podniósł głowę i spojrzał: na szarém tle rysował się wysoki komin fabryczny, zczerniały od dymu i płomieni. Widok ten dodał mu otuchy: nie widział wprawdzie ani dachu, ani wieżyczki ze dzwonkiem, ani zegara,—zawsze jednak coś było. Chwilę powstał, jakby zbierając siły, i poszedł ku furcie. Furta otwierała się przed nim, jak otwierała się przez całe

lata; stróż go przywitał, ale stary na nic nie zważał—szedł prosto przed siebie ku gruzom. Łzy mu płynęły po twarzy, nogi trzęsły się—on szedł dalej, już stanął na rumowisku, odkrył głowę i płaczem ryknął.

Jaś schwycił go za rękę.

— Dziadusiu, nie płacz... nie płacz, dziadusiu! — wołał i sam płakał, a stary chwycił go za głowę i do piersi tulił...

Fabryki... nie było!

Wtém głosy kilku osób zwróciły jego uwagę. Wstyd mu było leż przed obcymi—obtarł je szybko i stanął na boku; jacyś panowie, między nimi dyrektor i kasjer, zbliżali się do pogorzeliska.

Obojętni przechodzili koło starca, który stał z odkrytą głową, trzymając za rękę chłopaka z zaczerwienioną twarzą. Było ich pięciu; mieli z sobą papiery, plany, rejestra; oglądali, pisali, liczyli. Jednego z nich tytułowano „inspektorem;” Słotwińskiemu obijały się o uszy: „ubezpieczenie,” „składki,” znów „ubezpieczenie,” „dwakroć” i t. d.

Nikt słowa do niego nie przemówił—przyszli i poszli dalej.

Jaś pociągnął za rękę „dziadusia.”

— Co to za panowie?

— To przyjechali ocenić straty, przez pożar zrobione.

— A po co?

— Żeby zapłacić za wszystko, co się spaliło.

— Czy i tobie, dziadusiu, za tę ranę zapłacą?

.

Wróciwszy do domu, Słotwiński zastał Zagrobinę przy pracy. Dzieci jak zawsze przyjeły go okrzykiem radości, on przywitał się z nimi i poszedł do swój izdebki wypocząć chwilę.

Położył się na łóżku i dumał. Niewesołe były jego myśli. Poza nim życie pełne trosk i bólów, przed nim — kto wie, co go czeka? Z chwilą spłonięcia fabryki stracił wszystko, co przez długie lata kochał, co mu zastępowało rodzinę, do czego jak pies był się przywiązał. Nie rozumiał siebie bez fabryki, ani fabryki bez siebie — zrósł się z nią niemal w jedną całość. Teraz fabryki... nie było!

To cios jeden. Z nim równocześnie spadł nań cios drugi: pożar wydarł mu możność pracy. Słotwiński nie umiał inaczej na chleb zarabiać i był zastary, aby się imać nowej pracy: ciężko na schyłku życia zaczynać na nowo! Dziś i jutro miał jeszcze co do ust włożyć — w skrzynce chował kilka rubli na czarną godzinę, która teraz wybiła; było jednak

tego niewiele—mogło wystarczyć zaledwie na czas krótki, a potem...

— Potém?...—pytał sam siebie, przysiadł na łóżku, targał siwego wąsa i znów rzucał się na pościel.

Z sąsiedniej izby dolatywał go głos Zagrobiny i szczebiot dzieci. Zdawał się wsłuchiwać w głosy, dochodzące go z izby, myśleć nad czémś głęboko. Krzaczaste brwi zbiegły mu się pod czołem, które sfałdowało się teraz pod ciężarem myśli.

— Nie, nigdy! — szepnął nagle do siebie, wstał i jął przewracać w kuferku.

Na samym dnie kuferka leżał węzelek, z którego wyjął czerwoną chustkę. W jednym z jej rogów miał zawiązany dorobek całego życia: kilka srebrnych rubli i trochę papierków. Liczył i przeliczał je bez końca, wreszcie zawiązał znów chustkę i zamknął kufer.

Powoli poszedł do pierwszej izby, gdzie Zagrobina stała za wielką balią. Zaledwie siadł na stołku, już mu się Frania umieszcila na kolanach i głaskała starego po twarzy. Zagrobina mówiła, a on słuchał, puszczając kłęby dymu z krótkiej fajeczki.

Gwarzyli o tém i owém—niedługo jednak wpadli na przedmiot, najbardziej ich obchodzący.

— Bieda — mówiła Zagrobina, — bieda!... tytu ludzi bez pracy, a tu jesień i zima za pasem. Strach pomyśleć... Dederkowie krowę sprzedali; Ludwinkom dziecko zachorowało, wyzbyli się wszystkiego... on pono stróżem został... mój Boże, taki porządny rzemieślnik!...

Stary milczał, tylko coraz większe kłęby dymu puszczał.

— Bieda... — rzekł w końcu przez zęby. — I mnie trza myśleć o robocie.

— Zaraz o robocie! Niech pan Słotwiński wprzód wydobreje; na wiosnę może fabrykę postawią.

— Nie postawią, nie postawią, moja pani... Do wiosny daleko; trzeba wziąć się do pracy, żeby nie umrzeć z głodu... w świat może...

— Cóż znowu?! Czy to panu Słotwińskiemu tak źle u nas?... Może kasza była zająłowa?...

I patrzała na niego jakoś dziwnie.

— Moja pani... czyż nie macie swoich czworga?... — odparł jój stary i otarł twarz rękawem.

Nie powrócono nigdy do tego przedmiotu. Stary co dnia chodził na pogorzelisko, gdzie spotykał dawnych swych towarzyszy, uprzątających gruzy. Po dwa złote dziennie płacono—trudno! i to było dobre, kiedy głód za-

czął do domu zazierać. Na razie było to jedyne ich utrzymanie.

Sam nie brał się jeszcze do roboty: sił mu brakło; próbował, ale kilof z rąk mu wypadł; siadał więc najczęściej na boku i patrzył, lub gawędził z którym. Odzyskał w końcu dawne siły, w głowie mu tylko czasami tak okrutnie szumiało, że rady dać sobie nie mógł. Czasami znowu zdawało mu się, że świat się cały kręci — i wówczas chwycił się rękoma, żeby nie upaść. Felczer objaśniał, że to skutki rany. Z każdym dniem coraz mniej mówił, coraz dłużej przebywał za domem, wreszcie jak wyszedł raz rano, pożegnawszy się z dziećmi, tak więcej nie wrócił.

Daremnie Zagrobina wypytywała ludzi, czy nie widzieli starego. Dawali jój najsprzeczniesze wskazówki; jeden tylko stróż fabryczny na pewno jój mówił, że tego dnia przyszedł Słotwiński jak zwykle na pogorzelisko, obszedł je kilka razy dokoła stawał, patrzył, potem wziął kamień z dawnych ścian gmachu, schował do kieszeni i poszedł prosto przed siebie.

— Hardy był... nie chciał mojego chleba—myślała Zagrobina i miała żal do niego.

Nikt go więcej nie widział.

KANCELISTA.

OPOWIADANIE.

ózeł Bartnicki był kancelistą. Miał lat około czterdziestu, wyglądał jednak na znacznie więcej: twarz okolona rzadkim zarostem, zawiedła i blada, przygasłe oko, siwiejące włosy, cała wreszcie postawa przygarbiona i sucha, dawały mu cechy człowieka, który przeżył pięćdziesiątkę, a może i więcej. Niezbyt jeszcze dawno był to mężczyzna pełen życia—dziś sprawiał wrażenie drzewa, które schnie powoli; patrząc zaś w jego zapadłe oblicze, mogłeś sądzić, że człowiek ten wczoraj się podniósł po ciężkiej chorobie, lub jutro się położy, by nie wstać więcej — taki był blady, mizerny i sterany.

— Józiu, co się z tobą stało?... Tyś chorował?... — pytali nieraz dawni towarzysze po paru latach niewidzenia.

— Czyż ja mam czas i możliwość na to? — brzmiała zazwyczaj jego odpowiedź.

Bartnicki nie chorował. Zdaniem jego, na takie „wybryki” mogli sobie ci tylko pozwalać, dla których dzień jeden, dwa lub więcej bezczynności nic nie znaczą, którzy mogą płacić doktora i aptekę, ale nie „wyrobnicy,” żyjący z dnia na dzień, do rzędu których siebie zaliczał. Gdyby tak jeszcze był sam na świecie, gdyby tylko dla siebie pracował,—kto wie, może czasami byłby sobie pozwolił na wypoczynek; ale Bartnicki miał rodzinę, dla której jedyną był podporą—i myśl o niej wypędzała go z łóżka, każąc iść do pracy, choć ręce opadały, choć w oczach się ćmiło, a nogi odmawiały posłuszeństwa.

Kilka lat takich wysiłków—i starość gotowa.

Jeszcze przed dziesięciu, ba! przed ośmiu laty Bartnicki był całkiem innym: miał lat trzydzieści, był zapewniony, kochającą żonę i wiarę w przyszłość, której mu teraz pono najwięcej brakowało. Niebrzydki, wesoły, ogólnie lubiany, żył bez troski o jutro, gdy nagle wszystko runęło: Bartnicki spadł z etatu...

Grom nie spadł nań niespodzianie, a jednak trudno powiedzieć, co się w jego duszy działo. Od paru miesięcy pan Józef przeczuwał utratę posady, — bo któż jęj wówczas z urzędników sądowych nie przeczuwał,—ale,

jak to zwykle bywa, do ostatniej chwili ludził się nadzieją, że go może ten cios ominie. Jeszcze rano wychodził pełen otuchy, gdy tymczasem w południe: „Biedna Frania, biedne dzieci moje!” — szeptał ze łzami.

W pierwszej chwili chciał wszystko zataić przed żoną: zdawało mu się, że to on winien nieszczęściu... Bo i po co był asesorem sądu poprawczego? Czemu nie miał dyplomu uniwersyteckiego? Po co się żenił? był ojcem? czemu?... „Nie, to oszaleć można!” — i, jak winowajca, pragnął przynajmniej oddalić chwilę wyznania.

— Tak... dziś jęj nie powiem — myślał, wracając do domu; — może do jutra jakoś się ułoży.

Nie tak to jednak łatwo ukryć nieszczęście przed okiem kobiety: zaledwie wszedł do domu i żona nań spojrzała, już wiedziała o wszystkim.

Zwolna zbliżyła się do męża.

— Stało się, Józiu — mówiła, patrząc mu w oczy.—Cóż robić! nie twoja przecież to wina! Nie smuć się tylko; widzisz, ja jestem zupełnie spokojna...— I przytuliła się do piersi męża, aby ukryć łzy, których powstrzymać nie mogła.

Po milczącym obiedzie zaczęto radzić. Bartnicki przez czas jakiś, jako spadły z etatu,

miał pobierać pół pensyi, coś około 1,500 złotych. Z przeszłości został im niewielki zapasik, chowany na czarną godzinę, — było więc za co w pierwszej chwili ręce zahaczyć; ale pół pensyi nie wystarczało nawet na skromne utrzymanie, a zapasik mógł się prędko wyczerpać.

— Znajdę jakie zajęcie...

— Dałby Bóg!—mówiła żona.—Choć teraz będzie trudno: tylu ludzi bez pracy.

— Musimy oszczędzać...

I zaprowadzono oszczędności: odprawiono służbę, zaczęto rachować się z każdym groszem, odmawiano sobie najmniejszej przyjemności. Bartnicka zapracowywała się w domu, przy dzieciach, przy kominie, gdy mąż jej biegał i szukał zajęcia, łudząc się ciągle nadzieją lepszego jutra. Obszedł wszystkich znajomych, na których niby mógł liczyć; był we wszystkich instytucjach i biurach prywatnych: wszędzie obiecywano mu, robiono nadzieje, kazano czekać, lub wprost odprawiano z niczem. Ileż to razy usłyszał stereotypowo powtarzające się: „Niema miejsca, przed panem już tylu tu było!” Wyczerpany, zmęczony, wracał do domu i rzucał się na krzesło, z trwogą myśląc o jutrze. Co rano wierzył, co wieczór blizkim był rozpaczy.

A tu zapasik nikł coraz bardziej: jutro, pojutrze zabraknąć go mogło.

Trzeba było coś przedsięwziąć, aby odpedzić od progu straszne widmo niedostatku. Nie było wyboru—i Bartnicki chwycił się na razie przepisywania. Pisał ładnie, równo—roboty więc miał podostatkiem. Odtąd od rana do wieczora siedział przy stole i pisał... Duszę mógł był wypisać nieraz!...

Minął rok od fatalnego dnia zmiany—Bartnicki nie miał dotąd stałego zajęcia, żył z dnia na dzień, bez jutra. Niedostatek od paru miesięcy na dobre rozgościł się w ich domu, i nie było prawie już żadnej nadziei, że się to kiedyś odmieni, gdy pewnego poranku Bartnicka usłyszała szybkie kroki na schodach, prowadzących do ich mieszkania. Spojrzała zdziwiona: w drzwiach szeroko otwartych stał mąż uśmiechnięty, jak za dni szczęścia.

— Franiu!—zawołał od proga—miejsce dostałem!...

Nim żona zdołała się opamiętać, już ją trzymał w objęciach i ścisnął gwałtownie.

— Widzisz—mówił dalej,—byłem już blizkim rozpaczy, tak mnie ta ciągła niepewność męczyła. Wtém przed paru dniami odbieram list od jednego z dawnych kolegów, w którym mi donosi o wakującej posadzie

kancelisty... Z niedowierzaniem zacząłem robić starania: tyle razy już mnie zawodziły, nie wspominałem ci więc nawet ani słowa... Sam zresztą nie wierzyłem w powodzenie! Tymczasem, wyobraź sobie, dowiaduję się dzisiaj rano, że prośba moja została przyjęta. Biegnę do biura... prawda! Dostałem miejsce i piętnaście rubli miesięcznej pensji. Piętnaście rubli... to całe sto złotych!...

— Sto złotych!...

— Moja droga, to początek tylko; później więcej będzie, a co najważniejsza, że grosz to pewny, na który co pierwszego rachować można...

Z młodzieńczym zapałem brał się Bartnicki do nowej swjej pracy: zdawało mu się, że lata szczęśliwe wracają. Pierwszy do biura przychodził, wychodził ostatni. A jak pięknie pisał!... „To prosto litografia”—mawiał pan sekretarz, kręcąc głową ze zdumienia. Zresztą obowiązki jego były nieskomplikowane, choć dość uciążliwe: od dziesiątej rano do czwartej po południu; czasami dłużej siedział w biurze i z rąk pióra nie wypuszczał; przepisywał referaty, pisał wezwania, kopiował postanowienia, numerował i t. d., a często odrabiał sprawy za swego bezpośredniego zwierzchnika—„pana pomocnika sekretarza,” który był młody i niezawsze miał czas myśleć o robocie.

Nie mylił się Bartnicki, iż piętnaście rubli przyznano mu tylko na początek: po paru miesiącach, głównie dzięki swemu pismu, które było „prosto litografia,” podwyższono mu pensję do ośmnastu rubli. Cóż, kiedy i to nie wystarczało na utrzymanie rodziny!—Nie porzucał więc poprzedniego zajęcia i wciąż przepisywał. Rano wstawał o siódmej i nieraz bez śniadania zasiadał do pracy. Po dziewiątej siedł do biura, zkąd koło piątej powracał; ledwie zjadł obiad i wypoczął chwilę, już śpieszył do adwokata na drugi koniec miasta, gdzie pisał do ósmej, a ztamtąd wracał nieraz objuczony aktami.

— Znów, Józiu, będziesz pisał po nocy?

— Nie, dziecko, jeden tylko głos przepiszę...

Ale ten głos bywał czasami tak długi, że świtać zaczynało, a on go jeszcze pisał. Zdawało się to wprawdzie w wyjątkowych razach, adwokat wynagradzał go oddzielnie, niemniej jednak ciągle ta praca wyczerpywała go straszliwie.

W ten sposób mijały lata. Szron coraz bardziej okrywał mu skronie, czoło wydłużało się, policzki zapadały, oczy traciły blask dawny. Na plecach zaczęła się zarysowywać wypukłość coraz widoczniejsza. W ciągu lat

kilku zestarzał się o kilkanaście od ciągłych niespań i troski. Nikt w oczach prawie.

Raz los się doń uśmiechnął: dawny kolega i przyjaciel od szkolnej ławy, zostawszy sędzią gminnym, chciał zrobić go pisarzem. Bartnicki zdecydował się opuścić miasto, choć do niego był przywykł: na wsi nie potrzebowalby przynajmniej codzień wchodzić i schodzić z trzeciego piętra po schodach stromych i takich męczących; miałby i powietrze świeższe i pensję większą, ale... Musiało się znaleźć jakieś „ale!” Bartnicki tak pięknie pisał, takim był zdolnym kancelistą, że szkoda go było stracić; poczęto go więc namawiać w biurze, aby pozostał; podwyższono mu nawet pensję o całe trzy ruble i ludzono, że przy pierwszym wakansie zostanie etatowym urzędnikiem. Cóż miał robić? pozostał i czekał, pisząc po dawnemu, bo o wakansie ani słyszeć było.

I znowu minął rok jeden. Bartnicki stał się takim, jakim widzieliśmy go na początku opowiadania. Siły opuszczały go coraz bardziej, coraz trudniej było mu iść do pracy, dostawał zawrotów głowy, bronił się jednak jak mógł chorobie. Ale do czasu dzban wodę nosi: jednego dnia, gdy wstawał do roboty, zrobiło mu się słabo, jak nigdy wprzód.

Z początku sądził, że to przejdzie; po chwili chciał się znów podnieść — nie mógł.

— Czyś słaby, Józiu? — pytała żona, przywykła widzieć go o tej porze przy pracy.

— Nie, dziecko; zdrow jestem, tylko... dziś święto, nasze biurowe święto; chciałbym odpocząć trochę.

W godzinę potem przyznał się żonie, że wstać nie może. Chciała posyłać po doktora.

— Po co zaraz doktora?... To przejdzie, jutro wstanę.

Przyszło jutro, ale Bartnicki wstać nie mógł. Posłano po lekarza, — ten cały dzień kazał czekać na siebie, w końcu przyszedł. Długo badał chorego, pukał, nasłuchiwał, gniótł więcéj nawet niż za rubla i nic nie znalazł.

— Pan właściwie nie jesteś chory...

— A widzisz, Franusiul...

— Jesteś pan tylko bardzo osłabiony — ciągnął dalej. — Trzeba, aby organizm wypoczął i wzmocnił się; dlatego prowadź pan życie regularne. Należy odżywiać się starannie: dużo mięsa i wina; używać przechadzek, jak pan wstanie, i rozrywek... w miarę. Spij pan choćby do dziesiątej, a na wzmocnienie zapiszę panu lekarstwo, rano i wieczór po piętnaście kroplic... Nadewszystko pamiętaj pan nie przeciążać się pracą.

Bartnicki uśmiechnął się smutno i pokiwał głową. Lekarz tymczasem napisał receptę, poczem starannie obejrzawszy paznokcie, począł się zbierać do odejścia. Pani Józefowa wsunęła mu rubla; lekarz poklepał po główce Janka, zapytał, ile ma lat, i nie czekając odpowiedzi, wziął za kapelusz.

— A pamiętaj pan nie pracować tak wiele! to... szkodzi...

Wyszedł.

Cisza zaległa pokój. Janek stał na środku pokoju i zdumiony patrzył na drzwi, które przed chwilą się zamknęły; Bartnicka, z receptą w ręku, oparta o krawędź łóżka, smutnie spoglądała na męża, który jęj wzroku unikał. Milczeli: ona strwożona, on — zważała. Gdyby był doktor powiedział, że Bartnicki „właściwie” jest chorym, że poleży tydzień, dwa, miesiąc wreszcie,—kto wie, może wiadomość ta byłaby mniej straszną, niż uspokajające słowa lekarza i kuracya tak łatwa, a tak niemożliwa: „nie pracuj pan zbyt wiele, to szkodzi...” Każda „właściwa” choroba—choć dla niego żadna nie była właściwą — musiałaby się przecie raz skończyć i Bartnicki wcześniej lub później mógłby znów stanąć do pracy,—gdy tymczasem to osłabienie, ta niewłaściwa choroba, mogła się ciągnąć całe miesiące, a wówczas... Pot zi-

mny występował mu na czoło, gdy myślał o rodzinie.

Janek pobiegł do apteki. W godzinę powrócił z lekarstwem: były to krople żelazne, dość drogie. Chory zażył i z łagodnym uśmiechem jął zapewniać żonę, że mu się lepiej zrobiło.

— Żartujesz, Józieczku, żeby mnie uspokoić

— Powiadam ci, że mi jest lepiej. Jak tak dalej pójdzie, niedługo poleżę. Doktor wiodocznie miał rację: ja nie jestem chory, tylko osłabiony...

W duchu postanowił przemódz to „osłabienie.”

Bartnicki aż nadto dobrze wiedział, że nie powinien chorować, jeżeli nie chce stracić miejsca w biurze, gdzie, bądź-co-bądź, był tylko „wolnonajemnym” urzędnikiem, a takich można trzymać do śmierci, lub wydalić, choćby w godzinę po przyjęciu. Woźny każdy jest w lepszym położeniu, bo go godzą, a nie najmują. To też Bartnicki co rano próbował wstać z łóżka, aby zawlec się do biura. Czasem mu się udawało. Przychodził i tłumaczył się zwierzchności, prosząc o pobłażliwość, a potem siadał do roboty. „Mój Boże—myślał wówczas,—czemu ja nie jestem etatowym urzę-

dnikiem... mógłbym chorować całe cztery miesiące!..”

W biurze byli mu dość życzliwi. Lubili go koledzy, bo był cichy, serdeczny; sprzyjali mu zwierzchnicy, bo był zdolny, pracowity; bezpiecznie można mu było powierzyć każdą robotę, wyręczyć się nim w razie potrzeby, jak żadnym z kancelistów; patrzano więc z początku przez szpary na jego „opieszalność.” Usunięcie go z wydziału było nie na rękę, zwłaszcza tym wszystkim, za których Bartnicki pracował, a takich było wielu. Wiedział o tem Bartnicki, to też niebardzo trwożył się o dymisję, „zresztą — myślał — w ostatecznym razie wezmę urlop, a tymczasem może wyzdrowieję...”

Ale wyzdrowienie szło mu oporem: mimo że najregularniej zażywał krople i zapewniał żonę, że mu coraz lepiej, w rzeczywistości coraz trudniej mu było podnieść się z łóżka.

— Jakim ja słaby!...—szeptał nieraz; mimo to wstawiał i włókł się do biura, gdzie go czekała robota.

— Znowu was wczoraj nie było — mówił na powitanie pan sekretarz;—trzeba coś zrobić, bo tak dalej...

— Ja też chciałem prosić o urlop.

— Urlop?—powtórzył — nie wiem: roboty dużo, sam pan wiesz o tem.

Po dwudniowych trudnościach Bartnicki odbierał urlop na trzy tygodnie. Wszystko niby się dobrze składało, sekretarz tylko, wręczając mu urlop, przebąknął coś pod nosem, że gdyby się choroba przedłużała... „No, postaraj się pan być zdrow na termin: dwadzieścia jeden dni, to przecież dosyć...” kończył już wyraźnie i odszedł, zawołany przez prezesa.

Bartnicki ledwie żyw powrócił do domu.

Choroba jego zaczęła się jakoś w początkach miesiąca i trwała już ze trzy tygodnie, gdy nadszedł pierwszy. Położenie Bartnickich niewielkiej dotychczas uległo zmianie: w biurze wypłacono mu całkowite dwadzieścia jeden rubli; adwokat odesłał mu także miesięczną płacę, choć pan Józef zaledwie kilka razy był w kancelaryi. Przy pieniądzach był jeden bilet wizytowy, na którym w kilku słowach pan mecenas donosił, iż miejsce Bartnickiego objął kto inny. „Nie wezmiesz mi pan tego za złe—pisał,—ale robota u mnie nie może czekać. Życzę szybkiego powrotu do zdrowia.”

Nic więcéj,—a jednak tych słów kilku starczyło, aby Bartnicki na razie oniemiał. Czuł, że się czego innego spodziewać nie miał pra-

wa, uznawał całą legalność postępków, wiedział, że tak być musiało,—a jednak w głębi duszy wydało mu się to krzywdą straszną, wyrządzoną jego rodzinie. O niego nie szło mu wcale! Gdyby mógł jeszcze pracować, gdyby miał jakie takie siły, stanąłby znowu do walki z losem,—ale dziś, przykuty do łóżka chorobą, czuł się zupełnie bezbronny... W kancelaryi było ich kilku, mogli przecie robotę rozdzielić, mogli poczekać ten miesiąc jeden. Po co nawet miesiąc? przecież za tydzień on już zdrow będzie i stanie z powrotem do pracy...

Bilet drżał mu w ręku, łyzy tłoczyły się do oczu.

— Co się z wami stanie?!... co się z wami stanie!...—powtarzał bez końca, obcierając łyzy, które płynęły mu po twarzy.

— Uspokój się, Józiu — prosiła żona, — ja cię w pracy zastąpię. Wiesz, że szyję ładnie. Ty zresztą wyzdrowiejesz, dostaniesz inne miejsce, lepsze może, i znów będzie dobrze.

Słowa żony uspokoiły go trochę.

— Dziecko ty moje, ty i tak ciężko pracujesz: nie mamy służącej...

— Cóż to znaczy? Najemnica mi przecie pomaga, a zresztą... nie martw się tylko: to ci zaszkodzić może, a ty powinieneś wyzdrowieć jaknajprędzej.

— Tak, powinienem...

— No, no, tylko nie patrz tak smutno! — i tuliła się do męża, okrywając jego ręce pocałunkami.

— Żebym ja mógł już jutro wstać z łóżka!...

— Ależ wstaniesz! wstaniesz!

Odtąd w mieszkaniu Bartnickich znowu do późna migotało światło: pan Józef spał snem niespokojnym, chorobliwym, żona... szyła.

Powoli zbliżał się prawny termin jego choroby: koniec urlopu. Bartnickiemu nie było nic lepij, bał gorzej. Najmniejsza rzecz go drażniła, nawet gwar dzieci, które nieraz musiano zamykać w kuchence, lub odprowadzać do sąsiadów, aby w domu nie hałasowały. To znowu owładła chorym tęsknota za niem — wołał wszystko troje, sadzał na łóżku, patrzył w ich twarzyczki i pieścił a płakał. Żona dogadzała mu, w czym mogła. Dzień i noc gotowa na każde jego wołanie, zgadywała jego żądania, jak mogła ukrywała coraz dotkliwszy niedostatek i nieraz siadywała nawet przy chorym bezczynnie, z uśmiechem układając plany na przyszłość, a potem wymykała się do kuchni, z kądem wracała z zaczerwienionymi oczyma. Mimo to słowa skargi nie słyszała nigdy z ust tej kobiety.

Rozdrażnienie Bartnickiego wzrastało w miarę jak się przybliżał koniec urlopu,

Napróżno żona starała się zwrócić myśl jego w inną stronę, daremnie zagadywała, wynajdując coraz to nowsze przedmioty,—on wciąż do swego powracał, ciągle zapewniał, że za dni parę wyzdrowieje, że „się postara być zdrowym na termin,” jak tego chciał pan sekretarz. Już tylko dzień go oddzielał. Bartnicki posłał po Solskiego, jednego z kolegów biurowych, aby zasięgnąć od niego języka.

Solski przyszedł wieczorem. Przywitali się w milczeniu i obojętną jęli wieść rozmowę; zaledwie jednak Bartnicka wyszła z pokoju, pan Józef rzucił szybko pytanie:

— Jak stoi moja sprawa? Co? Dadzą mi dymisy?...

Solski odparł wymijająco — niby nic nie wiedział. Jutro może się dopiero czegoś dowie.

— Bo to, widzisz—ciągnął dalej,—tam się już paru o twoje miejsce starało. Jeden to nawet miał dobrą protekcję: był pisarzem pułkowym; ale ma się rozumieć, że dotychczas żadnemu miejsca nie dano.

— Przecież dopiero jutro urlop mi się kończy!

— No tak, ale bo to prezes pytał się o ciebie i ktoś powiedział, żeś chory...

— Ależ ja zdrow, zupełnie zdrow jestem, tylko trochę osłabiony!—bronił się Bartnicki.—Jak można było mówić, żeś chory!...

— Bo to, widzisz...

Wejście Bartnickiej przerwało dalszą rozmowę. Gdy Solski wychodził, pan Józef prosił jeszcze:

— Tylko nie zapomnij...

W godzinę potem cisza zaległa mieszkaniu, przerywana miarowym ruchem wahadła—i wszyscy spali dokoła, z wyjątkiem Bartnickiej, która szyla. Kwadranse mijały za kwadranсами, godzina biła po godzinie, sen zaczynał kleić jej powieki; mimowoli robota wypadała jej z ręki, zmęczenie wzięło górę. I nagle krzyk jakiś ją zbudził. Nieprzytomna porwała się z miejsca: na łóżku siedział mąż z szeroko rozwartymi oczyma.

— Paniel!—wołał—nie dawajcie mi dymisy!... Ja jutro zdrow będę... zdrow, zdrow będę!

— Józiu, Józieczku!—błagała żona—obudź się, to ja tu jestem...

Łzy strumieniem płynęły jej po twarzy, spadając na rękę chorego. Bartnicki wstrząsnął się cały.

— Ach, to ty, Franiu—mówił nawpół nieprzytomny;—taki straszny sen miałem... Boże, jakżem zmęczony!...

I upadł bezwładnie na poduszki...

Dzień biały Bartnicką zastał u jego wezglowia.

— Jak czujesz się, Józiu?—pytała, gdy mąż obudził się dopiero około dziesiątej.—Tak nie-spokojną byłam o ciebie.

— Lepiej, znacznie lepiej; kto wie, może nawet wstanę.

— Dałbyś też pokój!

— Kiedy powiadam ci, że jestem tak silny, jak przed chorobą; muszę nawet znacznie lepiej wyglądać. Zresztą, moja droga, trudno całe życie wylegiwać się w łóżku, gdy się jest tylko kancelistą.

— Zapewne, ale gdybyś mnie chciał usłu-chać...

— Kiedy wy zawsze rządzić chcecie swoim rozumem! Człowiek to robi, co musi, a wam się zdaje... — nie dokończył zdania, gdy Janek wpadł do pokoju.

— Proszę tatki, woźny z listem przyszedł.

Bartnicki w jednej chwili przysiadł na łóżku.

— Gdzie? gdzie? — zawołał i schwycił list z rąk żony.

Jednym rzutem oka objął treść całą. Brzmiała ona widocznie krótko i stanowczo, stanow-
wczej, prędkiej żądając odpowiedzi. To też Bartnicki długo się nie namyslał.

— Dobrze, dobrze!... proszę powiedzieć, że tam zaraz przyjdę!—rzucił woźnemu i zaczął zbierać się do wstawania.

— Józiu, nie wstawaj! — prosiła żona.

Pan Józef zaczął się niecierpliwić.

— Wypiłbyś wprzód śniadanie...

— Potém, potém!... Gdzie są moje rzeczy?

Z gorączkowym pośpiechem zaczął się ubie-
rać. Wszystko z rąk mu wypadło, a wszy-
stko, co włożył na siebie, było jakby cudze.
Frak mundurowy wisiał na nim jak na ko-
ściotrupie, wychudłe ręce sterczały z wązkich
rękawów, nerwowo kurcząc się w pośpiechu;
koszula gięła się i rozpadała. Przez miesiąc
niestrzyżenia broda nierówna, strzępiona,
podnosiła bladość oblicza, wśród którego świe-
ciły oczy chorobliwym blaskiem. Dzieci, zbi-
te w gromadkę, przypatrywały się trwożnie
to ojcu, to matce, która w milczeniu, z zaci-
śniętymi ustami, krzątała się około śniadania.

Bartnicki pożegnał się pośpiesznie.

— A kawa?

— Prawda!

Przysiadł na rogu krzesła i wypił kika ły-
zeczek; jedna go myśl teraz zajmowała: że,
bądź-co-bądź, w biurze być musi.

Pojechał.

Gdy ujrzał znów ruch koło siebie, dzie-
siątki krzyżujących się dorożek i powozów,
setki przechodniów na trotoarach, to życie
wrzące w całej pełni,—jakoś mu lżej się zro-

biło; sam wierzyć zaczynał, że mu jest lepiej, i wyrzucał sobie miesiąc przeleżany w łóżku.

— Nie, to do niczego niepodobne tak się pieścić z sobą, dawno wstać już należało—myślał, rozglądając się po znajomych mu ulicach; — taka zniewieściałość w mojem położeniu!...

Przybycie Bartnickiego do biura wywołało ogólny podziw — nikt, nawet Solski nie przypuszczał, że Bartnicki przyjdzie, choć mu doniósł, iż bytność jego jest nieodzowną. Witano go bez końca, bliżsi i dalsi, nawet pan sekretarz coś mu „miłego” powiedział. Bartnickiemu różniej było na duszy.

— A czy jest prezes? — pytał, przypominając sobie, po co przybył.

— Dzisiaj zasiada: można się z nim zobaczyć przed sesją.

Nie czekając, Bartnicki poszedł ku drzwiom gabinetu i szybko je otworzył; śpieszno mu było zameldować, że umiał—stosownie do polecenia—wyzdrowieć na termin. Prezes powoli głowę odwrócił i cofnął się zlekka: nie wyglądał widać kancelisty.

— A, to wy—mówił po chwili obojętnie;—pytałem się dzisiaj o was. No, dobrze, żeście przyszli... spraw przepaść! Czekałem na was z jedną robotą; nikt tak ładnie, jak wy, nie

pisze. Trzeba jednak śpieszyć...—i podał mu plikę papierów.

Kancelista z należytym szacunkiem wysłuchał przemowy. W milczeniu przyjął papiery, a w parę minut potem siedział na dawnym swém miejscu i pisał.

Czuł, że go siły opuszczają, ale i teraz chciał się przemódz—wszak dotąd tak mu się dobrze udawało. Chwilami robiło mu się ciemno przed oczyma, to znowu zdawało mu się, że stół wirować zaczyna, najpierw zwolna, później chyżej, coraz chyżej—i Bartnicki nerwowo chwycił za kałamarz, jakby się lękając, aby czarna struga nie zalała rozpoczętej pracy. Szum jakiś tętnił mu w uszach, Bartnicki odchodził prawie od przytomności, pisał jednak dalej.

— Poszlibyście, kolego, do domu — radził ten lub ów z towarzyszy.

— Robota pilna — brzmiała odpowiedź.

To też gdy po czwartej wracał do domu, stróż musiał pomódz Solskiemu wprowadzić go na schody, taki był słaby.

— Widzisz, Józiu — mówiła żona, — po cóż jeździłeś do biura.

— Musiałem, duszko, musiałem... Odpocznę chwilę, a potem marsz do roboty. Wszak są papiery?

— Leżą na biurku.

— To dobrze, bardzo dobrze: robota pilna, sam prezes mi to mówił. Wiesz, Franiu? na mnie czekali z tym raportem! Dowodzą, że ja najładniej piszę z całego biura, choć można pisać ładniej, o! można!

Bartnicki, pomimo ciągłych odgrózek, że wstanie, przeleżał do wieczora. Dzieci obsiadły go wszystko troje — on pieścił je, żartował, obiecywał spacer do Łazienek. Żona przysiadła się do swój gromadki: nie wiedzieć z kąd nadzieja lepszego jutra wstępować w nią poczęła. Z uśmiechem dzieliła ich żarty i pieśszoty.

— Słuchaj, Franiu — zaczął mąż i, uśmiechając się, szepnął jej coś do ucha.

— Dałbyś spokój!...

— A widzisz, nie chciałaś mi wierzyć!... Darować sobie nie mogę, że przeleżałem bezczynnie prawie cały miesiąc. Czuję, że będę zdrów!...

Po herbacie dzieci poszły spać. Pani Józefowa chciała jeszcze coś zrobić, ale i ją bezsenność poprzedniej nocy przemogła. Bartnicki tylko nie dał światła gasić, gdyż miał niby wstać na chwilę do roboty. Cisza zalegała dokoła, przerywana miarowym ruchem wahadła: tik-tak, tik-tak... Ale co to? Zegar iść przestał? Nie, on idzie dalej; to Bartnickiemu szumi w uszach straszliwie, że go nie

słysz. Jakaś niespokojność go ogarnia: siada, kładzie się znowu, chce wołać na żonę — głos mu w krtani zamiera; znów siada i znów bezwładnie opada na poduszki... Wspomnienia przeszłości tłoczą mu się do głowy, a wszystkie takie dziwne, bezładne. Nie wie: sen to, czy jawa? Nagle zdaje mu się, że jest w kościele. Ludzi pełno; nie dziwota, wszak przed wielkim ołtarzem ślub dają. Skrada się z wolna, przesuwając się pomiędzy tłumem, chce koniecznie zobaczyć tego młodzieńca, który donośnym głosem przysięga miłość dogonną. Cha! cha! cha! przecież to on i Franiel...

Znikły gotyckie sklepienia, zagasły światła i tłum się rozwił w przestrzeni. W szczupłym mieszkaniu widzi się teraz wraz z żoną. Między łózkami stoi kołyska, a w niej pyzaty chłopak śmieje się i bije nóżkami. Dzieciak wyciąga drobne rączyny. Bartnicki chce go do piersi przytulić, schyla się, już już go do rąk swych bierze, gdy wtém kołyska ucieka, i sam schorzały stoi z pliką papierów, a przed nim jakiś wspaniały mężczyzna, starannie wygolony: „Spraw przepaść, śpieszyć potrzeba...”

Oprztomniał.

— Ach, prawda! mam robotę... I tak spać nie mogę.

Z trudem powstając, poprowadził okiem po ubogim mieszkanku. Spojrzał na żonę:

nie była to Frania w białej sukience, ale bo też i on się odmienił.

Usiadł przy stole i zaczął pisać. Ręka posuwała się zwolna, kreśląc długie szeregi liter, tych równych liter, które wprawiały w zachwyt pana sekretarza. Bartnicki co chwila kładł pióro i odpoczywał. „Spraw przepaść” brzmiało mu w uszach nieustannie, znów więc pisać zaczynał i znów przestawał. Niemoc go jakaś ogarniała coraz bardziej. Już tylko arkusz do końca — odpocznie chwilę. Chce wstać — nie może. Coraz ciemniej robi mu się przed oczyma, daremnie sili się przemódz. Pióro zgrzytnęło na papierze — Bartnicki westchnął i głowę na stół opuszczył.

Minęła godzina — on siedzi wciąż, głową o stół oparty.

Dnieć zaczynało. Nastąpiło zaranie, z poza dachów i kominów wypłynęło słońce, błyszczące, wspaniałe. Pod oknem zebrały się wróble, świergocąc wrzaskliwie; ale ani blask słońca, ani świergot wróbli nie wyrwał go z zadumy. Może myśli o szczęśliwych chwilach przeszłości? Może na przyszłość plany układa, że nie słyszy, że zasnął przy pracy...

Około siódmej obudziła się Bartnicka: mąż, plecami do niej obrócony, wciąż siedział jak wprzód, głową o stół oparty. Nie mogła pojąć przyczyny.

— Józiu, ty nie śpisz jeszcze?

Pan Józef zasnął widocznie, bo i pytania żony nie słyszy.

— Józiu!... Józiu!!... Czemu nie odpowiadasz?... Józiu!...

Jakieś złowrogie przeczucia zaczęły się rodzić w jej głowie. Zarzuciła naprędce chustkę i trwożna podeszła do stołu: mąż trzymał pióro w zaciśniętej dłoni. Dotyka jego ramienia — milczy, wstrząsa — daremnie.

— Józiu!!... Józiu!!!... Obudź się!... — woła, szarpiąc nim w rozpacz. — Józiu!!... — i podnosi jego głowę.

Krzyk straszliwy rozległ się w mieszkaniu — głowa Bartnickiego z głuchym łoskotem na stół opadła.

I koniec opowieści...

Ale! ale! W dwa dni potem włókł się jednokonny karawan. Nawpół senny woźnica kiwał się na koźle, a za nim trzęsła się nędzna bejcowana trumna. Za karawanem szła kobieta z trojgiem drobnych dzieci i garstka życzliwych.

Przechodnie z powagą kłaniali się nieboszczykowi, powozy ustępowały mu z drogi, czyniono mu jednem słowem honory, jakich z pewnością za życia nie odbierał. Kobieta w żałobie szła i nie widziała nic prócz trumny i dzieci.

Przed wielkim gmachem, koło którego przeciągał kondukt pogrzebowy, stało dwóch mężczyzn z tekami pod pachą. Uchylili kapeluszy.

— Znów pogrzeb! — zauważył niechętnie jeden.

— Aha!... — odparł towarzysz.—A propos, wiecie... Bartnicki umarł, a szkoda: pisał prosto litografia.

— Szkoda...

Miał więc i mowę pogrzebową...

BŁAZNY.

Don Alonzo wywinął w powietrzu ostatniego koziołka i zniknął wśród oklasków za ponsową kotarą.

Na arenę wpadło kilkunastu ludzi. W okamgnieniu wyrównano piasek, uprzątnięto podziurawione obręcze i baryery, zastępując je całym szeregiem dziwacznych przyrządów, na które publiczność spoglądała zaciekawiona. Afisz zapowiadał z kolei: „Wielkie *Entrée comique*, w którym słynny clown Tick, przy współudziale innych członków towarzystwa, jako benefisant, będzie miał zaszczyt przedstawić się wysokiej publiczności w swych nadzwyczajnych produkcyach;” oczekiwano więc czegoś niezwykłego.

A Tick to błazen nad błaznami — konającoby jeszcze rozśmieszył! Dość jednego ruchu, jednego skrzywienia szerokiej jego

twarży, jednego wreszcie okrzyku, aby cyrkały trząsły się od śmiechu. Zwinny jak małpa, mimo łat przeszło czterdziestu, gimnastykował się, że mógłś sądzić, iż kości całkiem nie ma. A jakie mu przychodziły pomysły!... Kiedy publiczność zanosila się od śmiechu, on—błazen—nagle zwiesił głowę na piersi i zaczął płakać, i to płakać prawdziwymi łzami. Jakże takiego clowna nie cenić!... Niedawno też uwieńczono mu skronie laurem, który był dotąd pono wyłączną własnością, a dziś zebrano się tłumnie na benefis ulubieńca, by dowieść, że i my umiemy cenić zasłużonych.

Wreszcie rozległ się oczekiwany dzwonek. Muzyka zagrała fanfarę i na arenę wybiegło w podskokach sześciu clownów, wydając dzikie okrzyki i bijąc się kolejno po twarzy. Publiczność nie posiadała się z radości.

Jakiż był dzisiaj Tick nieporównany! samego siebie przechodził! Bito mu więc nieustannie brawa, zmuszano go do powtarzania ćwiczeń i conceptów, którymi sypał jak z rękawa. W uniesieniu niektóre damy zaczęły odpinać kwiaty i rzucać mu pod nogi: Tick zbierał je do błazeńskiej czapki i biegł wkoło areny, wywijając kozły i kłaniając się lożom. Kto wie, może w tej chwili był nawet szczęśliwym...

Gdy wtém spojrział ku jednej łoży, przystanął i w tył odskoczył. W jednej chwili twarz jego przybrała jakiś straszny wyraz przerażenia; oczy utkwił w jeden punkt nieruchomo i stał na miejscu, trzęsąc się całym ciałem, a potem chwiejnym krokiem jął iść ku łoży, w której siedziała jakaś dama obok eleganckiego mężczyzny.

Doszedł do balustrady i drżący oparł się o nią obiema rękami... Cisza zaległa dokoła, nawet muzyka grać zaprzestała — czekano... O! Tick z pewnością wymyślił coś bardzo zabawnego!...

I nagle rozległ się ryk, niemal zwierzęcy, który wstrząsnął zebrany tłum — i Tick, jak szalony, trzepocąc rękoma, wybiegł z areny.

Podniosła się burza oklasków. „Tick! Bravo Tick!” wołano, sądząc, że cała ta scena to nowy concept błazeński. Nie zauważono ani zamieszania wśród towarzyszy Tick’a, ani wyjścia śpiesznego kobiety, w którą się Tick wpatrywał. Tick jednak nie wychodził. Próżno muzyka chciała zagłuszyć okrzyki; publiczność dalej wyła niemal, domagając się Tick’a.

Nie było rady — musiał się pokazać. Lecz co się z nim stało?

— Czemu Tick nie wychodzi? — wołał dyrektor. — Tick! Tick! — i wybiegł szukać clowna.

Znalazł go wreszcie: siedział skulony w kącie stajni na wywróconym kubie.

— Czemu nie idziesz? Słyszysz? wołają cię!...

— Nie mogę... — odparł zcicha i podniósł zboląłą twarz ku niemu.

— Błazen płacz!... — krzyknął wściekły dyrektor i rozległ się świst szpicruty.

Tick drgnął. Jak dziki zwierz porwał się z miejsca i z podniesioną pięścią skoczył ku niemu. Zdawało się, że go na sztuki rozszarpie, gdy nagle stanął.

— Prawda... jam błazen tykol...

Publiczność po chwili biła mu oklaski.

ZŁODZIEJ.

Z OPOWIADAŃ PRAWNIKA.

Było to w początkach mojej praktyki adwokackiej.

Pewnego popołudnia siedziałem w domu, przerzucając kodeks karny, aby skrócić sobie godziny „wysiadywania klientów” — jak się wyrażał jeden z mych starszych kolegów,—gdy usłyszałem nieśmiałe poruszenie klamką. Przez głowę przemknęło mi: ubogi. Widocznie tego samego zdania był i mój służący, gdyż dopiero za ponownem poruszeniem poszedł otworzyć.

— Proszę pana, „jakiś” przyszedł—meldował mi po chwili.

Ten wyraz „jakiś” miał u niego wyłączne znaczenie. Przedewszystkiem oznaczał człowieka, którego nie wiedzieć do jakiego stanu zaliczyć: ni to pan, ni mieszczanin, ni rzemieślnik, ni chłop, ni żyd, ani wieśniak. Coś pośredniego i nieokreślonego zarazem,

łączącego w sobie cechy różnych stanów i nie-
należącego do żadnej klasy wyłącznie.

Poprostu — „jakiś...”

Ponieważ trzymałem się zasady, iż do
adwokata każdy powinien mieć dostęp wol-
ny, szczególnie w początkach praktyki, podo-
bnie jak do lekarza lub konfesyonału, więc
zwykle kazałem służącemu prosić owych „ja-
kichś” — i w parę chwil potem wchodziła
zwykle do mego pokoju figura z miejska
odziana, najczęściej z twarzą nader mało
wzbudzającą zaufania, ale zato zdaleka wo-
niejąca alkoholem.

I nauczyło mnie doświadczenie, że „jakimś”
bywał zwykle albo „podróżny,” który nie
miał o czém z miasta wyjechać, albo „nie-
szczęśliwy ojciec,” któremu „tylko co” dzie-
cko umarło i nie ma za co sprawić pogrze-
bu—jednemu dzieci umierały co miesiąc, cza-
sem częściej,—albo ktoś, kto pytał, czy niema
w méj kancelaryi zajęcia, a potem prosił
o wsparcie; w gruncie zaś rzeczy bywał to
zawsze próżniak, prawie zawsze pijak i wy-
drwigrosz, nigdy zaś — na nieszczęście —
klient!

I teraz przeszło mi przez głowę, że ten
„jakiś” po prośbie przychodzi. Już chciałem
na niewidzianego wysłać mu datek, gdy przy-
pomniałem sobie, że i tak siedzę prawie bez-

czynnie, więc niewiele stracę, gdy ujrzę oso-
biście przybysza i wysłucham wzruszającej
historyi, którą będzie szturmował do mego
serca, a bardziej jeszcze do mojej kieszeni.

— Poproś...—rzekłem i, gotów do wysłu-
chania opowieści, zasiadłem się głębiej w fo-
telu.

Po chwili wsunął się cicho do mego po-
koju niemłody mężczyzna i trwożnie przy
drzwiach przystanął.

Od pierwszego rzutu oka poznałem, że nie
jest to żaden „jakiś.” Wprawdzie obracał
czapkę w rękę, jak to najczęściej zwykli byli
czynić różni nieszczęśliwi przed rozpoczęciem
ataku do mojej „znanéj ze wspaniałomyślno-
ści” osoby, ale w całej jego postawie było
coś, co mówiło, że ten człowiek nie jest szal-
bierzem, i że ten smutek, na jego twarzy
rozlany, nie jest sztuczną maską tylko. Mimo-
woli powstałem i postąpiłem ku niemu.

— Czém panu mogę służyć?

— Ja, panie adwokacie, mam sprawę...

Mówił głosem przyciszonym, powoli, jak
gdyby wyrazy w gardle mu więzły.

— Cywilną?

— Nie—odparł po chwili wahania i obej-
rzał się na drzwi, otwarte do przedpokoju.

Zrozumiałem ten ruch i drzwi zamknąłem.
Siedliśmy. Nieznajomy usiadł na samym brze-

gu wskazanego mu krzesła i chwilę milczeliśmy obaj; on patrząc uparcie na podłogę, ja — na niego.

Mógł mieć lat pięćdziesiąt kilka. Włosy miał prawie zupełnie siwe, krótko postrzyżone. Na dość rozwiniętym czole znać było liczne zmarszczki, które minione lata wryły. Na ustach wyraz smutku musiał być częstym gościem, bo wyżyłobił w kątach ich dwie bruzdy głębokie i osiadł w nich na zawsze. Chciałem dojrzeć oczy, lecz miał je wciąż spuszczone.

— Więć? — rzuciłem mu w sposobie zapytania.

Nieznajomy drgnął i podniósł powieki: pod szpakowatemi brwiami zobaczyłem parę przygasyłych oczu.

Zaczynało mi ciężyc to milczenie.

— Kto pan jest? — spytałem.

— Ja, panie... — zaczął wreszcie — ja...

I nagle usta konwulsyjnie drgać mu zaczęły.

— Ja, panie... jestem... złodziejl

I załkał głośno.

Przyznam, iż daleko mniej byłby mnie zdziwił piorun, spadający w tej chwili z jeziennego nieba, niż to wyznanie. Pojęcie „złodziejl” tak nic nie miało wspólnego z tym człowiekiem, z wyrazem jego twarzy i tą atmo-

sferą uczciwości, która zdawała się go otaczać, że zacząłem przypuszczać, iż mam przed sobą ofiarę jakiejś pomyłki, lub może... waryata.

Stary płakał dalej.

— Mój Boże, czego ja doczekałem! — mówił wśród łkania — mój Boże!... — i obcierał łzy, płynące mu po twarzy.

Nie przerywałem mu, nie wiedząc nawet, co powiedzieć. Szanując ten wybuch bólesci, zasunąłem się głębiej w fotel. Bezwiednie zasłoniłem oczy: w myśli przeciągał mi szeregi najróżnorodniejszych ludzi, których po sądach jako złodziejlów widziałem. Kogo tam nie byłol... Starcy i dzieci, mężczyźni i kobiety, ludzie i pół-zwierzęta — ale takiego, jak ten — nie byłol

— Pan adwokat wybaczy — jął mówić po chwili, — ale nie mogłem się powstrzymać... Tak to nagle na mnie spadło... prędszej byłbym się śmierci spodział... Nazywam się Antoni Glinecki.

Nazwisko to było mi znane.

— Czy to pan jest właścicielem fabryki kafil?

— Tak, panie adwokacie. Pan dobrodziejl pewnie widział moję fabryczkę za miastem... — i staremu twarz się rozjaśniła, gdy znowu brwi mu się zsunięły — proszę pana, to moje nieszczęście...

— Może pan tylko siebie niepotrzebnie straszy?

— Nie, panie adwokacie, nie... wiem ja, co mówię.

— Niechże mi więc pan wszystko opowie.

— Czy, panie adwokacie, mam mówić od początku?

— Owszem, owszem!

— To ja już zacznę od dzieciństwa, jeżeli pan adwokat pozwoli.

— Ależ owszem! — odparłem, rad, że się dowiem czegoś o tym, jak mi się zdawało, szczególnym człowieku.

Glinecki odkaslnął i jął mówić z wolna:

— Rodzice moi mieli mająteczek w Miechowskim. Niewielka to była wiosczyna, ale w dobrej ziemi, więc chleba było podostatkiem. I żyliśmy szczęśliwi, kiedy lat temu pięćdziesiąt ojciec do wojska się zaciągnął i... nie wrócił. Początkowo matka chciała nam zachować kawałek ziemi, na którym dziad i pradziad pracowali, z każdym jednak rokiem szło gorzej i trzeba było w końcu wioszczynę sprzedać. Osiedliśmy tedy w Miechowie. Ja miałem lat dziesięć, starszy brat szesnaście, siostra ledwie ośm liczyła. Brata zabrał na wieś jeden z dalekich krewnych, a nas dwoje młodszych matka przy sobie trzymała i, jak mogła, uczyła. Nie miałem jednak zdolności:

nauka szła mi oporem. Inny to Bóg wie czego byłby się nauczył; ja miałem już rok dwunasty, kiedy ledwie umiałem porządnie czytać i pisać jako tako. Wiedziałem, że matka się gryzie, ale cóż mogłem poradzić? Raz usłyszałem ją rozmawiającą z księdzem kanonikiem, dawnym przyjacielem ojca.

— Cóż pani z chłopakiem robić myśli? — pytał.

— Chciałam go do szkół przygotować — matka odpowie; — niechby skończył cztery klasy i do seminaryum poszedł; ale cóż, kiedy mu nic do głowy nie idzie...

— Proszę pani dobrodziejki, niechby się rzemiosła nauczył.

— Szlacheckie dziecko! — zawołała matka ze zgrozą.

— Cóż że szlacheckie dziecko? Albo to stan rzemieślniczy *infamia*? A Pan Jezus czy to świętemu Józefowi w ciesielce nie pomagał? Toć lepiej, żeby Antoś był porządnym rzemieślnikiem, niż żeby bąki zbijał, zawałał drogę i wyszedł w końcu na urwisa albo złodzieja...

Glinecki zatrzymał się: mimowoli dotknął swęj bolesnej rany i zasępił się znowu.

— Mnie, proszę pana adwokata — zaczął po chwili, — słowa kanonika do smaku przypadły, więc rzuciłem się matce do nóg i upro-

siłem, żeby przystała. Szło o wybór. Matka chciała coś lekkiego i szlachetniejszego, a co by korzyść przyniosło. Chyba zegarmistrzostwo? — więc przenieśliśmy się tutaj, bo w Miechowie zegarmistrza nie było. Pokazało się jednak, że mi ciągle ślepienie szkodzi, i poszedłem do złotnika. Potem byłem kolejno u stolarza, introligatora, ślusarza; zawsze jednak znajdowało się coś, że mnie matka odbierała; miałem już lat ośmnaście, byłem prawie taki duży jak teraz, i nie umiałem żadnego rzemiosła. Tymczasem położenie nasze było coraz gorsze—siostra dorastała, matka potrzebowała większych wygód, a ja im z żadną pomocą przyjść nie mogłem i wyrzuciłem sobie, że tylko ciężaru przyczyniam. Brat po obcych się tułał, trzeba było coś przedsięwziąć, więc zdobyłem się na krok stanowczy: bez wiedzy matki, bo wiedziałem, żeby na to nigdy nie pozwoliła, w świat poszedłem szukać chleba. Nic nie zrobię—myślałem,—to przynajmniej jedna gęba od miski im ubędzie... Ale ja panu adwokatowi czas zabieram, zamiast mówić o sprawie...

— Przeciwnie, mów pan dalej...

— Com ja przeszedł w tej drodze... Po dwóch jednak tygodniach zamajaczyła mi Warszawa. Zgłodniały, zbiedzony, dostałem się do jakiejś kaflarni pod miastem, ani przy-

puszczając, że tu znajdę to, czegom szukał. Pocziwi ludziska najpierw mnie nakarmili, a potem, gdym im wszystko opowiedział, pozwolili zostać. Zacząłem od najcięższej pracy: wyrabiałem glinę, nosiłem drzewo do pieców, lub pompowałem wodę; majster mi się tylko z pod oka przyglądał, jakby nie wierząc, czy wytrwam. Wytrwałem. W półtrzecia roku potem odbyłem wyzwoliny na czeladnika i mogłem matce przychodzić z pomocą; a gdy w parę lat zostałem majstrem, chciałem matkę do siebie sprowadzić i byłbym do dziś dnia może tam mieszkał, gdy matka umarła; trzeba było zająć się siostrą...

Zastałem ją bardzo zmienioną. Ze zdrowej dziewczyny przez lat dziesięć zrobiła się kobieta zwiędła, znękana. Ciągle kaszlała. Chciałem ją zabrać, ale mówiła, że od grobu matki nie odejdzie, więc ja dla niej zostałem—było nas już wtedy tylko dwoje na świecie... Ciężko, bo ciężko szło mi tutaj. Miejscowi zduni krzywo na mnie patrzyli, myśląc, że zaraz warsztat założę i będę z nimi konkurował; ale ja nie miałem dość pieniędzy, za pożyczone zaś bałem się zaczynać. Zresztą ktoby mi był pożyczyl... Chciałem iść za czeladnika, ale i to szło mi oporem; dopiero stary Skorupski, który już nie mógł dać sobie rady z czeladzią, dał się uprosić i do warsztatu przyjął.

Więc znowu śmiać się poczęto, że majster został czeladnikiem. Znosiłem i to, nie na wiele jednak się zdało: drugiej zaraz zimy sam zostałem na świecie ze swoim rzemiosłem...

I wie pan, jak mi zabrakło moich, jak już wszystkich pochowałem, jakaś namiętność do mego fachu jęła się we mnie wyradzać. O niczym innym nie myślałem. Po głowie snuły mi się najróżnorodniejsze pomysły i ulepszenia; próbowałem układać nowe wzory na gzemsy, przypominałem sobie wszystko, com tylko w Warszawie widział; to chciałem wynaléźć nowy rodzaj polewy, to znowu mieszałem różne gatunki gliny, aby dojść do kombinacji najtrwalszej. Całą okolicę przeszedłem wzdłuż i wszerz, i powiem panu adwokatowi, że znalazłem glinę, z której bodaj porcelanę robić można.

Najoporniej jednak szło mi z temi wzorami. Starego Skorupskiego ani namów, żeby sprowadził nowe modele; zawsze odpowiadał, że z takich ojców jego robił i ludzie byli kontenci, więc i on innych szukać nie będzie. A tu po głowie ciągle mi się snują różne wzory; czasem nawet nocy nie dospałem, żeby coś nowego urobić; cóż, kiedy zawsze to było jakieś krzywe i nieforemne. Zamiast raz się zniechęcić i rzucić te próby, ja coraz bardziej się roznamiętniałem, bo już taką mam

nieszczęśliwą naturę, że jak mi co do głowy wlezie, to już ćwiekami siedzi, dopóki swego nie dopnę.

Stary Skorupski krzywo na to patrzył, a że odłożyłem był sobie trochę grosza i akurat pod tę porę była kaflarnia po Stachurskim do wydzierżawienia, więc rozstałem się z nim. Jakoś mi się szczęścić zaczęło: po trzech latach miałem już moją własną fabrykę w domku, który wybudowałem za miastem.

Opowiadanie to wydało mi się nieco przydługiem jako wstęp do mającej nastąpić dopiero opowieści sprawy. Musiało się to odbić na mojej twarzy, bo Glinecki przerwał opowieść i jął się tłumaczyć:

— Pan adwokat wybaczy staremu, ale ja chcę wszystko panu mecenasowi opowiedzieć, jak przed księdzem na świętej spowiedzi, żeby przypadkiem pan mecenas nie przypuścił, że ja naprawdę jestem...

I nie domówił wyrazu, który mu uwiązał w gardle.

— Ależ przeciwnie — odparłem, — rad jestem, że mi pan to wszystko mówi: w ten tylko sposób mogę dojść do właściwego punktu, z którego należy pańską sprawę traktować.

Stary się zamyślił.

— Więc otworzył pan własną fabrykę za miastem?

— A tak, panie adwokacie. Dzięki Bogu, szło mi bardzo dobrze: roboty miałem dosyć, obrobić się nieraz nie mogłem i nawet pewien dostatek jał do mnie zaglądać. Spostrzegli to ludzie, bo ja, ciągle zajęty robotą, do której coraz bardziej się przywiązywałem, nawet nie zdawałem sobie z tego należycie sprawy i... pan adwokat będzie się śmiał ze mnie... zaczęli mnie żenić. Sam nie wiem, jak to się złożyło, dość, że w drugim roku otwarcia mojej fabryki byłem już żonaty.

Trafiłem na kobietę dobrą, rządną, pracowitą. Jakoś rańniej zaczęło mi być na świecie, a już kiedy po roku obok łóżka mojej żony stanęła mała kołyska, to, proszę pana mecenas, człowiek czasem robotę rzucił, żeby się z dzieciną nacieszyć. Nie spodziewałem się nawet nigdy takiego szczęścia! Pan Bóg jakoś błogosławił: po córce w trzy lata przybył syn, potem znów córka. W małym moim domku zaczynało być ciasno i trzeba było jeden pokój przybudować. I lata tak mijały: dzieci się chowały, rosły, człowiek z radością na nie spoglądał i już to maleństwo, które pierwsze pod dach mój zawitało, ta mała Marynia, czternaście lat liczyła, kiedy spadło na nas nieszczęście... przyszła oспа... Najpierw mi córkę wzięła, potem chłopak umarł. Zostało mi najmłodsze. Matka strze-

gła, jak mogła, dawała na msze święte i krzyżem w kościele leżała, ja się modliłem co rano i wieczór, aby Bóg choć to jedno zostawił... i nie wymodliłem... Umarło. I zostałem znów sam z żoną. Ale Bóg wiedział, co robi: nie dał dzieciom doczekać hańby ojca...

Łzy mu zaczęły płynąć po twarzy. Zapłomował jednak nad wzruszeniem i mówił dalej:

— Od tego czasu wróciła mi dawna namiętność do roboty. Znów dnie całe zacząłem spędzać w warsztacie przy próbach. Nieraz, bywało, żona na obiad zwołać mnie nie może; próżno nalega i prosi, ja nic, tylko w warsztacie siedzę i lepę. Ani mnie wywabić! „Ciebie, człowieku, te kafle zgubią!” — mawiała, i... miała rację...

Glinecki zamilkł na chwilę.

Nagle zwrócił się do mnie.

— Był pan w nowobudującym się domu pana Turskiego? Widział pan piece, które stawiają?... Panie, ja całe życie marzyłem, żeby coś podobnego zrobić... Nie widziałem nigdy nic takiego, ale czułem, że podobnie piękne rzeczy muszą być na świecie; że, jeżeli ich niema, toby być mogły... i lata całe robiłem próby... daremnie!... Widział pan ten piec w jadalnym pokoju? Gdyby z mojej fabryki coś podobnego wyszło, jabym chyba zwaryował!... Wie pan, nie miałem chwili

spokoju, odkąd go zobaczyłem. Myślę sobie: zrobię. Pobiegnę do domu i wziętem się do roboty. Trzy dni prawie nie jadłem i nie spałem. Próżno mnie żona odrywała, próżno prosiła, żeby się z nią do stołu; jadłem, co mi do warsztatu przynieśli; co zaś w nocy się zdrzemnę, to tylko ten piec widzę...

Po trzech dniach przekonałem się, że zrobić formy nie mogę, o! bo z polewą i wypaleniem dałbym sobie radę!... Ale ta formalta formalta... Zwierzyłem się żonie; ruszy ramionami i powie: „a to poszedłbyś do właściciela i pięknie poprosił, to ci pewnie pożyczą.” Prawda, że też mi to do głowy nie przyszło!... Więc ubrałem się odświętnie i idę. Nieśmiało wykładam mu rzecz całą, w najpokorniejszych słowach proszę, żeby mi kafla gzemowego pożyczył na dwa dni, dzień zresztą. Niech mi da na noc tylko jedną, a ja sobie formę zrobię i kafel mu odniosę cały, nie uszkodzę, ani popsuję. Ale pan Turski ofuknął mnie tylko: „Cóż to? na to sprawa-dzałem piece, żeby pierwszy lepszy brał je na formę, a potem lada łyk miał taki? To zagraniczne piece... rozumiesz pan!” Chciałem go jeszcze prosić: psa możebym uprosił, ale nie jęgo. Drzwi mi pokazał, więc odszedłem. Wróciłem do domu zgnębiony. „I cóż?” — pytała żona. „Nie dali” — odparłem i wziętem

się znów do roboty, i znów... napróżno!... Chciałem w inny sposób dostać tych kaflí, więc chodziłem do budowniczego, do majstrów, robotników; stróżów nawet prosiłem, ale wszyscy odmawiali, bo pan Turski wyraźnie zakazał, aby nikt nie ważył się dawać kaflí na formę. Gdy dwa dni temu po raz setny opadły mi ręce, coś mi szeptać poczęło do ucha...

Obejrzał się trwożnie na drzwi i zaczął mówić gorączkowo:

— Było to nocą. Wszyscy w domu spali, ja czuwałem jeszcze. Gdy tak siedzę sam jeden nad niekształtną formą, coś do mnie mówi wyraźnie: „Idź i weź!...” Aż wzdrygnąłem się cały i obejrzałem dokoła: nie było nikogo... Myślałem, że się przesłyszałem, gdy nagle usłyszałem znowu: „Idź i weź!...” Schwyciłem za młotek, leżący na warsztacie, i zacząłem nim w stół uderzać—znów głos ten słysze!... Zatkanem uszy, wylękły... „Czemu nie pójdziesz? — mówiło teraz coś we mnie. Czy kafla mu ubędzie? Cóż że ty zrobisz sobie formę? Słuchaj, przecież mu odniesiesz, zaraz odriesiesz... On nawet wiedzieć nie będzie. Idź dzisiaj, bo jutro piec ułożą; idź zaraz, słyszysz, zaraz!...” Działo się coś dziwnego ze mną... Ukląkłem i zacząłem mówić pacierz głośno; ale im głośnieję wołałem do Boga, tém

głośniej coś koło mnie, nade mną, we mnie samym wołało: „Idź i weź!... idź! idź!...”

I poszedłem.

Na chwilę zatrzymał się, jakby zbierając myśli.

— Biegłem z początku pędem. Dostawszy się do miasta, przemykałem się pod ścianami; było pusto i głucho. Raz zdawało mi się, że ktoś za mną idzie. Przystawałem i znów szedłem; wreszcie znalazłem się przy budującym się domu. Dotknąłem bramy—była otwarta, i wśliznąłem się do wnętrza. Wiedziałem doskonale, gdzie kafle leżą, i cicho, skradając się jak kot, jałem się drapać po rusztowaniach i belkach... Jakim sposobem nie spadłem i nie zabiłem się, sam nie wiem. Szedłem tak cicho, że mnie nikt nie słyszał; wreszcie przez okno otwarte dostałem się do pokoju, gdzie leżały kafle. Idę, dech w sobie zatrzymuję, kładę się na ziemi i szukam poomacku. Tu w rogu leżały, tak—i o mało nie krzyknąłem z radości... Mam go nareszcie! Z tą samą ostrożnością zaczynam schodzić. Trudniej mi z tém idzie, bo kafel muszę trzymać; posuwam się jednak naprzód. Już wyszedłem z pokoju, już jestem w połowie rusztowania, gdy nagle jakaś belka za mną się zważyła i z hukiem runęła... Serce mi w jednej chwili bić przestało. „Kafel mi odbiorą”—przemknę-

ło mi przez głowę jak błyskawica; zaczynam iść szybciej; zaledwie jednak zrobiłem parę kroków, rozległ się za mną głos stróża: „Kto tu schodzi?” Nie odpowiadam, tylko zbiegam na dół. „Złodziej! złodziej!” — woła stróż; budzą się robotnicy i rozpoczyna się gonitwa. Którędy biegłem, nie wiem. Dopadli mnie pod kościołem... Mniejsza o to, że do krwi zbili, ale panie, ja na starość zostałem złodziejem!...

I znowu łkać zaczął.

Jałem go uspakajać.

Stary słuchał mnie z uwagą. Widziałem, że mu przyjemność robi współczucie, z jakim mu sprawę przedstawiłem; na krótką nawet chwilę twarz mu się rozpogodziła, ale potem zaraz znów sposepniał.

— Nie, panie adwokacie, to tylko pan adwokat przez dobroć swoją tak mi tłumaczy; ale ja wiem, że mnie napiętnują na złodzieja... Żeby się żona tylko nie dowiedziała.

Sprawa miała być sądzoną na podstawie protokołu policyjnego u sędziego pokoju, więc umówiłem się z Glineckim, iż mnie w przeddzień sprawy o terminie zawiadomi. Jakoż w trzy tygodnie zjawił się u mnie. Wyjątkowo byłem bardzo zajęty, zamieniliśmy więc tylko słów parę.

— Więc jutro? — spytałem.

— Tak, panie adwokacie.

— A żona?

— Nic nie wie.

Poszedł.

Nazajutrz, o dziesiątej rano, zastałem go już w sądzie. Spraw wyznaczonych było kilkanaście i salę przepełniał pstry tłum różnorodnych osobistości. Zacząłem szukać wzrokiem Glineckiego; stał pod piecem, odświeżnie ubrany, świeżo ogolony i bardzo blady. Chciałem mu dodać otuchy. Uśmiechnął się.

— Panie adwokacie — rzekł i zamilkł.

Przywołano naszą sprawę. Glinecki stanął przed sędzią spokojny, nieruchomy. Z twarzy jego niepodobna nawet było wyczytać, że ten człowiek staje przed sądem jako oskarżony, że to jego losy za chwilę ważyć się będą—taki był napozór obojętny. Sędzia odczytał protokół, i streściwszy oskarżenie, zapytał, czy się podsądny przyznaje do winy?

— Przyznaję — zabrzmiał donośnie głos Glineckiego, — przyznaję, że wziąłem w nocy kafel bez pozwolenia, aby zrobić z niego formę. Bóg mi świadkiem jednak, że kraść nie chciałem...

— Czy, prócz Boga, innych świadków nie macie?

— Nie, panie sędzio... — wyszeptał z trudem.

Sędzia ziewnął, zapisał do protokołu przyznanie podsądnego i przystąpił do badania świadków.

Pan Turski w długiej przemowie opowiadał, jak Glinecki napierał się kafła, tego samego kafła, który mu potem odebrano; jak natrętnie nudził budowniczego, stróża, majstrów, kogo mógł tylko, o pożyczanie kafli na formę, i jak on zapowiedział, aby nikt się nie ważył mu pożyczyć, boć on piec „nie dla takiej hołoty sprowadzał...”

Inni świadkowie potwierdzili, że Glineckiego z kaflem złapano pod kościołem i że od początku im mówił, iż miał go odnieść, „ale kto go ta wil—kończył stróż—inaczy pewnie by śpiwał, żeby go nie byli chwycili...”

Z kolei ja miałem głos zabrać.

Rzadko zdarzało mi się mówić z takim zapalem, jak wówczas, i próżnobym dzisiaj próbował obronę swą powtórzyć... Glinecki przyznał, że jest winnym, ale nie jest winnym kradzieży. Ten, kto tygodnie całe chodzi i prosi, kto, zaczawszy od właściciela domu i budowniczego, skończywszy na stróżach i robotnikach, u wszystkich skamle i błaga, aby mu pozwolono wziąć kafel na formę, a gdy mu odmawiają, bierze ten sam kafel bez pozwolenia,—ten nie kradnie, lecz popełnia czyn samowolny i za kradzież nie może być kara-

nym. Kara nie powinna przecie przewyższać winy. Czyż ten starzec nie jest już dość, aż nadto dość ukaranym? Czyż nie stało się sprawiedliwości zadość, gdy on, na którego imię cień nawet nie padł przez życie całe, stanął przed sądem jako złodziej, wystawiony na ciekawość i szyderstwo tłumu?... I po kolei poruszałem wszystkie sprężyny, wszystkie struny ludzkie w mającym wydać wyrok, przypominając w końcu, że przecież służy mu prawo sądzić nie według martwój litery kodeksów, lecz według sumienia...

Mówiłem z przejęciem: czułem, że porywam wsłuchaną salę. Nawet sędzia, kręcąc łańcuch na szyi, od czasu do czasu „tak, tak” potwierdzał.

Skończyłem i sędzia jął pisać wyrok.

Cisza zaległa dokoła. Słyszać było miarowy ruch zegara, skrzypienie pióra i brzęk lecącej muchy. Ten tłum, wypełniający salę, zazwyczaj niespokojny, teraz milczał. Wreszcie wyrok był gotów i sędzia zaczął go czytać.

Wyteżyłem słuch.

— A zatem — czytał sędzia po zwykłym wstępie, — uznając Antoniego Glineckiego, lat 56, winnym kradzieży przy okolicznościach łagodzących, skazuję go na trzy miesiące więzienia...

Nie miałem odwagi spojrzeć na Glineckiego. W sali zakotłowało się. Sędzia niecierpliwie zadzwonił.

— Jeżeli pan nie przedstawia poręczenia — mówił, — będę musiał pana zaaresztować.

Oprzytomniałem. Zadyktowałem niezadowolenie z wyroku i złożyłem żądane poręczenie. Glinecki stał wciąż na miejscu.

Ująłem go za rękę i wyprowadziłem z sali...

Dopiero na świeżem powietrzu oprzytomniał.

— Dobrze, że one pomarły — mówił do siebie: — nikt im w oczy nie powie, że mają ojca złodzieja...

Nie starałem się nawet go pocieszać. Sam byłem zgnębiony. Nie przypuszczałem takiego rezultatu...

Szliśmy powoli ku memu mieszkaniu

— To trudno — mówił znów Glinecki, — to trudno! Kto kradnie, ten złodziej, i musi iść do kryminału...

W terminie właściwym założyłem apelację. Sprawa przeszła do drugiej instancji i tu przed sądem kolegiałnym rozegrała się ta sama scena, co w sądzie pokoju: wyrok zatwierdzono.

Glinecki przyjął to napozór obojętnie.

Chciałem go namówić na kasację — oparł się.

— Niech cierpię, kiedym winien!—i zaczął iść za strażą.

Żona, która wiedziała już o wszystkiém, z krzykiem do niego przypadła.

On ją odtrącił — i poszedł.

Trzy lata minęło. Nie widziałem go ani razu od owój chwili pamiętnój i nawet zaczynałem przypuszczać, że umarł.

Dopiero przed kilku dniami koło szynku potrąciłem się o człowieka, który wydał mi się znajomym. Przyjrzałem mu się: był to Glinecki, a raczej cień jego. Wychudł, zgarbił się i opuścił. Stary paltot grzbiet mu okrywał; na nogach miał buty dziurawe.

— Jak się pan miewa, panie Glinecki? — rzekłem.

Stanął, spojrzał na mnie, jakby sobie nie przypominał.

— A! to pan, panie mecenasie...—i urwał.

— Cóż słyhać u pana?

— Nic. Glinecki całe życie uczciwie pracował i na starość został... złodziejem!

Chciałem go zatrzymać, ale nasunął czapkę na oczy i odszedł, mruczając pod nosem. Do-leciały mnie słowa:

— Glinecki złodziej... złodziej!

I zniknął w ciemnej głębi szynku.

POD STRZECHĄ.

WDOWIEC.

Nie pomogły wróże, nie pomogły maście i leki, odczyniania i zażegnania, nie pomógł nawet felczer, sprowadzony w ostatniej chwili z miasteczka — Sliźniowa umarła.

Sliźniowi kamień spadł z serca. Żał mu żony, bo żał,—jakże nawet może być inaczej, kiedy z sobą dziesięć lat razem siedzieli, i, choć Jagna od niego starszą była, ani zwady, ani obrazy boskiej między nimi nie bywało? Ale odetchnął, bo się raz skończyła ta niepewność, w której go choroba trzymała. Miesiąc cały nic i nic; jak stanęła choroba, tak stoi: ani się chce przewrócić na życie, ani się na śmierć przewraca. Teraz przynajmniej wie, co ma robić i co go czeka. Został wdowcem — ha! trudno, tak się Panu Bogu podobało... Trze-

ba tedy najpierw żonie sprawić pochówek, jak się należy, a potem... niech jeno wprzód żonę pochowa.

Dawno w Zagórze nie było takiego pogrzebu.

Najpierw szedł stary organista z krzyżem, w komżę ubrany, za nim ksiądz proboszcz w kapie, z dwoma chłopakami, i wszyscy śpiewali, ale jak śpiewali!—aż rozchodziło się het daleko na pola i lasy, jakby jaką dziedzickę chowano. Za nimi szły baby, odśpiewując,—za babami gospodarze, a za gospodarzami dopiero jechała Jagna na wozie w niebieskiej trumnie, pięknie malowanej, z białym krzyżem pośrodku. Za wozem szedł Slizień i kilkoro bliższych. Stary Szczudło dostał śliczny poczęstunek, więc bił we dzwony, aż siódme poty na niego wystąpiły, i, chociaż już na cmentarzu z ciałem stanęli, on dzwonił jeszcze.

Grób Slizień wybrał w suchém miejscu — postawiono trumnę, odśpiewano ostatnie pieśni, ksiądz trumnę pokropił, zaintonował wielkim głosem: „*Requiescat in pace!*” i Jagna w grobie spoczęła. Z głuchym łoskotem posypały się na trumnę grudki ziemi, chłopaki chwycili łopaty: w mgnieniu oka wyrosła z pod ziemi mogiła.

Ksiądz proboszcz do domu zawrócił, chłopcy grób obrównali, zatknęto na nim krzyż

drewniany i zwolna gromada rozchodzić się jąła, część do domu, część do karczmy na poczęstunek, a na cmentarzu samotna mogiła została.

Slizień poszedł do karczmy.

Już po drodze Zapała mu napomknął, że trzeba będzie mu się ożenić, ale Walek zbyt go niczem; ledwie zaś usiadł w karczmie za stołem i kazał dać babom piwa, a gospodarzom wódki, ledwie języki się jemu i innym rozwiązały, już nie było końca nagabywaniom i namowom, które naprzemian mieszały się z wyliczaniem przymiotów nieboszczki. Slizień odpowiadał półgębkiem, połowę puszczając koło ucha, a że mu coraz bardziej w głowie szumiało, coraz mniej przeto słuchał; wypił wreszcie z kumotrami „za zbawienie Jagny” ostatni półkwaterek i chwiejnym krokiem do chałupy wrócił.

Przez drogę na śmierć zapomniął, że z pogrzebu wraca. Zdawało mu się, że przyszedł z muzyki, więc stanął na środku izby i, chwiejąc się na wszystkie strony, jął wołać:

— Jagna!... Jagna! coś ci powiem...

A że Jagna nie odpowiadała, więc Walek coraz większym głosem wykrzykiwał i nawet groził, zapowiadając, „że, chociaż nigdy nie prał, to tera, dalibóg, ją spierze...”

Na krzyk Walka zszedł z góry parobek.

— Nie darliścieby się, gospodarzu — przekładał, — a dyć to dzisiaj gospodynię pochowaliście...

— Łiesz, jucho! — krzyknął Walek.

I chwiejąc się, poszedł ku łóżku, na którym Jagna sypiała. Gdy łóżko zastał puste, w jednej chwili przypomniał sobie wszystko i w straszny płacz uderzył.

Szlochając, rzucił się na posłanie i — zasnął.

Po kilku dniach obejrzał się, że mu źle bez kobiety w chałupie. „Trza się widać ożenić” — myślał i skrobał się w głowę. Przytém i ludzie spokoju mu nie dawali, nie jeden ojciec oddałby mu z ochotą córkę i niejedna byłaby chętnie wyszła za niego. Wprawdzie miał lat około czterdziestu i był jakiś chuderlawy, ale zamożny. We wsi o nim mówiono: „Slizień bogacz: co niedziela mięso jada, a żonie fulary kupuje.” Prócz tego po nieboszczce została cała skrzynia różnego przyodziewku, szkoda więc, aby to marniało daremnie; a że nie miał z Jagną dzieci, to i lepiej, bo cały dobytek na dzieci z drugiej żony przypadnie.

Zaczęto więc mu rać różne wdowy dziecię i bezdzietne, takie, które miały grunt własny, i takie, które miały grunt po mężu, i takie wreszcie, które były całkiem bez gruntu. Raili mu różne dziewczyny, córki gospodar-

skie z gruntem lub ze spłatką, — ale Slizień tylko słuchał i nic nie mówił. Najwyżej odparł, że nieboszczka niedawno w ziemi spoczęła, to mu trudno myśleć o weselisku, kiedy tylko co wrócił z pogrzebu.

Inna jednak była tego przyczyna.

Walkowi markotno było, że z Jagną dzieci nie miał. Żyli z sobą lat dziesięć, jak Pan Bóg przykazał, a tu przez ten czas nawet nadzieja potomstwa ani razu pod jego strzechę nie zawitała. Jagna i leki piła, i msze święte kupowała, i dwa razy nawet była piechotą w Częstochowie u Najświętszej Panny, aby uprosić choć jedno dziecko; ale nic wszystko nie pomagało: ciągle byli we dwoje.

Stary Slizień to nawet się tęp niecierpliwił. Co prawda, jemu Pan Bóg dał tylko dwoje dzieci odchowac, ale było tego zatrzęsienie, z ośmiorgo chyba, sam dobrze nawet nie pamiętał; a tu nic i nic. Czyjaż wina? Juści Jagnina, — więc nieraz synowej nawet co powie, markotny, że się nie może doczekać choć jednego wnuka. Nie doczekał i umarł.

I Walek żonę winił. Więc kiedy teraz Jagna na cmentarzu spoczęła, Slizień widząc, że się ożenić musi, bo i w gospodarstwie bez kobiety nijako, i ludzie głowę mu suszą, postanowił tak się ożenić, żeby zapewnić sobie potomstwo. Jagna była starsza od niego, więc

teraz młodziuchną jaką wyszuka; tamta na zdrowiu często zapadała, to teraz sobie wynajdzie żonę zdrową jak rzepa; niech nawet nie będzie gospodarską córką, niech nic nie ma, to jemu wszystko jedno,—bo cóż to, czy go to nie stać na to, aby tak się żenił, jak jemu się spodoba?...

Trzy miesiące szukał, upatrywał, i byłby może jeszcze nie upatrzył, ale mu sam wypadek dopomógł.

Jednej niedzieli szedł koło dworskich czworaków. Słońce już się miało ku zachodowi, ale świeciło jeszcze pełnym blaskiem; a choć to już pod jesień było, w ogrodach było kwietno i zielono, drzewa pełne liścia i owoców. Slizień szedł ot tak, aby iść, bo mu cknąć było w chałupie jednemu, i myślał, że spotka kogo po drodze, szedł więc, i na prawo i na lewo się rozglądał, i czy ten blask słoneczny, czy też widok drzewin osypanych owocem tak go jakoś dobrze usposobił, że ani wiedział, kiedy zanucił krakowiaka:

Ctery mile lasu
Samęj jarzębiny,
Ciężko bardzo dostać
Pocziwój dziewczyny...

I ledwie zwrotkę skończył, z za płotu odpowiedział mu z czworakowego ogrodu głos dźwięczny i młody:

Ctery mile lasu
Samego jałowca,
Ciężej jeszcze dostać
Poćciwego chłopca!...

Stanął jak wryty i gębę z podziwu otworzył. W ogródku pod gruszą stała dziewczyna jak malowanie. Tęga, zdrowa, krew z mlekiem na twarzy. Jedną nogę trzymała wspartą na pniaku i Slizień mógł widzieć jej kształty krągłe i mięsiste. Patrzyła prosto na Sliznia, i widząc jego zakłopotanie, zaśmiała się serdecznie, pokazując dwa rzędy białych zębów.

— Niech będzie pochwalony! — przemówił wreszcie.

— Na wieki wieków! — odparła.

— A czyjaś ty?

Dziewczyna skrzyżowała ręce nad głową, uwydatniając bezwiednie pierś rozwiniętą.

— Naprzód boska, a potem... ojcowca.

Spodobała się Walkowi ta odpowiedź.

— Oho! widzę, języka w gębie nie zapomniałaś...

— A jak go mam zapomnieć, kiej przyrosły!—i, aby Sliznia lepiej o tём przekonać, język mu pokazała.

Nim Slizień do płota doskoczył, chcąc go przeleźć, aby dziewczynę za taki despekt jak się należy ukarać, ta zaśmiała się na całe gardło i uciekła.

W pierwszej chwili byłby Slizień płot przeskoczył i pobiegł za dziewczyną, ale mu przyszło do głowy, że gospodarzowi, co dawno parobczakiem być przestał, niebardzo pasuje za dziewczuchami po cudzych ogrodach się uganiać; więc powstał chwilę i poszedł dalej, zakładając sobie, że się od ludzi dopyta, co to za dziewczyna. I dowiedział się jeszcze tego samego wieczora w karczmie, dokąd dworska służba w niedzielę zaglądała: poprostu dziedzic przyjął nowego fornała, Macieja Okłę, który z żoną i córką trzy dni temu do czworaków się sprowadził. Parobcy dziewczyny odchwalić się nie mogli: jak jabłuszko czerwona, krew z mlekiem, prawdziwie że aż spojrzeć miło!

Nadeszła do karczmy stara Augustowa; ta już wiedziała wszystko i o Okłach, i o dziewczynie. Dopiero dwudziesty rok jój się zaczął na Matkę Boską Zielną, i choć dziewczyna nic prawie nie ma, a już byłaby dawno wyszła za mąż, gdyby nie matka, która chciała ją koniecznie wydać na grunt. A nie było to

rzeczą tak łatwą, nawet przy urodzie Marysi, bo każdy z zasobniejszych gospodarzy syna tylko z gospodarską córką żeni, Maryś zaś i córka fornała, i ludziom jeszcze w Brzozówce, gdzie przedtём Okła służył, było wiadomo, iż stary co miał uciulanego grosza, to dał synowi Józefowi, jak się z wdową po Wojciku na wstępy żenił, więc nikt taki się nie trafiał, jak sobie matka życzyła.

Co jednak powstrzymywało dotąd gospodarskich synów, to nie odstraszało parobków, którzy, tak jak ona, nic, albo niewiele mieli. Więc szły od parobków swaty za swatami do Okłów pytać, czy nie mają jałówki na sprzedaż? ale Oklina zawsze odpowiadała:

— Kaj mybyśmy mieli!... nie mamy...

I swatowie więcęć o jałówkę nie pytali.

Słuchał tego wszystkiego Slizień i głową kiwał. „Oho—myślał,—co tamtym było przeciwnie, mnie nie odstraszy: ja tam, chwalić Pana Boga, majątku za żoną brać nie potrzebuję, dostatku w chałupie dosyć, tylko kobiety niema. Ożenię się z dziewczuchą i basta!... A że będą we wsi pyskowali, że się z dworką żenię, wielka rzecz! niech pyskują... Tyle o to dbam, co pies o piątą nogę...”

I nie odkładając rzeczy na długie terminy, niezwłocznie przystąpił do wykonania swego planu. Najpierw poprosił starę Augustową,

żeby wspomniała Okłom przy sposobności, „co ich Maryś okrutnie w oko wpadła Sliźniowi.” Potem w tydzień sam o coś do Macieja się zamówił i na przyjaźń do karczmy go zaprosił. W karczmie jął się przed Maciejem wywnętrzać, biadać na swój stan wdowieński, że „bez kobiety i porządku w chałupie niema i ckno okrutnie.” Kiedy zaś wódka dobrze mu w głowie zaszumiała, jął Macieja całować, potem zaklął siarczyście, cisnął czapką o stół i zaczął:

— Bo to, widzicie, Macieju...

Ale urwał. Przyszło mu na myśl, że to opacznie tak, bez swatów, samemu o dziewczkę prosić; więc poskrobał się po głowie i dodał powoli:

— Napijwa się jeszcze...—i nie czekając, co Maciej odpowie, zaraz wielkim głosem krzyknął:—Szynkarzu! dajcie-no, ale haraku!

Okła niebardzo się domyślał, co to wszystko znaczy; ale Oklina, z którą Augustowa już się o Sliźniu zgadła, doskonale wiedziała, czego to Sliźień do nich się zamówił i czemu wziął Macieja do karczmy. Aż serce jej rosło.

— Zobaczysz, Maryś, będziesz... dziedzi-
czką!

Ale Maryś niechętnie słuchała słów matki. W Brzozówce został parobek, Grzela Dębina,

chłopak jak ulał. Ohol nie taki, jak Sliźień, którego, co prawda, raz tylko wonczas z ogródka widziała, ale który niebardzo jej przypadł. Aż ją pod sercem łaskocze, jak przypomni sobie, jak to z Grzelą w żniwa rej przypomni sobie, jak to z Grzelą w łące kopili, albo gdy wiedli, jak siano na łące kopili, albo gdy wspomni wieczorne śmiechy i zabawy. Nie-raz Grzela, ot tak sobie, z żartów, przez plecy ją uderzy, to aż kilka dni boli; a jak ją w tańcu przycisnie, to aż w niej dech coś zatrzyma, i myśli, że ją zamroczy. I ona Grzeli do serca przypadła, przysłał nawet swaty, ale Oklina, jak zwykle, z niczém ich odprawiła. Dziewczyna płakała, groziła, że sobie co zrobi,—matka wołała jednak czekać i... doczekała się.

Ledwie na wschodzie pierwsze zamajaczyły blaski *), do izby Okłów wszedł Szymon, Przonda z Wincentym Bakałarzem, dwóch najprzedniejszych we wsi gospodarzy, i pozdrowszy od proga „pochwalonym,” zaraz zapytał:

— Mówili nam we wsi, że macie jałoszkę do przedania; a że my mamy doskonałego kupca który stoi na dworze, to przyszlśmy was spytać: czybyście jej nie przedali?

*) Zwyczaj w okolicach Sobkowa i Chmielnika.

Oklinę z radości aż coś koło serca ścisnęło, a Marysię na przypiecku, gdzie jeszcze leżała, jakby nożem uderzył.

— „Pewnikiem od Sliźnia!” — pomyślała, i stanął jęj przed oczyma Dębina.

— Kuniecznie do przedania to niby nie mamy—jęła mówić Oklina,—ale możeby się i znalazła, jeśli kupiec dobry.

— Lepszego kupca i próznoby szukać—zaczął mówić Przonda. — Gospodarz, człowiek zasobny i nie stary, bo ledwie trzydzieści i sześć roków mu będzie, ludzie go we wsi szanują, nie jakiś ta przybłęda i urwipołec, krótko mówiący: Walek Slizeń, któremu żona niedawno pomarła i który chciałby z waszą córką się żenić...

Bakałarz w milczeniu wyjął kwartową flaszkę wódki i postawił na stole.

— Maryś! Maryś!... a pójdźże! — wołała Oklina; a gdy ta nie schodziła, ściągnęła ją za nogę z przypiecka.

Przonda poprosił o kieliszek i przepił do Okłów. Bakałarz wyjął swój kieliszek z kieszeni, nalał i podał dziewczynie. Łzy się jęj zakręciły w oczach. Patrzyła na matkę, która jęj głową znaki dawała; gdy zaś Maryś zdawała się ich nie rozumieć, podeszła do niej i szepnęła jęj do ucha:

— Nie bądźże głupia!

I dziewczyna, zasłaniając się ręką, wódkę wypija.

Przonda wyszedł zaraz po Sliźnia. Za chwilę byli w izbie. Maryś stała pod piecem i dłubała w glinie, słuchając, jak Przonda w długiej oracyi wychwalał Sliźniowi, jaką to jałówkę mu wynalazł, a potem zwracał się do niej z różnemi pytaniami.

Stosownie do zwyczaju, Maryś milczała uparcie, nie przestając wydłubywać gliny. Tymczasem Bakałarz z Okłami nie próżnował—i wódka niknęła z flaszki jak kamfora. Wreszcie, z wyjątkiem dziewczyny, siedli wszyscy za stołem. Oklina była w siódmym niebie—śmiała się co chwila; Okła z Przondą rozmawiał; Bakałarz, jak zawsze, milczał; Slizeń niby słuchał i niby mówił, lecz ciągle patrzył na Marysię i porównywał ją z nieboszczką żoną; a Marysi wciąż się Grzela przed oczyma kręcił.

Wtém Sliźniowi zachciało się piosnek posłuchać, bo mu się przypomniało, że przez piosnkę poznał dziewczynę i o mało co „nie nawarzyło się piwa,” jak mówiła potem Oklina.

— Cóż tak stoisz pod piecem i nie gadasz?—zagadnął do dziewczyny.—Dałabyś tój glinie pokój, nawydłubywałaś jęj dosyć... Ot lepij, choć to niebardzo w zwyczaju, zaśpiewałabyś, Maryś...

— Kiej nie wiem—odezwała się po raz pierwszy dziewczyna.

— O, jeno nie gadaj! Wiem ja, że umiesz więcej śpievek, niż dni w roku...

— No, zaśpiewaj, zaśpiewaj.—odezwała się Oklina—i nam będzie weselój.

Marysia jeszcze bardziej się tyłem odwróciła do Sliznia i jęła nucić:

Stado gęsi, stado owiec,
Matusińku, chce mnie wdowiec.
Jedna gąska, jedna owca.

— A bądźże cicho, ty głupiał — zawołała przerażona Oklina—którą sobie piosnkę przypomniała! Co ty śpiewasz!...

— Niech śpiewa! niech śpiewa! — wołał Slizień.

I Maryś kończyła:

Matusińku, nie chcę wdowca!
Bo ten wdowiec ma dzieci;
Jeno dzieci dorosną,
To macocha wyleci!...

Bakałarz ryknął śmiechem, za nim Slizień i Przonda.

— Otóż i nieprawda, bo ten wdowiec nie ma dzieci! — wołał Przonda.

— I macocha ostanie — wykrztusił Bakałarz.

— Oj, głupia, głupiał — mówiła Oklina. — Oczkiem w głowie będziesz, jak pierwsza kobieta. Jaki to jój Slizień sprawił pochówek, dotąd gadają.

— Pewnikiem, że będzie mi oczkiem w głowie—dorzucił Slizień.—No, zaśpiewaj jeszcze.

Maryś nie kazała teraz długo czekać.

Zielona ruta, jałowiec,
Lepszy kawaler, niż wdowiec;
Kawaler ściska, całuje,
A wdowiec bije, katuje...

— I to nieprawda! — zawołał Slizień — i żebyś wiedziała, że i wdowiec całuje, to dawaj gęby!

Poskoczył ku Marysi, w pół ją objął, i nim się dziewczyna spostrzegła, w samą twarz ją pocałował, aż się po izbie rozległo.

— A masz za śpiewik! masz, bestyo!...

W izbie zrobiło się gwarno. Przonda śmiał się; Okla do milczącego Bakałarza wykrzykiwał, że i on taki był zawsze do dziewczyn, niech żona zaświadczy; Oklina z radości, że się wszystko tak kończy, nie wiedziała, co robić; a Slizień z Marysią szarpali się pod piecem. Wreszcie dziewczyna się wyrwała i do komory uciekła.

Tego samego dnia poszli wszyscy, świętecznie odziani, na plebanie i dali na zapowiedzi; a we trzy tygodnie potem pijany Walek pijaną Maryś do swęj chałupy wprowadził, i otworzywszy skrzynkę z rzeczami nieboszczki Jagny, wybełkotał:

— Patrz, Maryś, co tu bogactwa! Bierz... to wszystko twoje!...

I skończyło się wdowieństwo Sliźniowe.

Gräfenberg, Wrzesień 1888 r.

II.

AUGUSTOWA.

to nie znał Augustowój w Zagórze?.. Nie było chyba takiego. Znali ją wszyscy, począwszy od dzieci, które imieniem Augustowój straszono, skończywszy na starych, którzy, Bogiem a prawdą, także ję się bali. Ba! nie samo Zagórze ją znało... Znała ją Białka, znało ją Zalesie i Zgórsko, znały Zagrody, znały aż trzy Kępy: Wielka, Duża i Mała, znał Stojanów, Kiełczów, Suchylas, znał nawet Chorzów i Oblesoń, jednem słowem na pięć mil wokoło cała okolica ją znała—ci osobiście, a ci ze słyszenia, bo takiej lekarki, jak ona, nie było i pewno nie będzie!...

Zkąd się wzięła w Zagórze, dzisiaj nikt dobrze nie wie. Lat temu może dwadzieścia, a może więcej — stary Sliźień to dobrze pa-

miętał, ale pomarł przed kilku laty,—pod samą zimę przywędrował do wsi kowal z żoną. Cygan — nie Cygan, ale jakiś czarny i jak obcy, choć się August Stępień nazywał. Akurat stała pustką kuźnia pod lasem, bo się w niej dawny kowal, zawołany pijak, powiesił, i nikt od roku nie chciał tam osiąść. Przybysz jednak nie zważał na odradzanie, machnął ręką i poszedł do dworu prosić dziedzica, żeby pozwolił w kuźni zamieszkać. Dziedzic był rad bardzo, że się znalazł nareszcie chętny, ponieważ dworski kowal nieraz nad chłopską robotą bałamucił; więc, nie pytając nawet, z kąd i co za jeden, dał bez wahania przyzwolenie. I osiadł w kuźni pod lasem nowy kowal z żoną.

Ona niemłoda, chyba nawet starsza od męża, szczupła, zawiędła, była także jakaś czarniawa, jakby równie z Cyganów pochodziła. Dzieci nie mieli i z początku tak żyli, że nikt we wsi o nich nie wiedział: ani się z kim znajomili, ani do ludzi garnęli. Zawsze jednak trzeba nowego kowala zobaczyć, więc ludzie sami do nich trafili. Co kto pójdzie do kuźni, roboty odchwalić się nie może. Kowal zna swoją sztukę wyśmienicie, najpierwszy kowalby się nie powstydział, robota mu się w rękach pali, przy zapłacie nigdy zwady niema, ani się targuje. Ona, nie jak

inne kowalki: do kuźni się nie miesza, nie wypytuje: A z kąd? a co? a jak? — jeno siedzi przed kuźnią i szyje, i jakieś śpiewki półgłosem zawodzi, albo po izbie koło gospodarstwa się krząta. W niedzielę oboje zawsze w kościele, on nawet z książki się modli,—to tylko bieda, że nieraz kto z pilną robotą przyjdzie, a tu kowala niema.

— A kajże wasz? — zapyta żony.

— Poszedł za robotą.

— Siedziałby, toć i tu roboty dosyć...

Kowalka nic na to nie odpowiada, i chłop, skrobiąc się w głowę, odchodzi.

Co jednak dziwna, to, że, czego dawniej nigdy nie bywało, zaczęło się jakoś złodziejstwo w okolicy szerzyć, odkąd nowy kowal w kuźni pod lasem zamieszkał. Sikorze krowę ukradli, Pocheciom wieprza, pod Zapalę komorę ktoś się podkopywał, w Białce zginęła para koni z pastwiska, w Kępie Małej jałówka, gdzieindziej gęsi: a kowal w kuźni pod lasem kuje, aż się echo po lesie rozlega, nigdy o zapłatę się nie targuje, co niedziela do kościoła chodzi, z książki się modli i w tygodniu raz po raz gdzieś za robotą idzie.

Jak też raz poszedł, tak i nie wrócił.

Mówili ludzie, że go znaleziono wiszącego na drzewie gdzieś aż pod Kielcami; to znowu, że go pono piorun zabił; ktoś inny przebaki-

wał, że go złapano, jak się z całą bandą do dworskiej stajni dobierał,—tylko gdzie to było, nikt nie wiedział; inny znowu przysięgał się, iż wie napewno, że Stępień siedzi w kryminalu. Jak było, tak było, dość że kowal przepadł, jak kamień w wodę, i od tego czasu jakoś o złodziejstwach ucichło.

W kuźni została kowalka. Czas jakiś wyglądała męża, myśląc, że wróci; a gdy ten nie wracał, poszła do dworu prosić, żeby pan jój pozwolił w kuźni pozostać, póki inny kowal się nie zgłosi, a może i mąż jój jeszcze się znajdzie. Pan przystał, ale ktoby tam chciał osiąść w kuźni, gdzie się jeden kowal powiesił, a drugi zaprzepaścił! Nie było takiego, więc siedziała Augustowa jak dawniej, i jak dawniej ani się z kim przyjaźniła, ani do ludzi garnęła.

Dopiero jakoś w pół roku potém, zaraz po żniwach, zachorowała we wsi Przondowa. A Szymek Przonda, we wsi gospodarz najpierwszy, bogacz; ojciec jego niegdyś w wojsku służył, był potém gajowym i miał we wsi wielkie poważanie. Ona z młynarzów pochodziła. Na wieść więc o jój chorobie zbiegły się wszystkie kumoszki i powinowate, a każda coś radzi, wypytuje i pomódzby rada. Dają więc jój suszone stonogi z wodą, jak od febrы, i żydowskie pacierze w wódce,

i wywar wrotyczu, jak od bólu żołądka; rozumie się, każą jój pić wódkę to z pieprzem, to z tłuszczem, bo to zawsze pomocne; wezwali nawet z drugiej wsi Wawrzeńca Gruzdę, co to wróż z wróżów, żeby zażegnał i odczynił,—a wszystko jak nie pomaga, tak nie pomaga. Już nawet Gałdzinie przychodziło do głowy, że to może nie chłopska choroba, jeno jakaś pańska, co nicby dziwnego nie było, bo Przondowie tacy bogacze, i że może trzeba felczera, albo nawet doktora przywieźć,—kiedy ni ztąd ni zowąd przyjdzie do Przondów Augustowa. Niby o niczem nie wie i ze zdziwieniem od Niecuniowój przed chałupą o chorobie się dowiaduje.

— Pójdę obaczyć—mówi,—może jój co pomogę.

Niecuniowa niedowierzająco głową pokręciła, ale idą. Augustowa idzie do chorój, ogląda ją, o to i o owo zapyta, wywiadytuje się, co jój dawali? a co jój powiedzą, to tylko ręką machnie i powie: „to niepomocne,” — że aż wszystkich dziw bierze. Wreszcie powiada, że ona już wie, co jest Przondowój, i że lekarstwo przyniesie.

Poszła do swojej kuźni.

Niecuniowa z Gałdziną z tego dziwu zafrasowały się srodze; ale kto wie tam, może kowalka i nauczna i Przondowój pomoże, choć

nikt pomódz nie mógł; a tymczasem Augustowa z jakimiś ziołami powraca.

Zagotowała wody, ziółek zaparzyła i dała się napić Przondowej gorącego odwaru, a potem nakryła ją wszystkimi chustkami, jakie tylko były. Przondowa usnęła.

Spała kilka godzin. Kiedy się ocknęła, myślała, że spłynie, takie na nią poty wystąpiły. Spójrzy, a przy łóżku siedzi nieruchomo Augustowa.

— Cóż, lepiej wam?

— A lepiej.

— Napijcie się jeszcze...

I w kilka dni Przondowa była zdrową.

Ogłos o tém poszedł na całą okolicę. Kto żyw, szedł teraz do Augustowej po radę. Ona zrazu wzdragała się, nie chciała radzić, w końcu radziła. Nigdy ścieżka do kuźni nie była tak wydeptana, jak teraz. A Augustowa na wszystko ma sposób.

Ten przychodzi zaradzić się na ból gardła—Augustowa każe mu na czczo w komin chuścić, a gdy to nie pomaga, każe złapać żabę, zawinąć w szmatę i na gardle nosić. Innego boli w sobie—Augustowa da mu jakieś ziółka i te pić każe, albo zaleci, żeby zebrał przed wschodem słońca mech ze strzechy, dobrze wygotował i pił co rano. Na łamanie w stawach doskonała sierść z czarnego kota, czar-

nego psa i czarnego barana. Kobietom bezdzietnym każe się wystarać o róg jeleni, który skrobany bardzo dobry, tylko trzeba wiedzieć, w jakim miesiącu. Choremu na oczy każe wyciągnąć wiadro wody ze studni, wpatrywać się w tę wodę przynajmniej godzinę, żeby łzy dobrze spłynęły, a potem tą wodą oczy obmywać. Zdejmuje pliki i kołtuny, leczy gościec, umie spędzić krowie żółwia kamiennego albo wodnego, wie, co potrzeba zrobić; żeby kury się domu trzymały i dobrze niosły, a co, żeby owce się chowały, i tak dalej, i tak dalej, jednym słowem na wszystko ma radę i sposób.

Najbardziej jednak lubi Augustowa leczyć swemi ziołami i proszkami, które ludziom daje, rozumie się za zawdzięčeniem,—a że często zamiast ulgi pogorszenie bywa, toć ona temu nie winna, bo pewnie chory nie tak zrobił, jak ona zaleciła. Tak przynajmniej zawsze tłumaczy — i rośnie jój sława coraz więcej.

Ale o Augustowej i co innego pocichu w Zagórze mówią. Pono umie urok zadać i czarowstwo rzucić. I niech się teraz co niezwykłego we wsi zdarzy, to każdy spogląda z pewnem uczuciem strachu ku samotnej kuźni pod lasem i tam źródła szuka.

Ot, Paweł Styczeń zmarniał w ciągu roku: najpierw mu władzę w nogach odjęło, potem

go krowa odeszła i konia mu ukradli. Któż temu był przyczyną, jeżeli nie Augustowa?... Albo ona sama, albo ktoś z jej porady urwał rękaw u Styczniowej koszuli, jak się na płocie suszyła — i zmarniał nieborak.

A z krową Zapały jak było? Zapałowa posprzeczała się o coś z Augustową, i zaraz jej krowa krwią doić zaczęła. Dopiero Zapałowa w prośby do kowalki. Ta niby nic nie wie, przysięga, że ona nawetby nie umiała zadać krowie; gdyby zaś umiała, to przecie dla takiego głupstwa nie robiłaby krzywdy. Zapałowa dalej tłumaczy, już jej nawet obiecuje prosiaka, jak się maciora oprosi, i Augustowa przyrzeka coś poradzić, a Zapałowa myśli: „Łatwo jej radzić, gdy sama czarowstwo zadawała.”

Mijają lata za latami, Augustowa starzeje się. Twarz jej, jak dawniej, niemiła, setkami zmarszczek się pokrywa, wśród których błyszczą pełne zawsze życia oczy. Siwe włosy kosmykami wymykają się jej z pod chusty, coraz nędzniej chodzi ubrana, coraz bardziej jednak w Zagórzu ją uważają i coraz bardziej się boją.

Nie odbędzie się bez niej ani jeden połów, ani jedne chrzciny, nikt nie umrze i nie ożeni się, nic nie sprzeda i nie kupi, żeby Augustowa przy tym nie była, lub o tym przynaj-

mniej nie wiedziała. Wplotła się tak w pasmo życia Zagórza, że nic się ważniejszego bez niej nie dzieje, przy wszystkim być musi, o wszystkim wie, nieraz nawet i o tém, co niejednemu zdaje się, że gdzieś na dnie duszy schowane, jemu tylko i Bogu wiadome.

Nikt jej nie słyszał śmiejącej się, nie widział, żeby twarz jej na widok dziecka się rozradowała; nie kocha ona nikogo i przez nikogo nie jest kochaną. Najczęściej dni spędza samotna w swoim pustkowiu, mruczy swe pieśni, lub błądzi po okolicy i zbiera zioła.

Niby nic za swe rady nie bierze; ale ile razy do niej kto przyjdzie, zawsze w zawdzięczeniu coś zostawi; gdy ona zaś do kogo wstąpi, zawsze coś otrzyma. Przyjmuje wszystko, najbardziej jednak rada, gdy jej pieniędźmi wdzięczność okazują. Na widok pieniędzy oczy jej jeszcze większego nabierają blasku, ręce kurczowo trząść się zaczynają. Pieniądze to rzecz dla niej najmilsza, to jedyne, co ukochała na świecie.

Gdy na dworze wicher wyje szalony, że psabyś nie wypędził, i każdy się żegna, bo się widocznie znów ktoś powiesił, Augustowa wiedząc, że nikt do drzwi jej nie zakolacze, wysuwa się z izby do kuźni, tam w starym piecu kowalskim kamień wyjmuje, wyciąga

z kryjówki blaszankę i z nią do izby powraca. A potem wysypie z blaszanki na fartuch pieńdże, do nich się uśmiecha, łagodnym głosem mówi, zowiąc niektóre nawet po imieniu...

Albo znów w wieczór letni, zamknie mieszkanie na kłódkę, weźmie kij w rękę i cicho przez wioskę idzie. Wówczas nieraz słyszy, jak baba, siedząc przed chatą, z rozswawolonym chłopcem się uganiania i dziecko straszy:

— Jasiek, raku przekłęty, nie zbytkuj, a to cię oddam Augustowój...

Na twarzy jej zjawia się niby uśmiech, niby skrzywienie; niespodzianie staje przed dzieckiem i babą, która z kolei sama wylękała woła:

— Wszelki duch Pana Boga chwali!...

Dziecko strwożone za matkę się chowa, a Augustowa dalej cicho przez wioskę idzie...

Gräfenberg, Wrzesień 1888 r.

III.

ZA ŚLADEM.

róžno Nagłowski przecierał oczy, próżno chodził tam i napowrót, próżno nawet gwiźdać zaczynał,—taka go senność ogarniała, że rady sobie dać nie mógł. Choć go zabij, a chwilę przespać musiał. I nie dziwota: wstał przed czwartą, cały dzień żął na spiekocie, w południe ledwie z pół godzinki się przespał, a tu nie śpij znowu noc całą, pilnując na pastwisku koni.

Bestya Franek miał przyjechać ze swojemi końmi, i nie przyjechał. Byłoby ich dwóch na łące—to jeden, to drugi by się trochę przespał; a teraz pilnuje sam, prawda własnego dobytku, ale zawsze nie śpij noc całą.

Nie, choć chwilkę jedną uśnie. Nawet spać nie będzie, ale się tylko wyciągnie raz

dobrze na łące, bo tak kości bolał... Cóż że trawa zroszona, a on tylko w spencerze? Nic mu nie będzie, wyciągnie się jeno i wstanie...

I nie oparł się znużeniu: położył się, wyciągnął i — usnął.

Kiedy oczy otworzył, zdawało mu się, że nie spał wcale. Ot, zwyczajnie, głowę oparł na rękę, przymknął oczy na chwilę i zadumał się, choć sam nie wie o czém; a widać od tego niespania coś mu się w oczy zrobiło, bo chociaż przeciera je raz po raz, koni nie widzi. Co znowu? przecie dzień zaczyna i mgła w powietrzu dębem nie stoi; przecież dobrze widzi Maćkową gruszkę za łąką, a koni na łące zobaczyć nie może!... Czy go oczarowało, czy co? przecieć, gdyby były dokąd odeszły, to byłby słyszał, bo tuż przy nich leżał na ziemi i nie spał, napewno nie spał...

Przeciera znów oczy, patrzy, i znów koni nie widzi.

A może go zmogło i usnął?...

W jednej chwili zerwał się na nogi. Pędem obleciał całe pastwisko: niema! Niema ani jego gniadéj, ani siwego!... Wyjrzał na pole, czy w dworską pszenicę nie weszły — niema! Spojrzał na kartoflisko — i tam niema. Pędem na łąkę powrócił — pustka, jak była.

Jezu! Jezu najdroższy! a toć ślady jego koni, a przy nich ślady nóg w butach, — on bo-

so, to nie jego ślady... Skradzionie! skradzionie!...

I oniemiały z przerażenia leci do wsi jak szalony, bezgraniczną rozpaczą gnany.

Dopał pierwszej chałupy i z całych sił jął bić w okienko.

— Wójtke, Wójtke, szwagierku!... Bój się Boga, wstawaj... Konie mi ukradli!

W chałupie w jednej chwili ruch się zrobił, drzwi się otwarły i wypadł na drogę chłop bez czapki, bosy, nawpół ledwie odziany.

— Bój się Boga, Antek, nie gadaj!

— Położyłem-ci się na chwilę kości wyciągnąć; widać mnie zmogło i usnąłem. Ila tego być mogło? najwyżej kwadransik, i już skradły bestye...

— A szukałeś dobrze? Może kaj są...

— Szukałem-ci ja wszędzie: i w dworskiej pszenicy i na kartoflisku, nikaj niema, jeno ślad w zarośla idzie. Co żywo lećmy, może odbierzemy...

Wójtke wpadł napowrót do chałupy, w mgnieniu oka wypadł z powrotem z parą butów pod pachą i spencerem. Czapkę przez prędkość chwycił zimową.

— Lećmy! Pedziałem mojej, żeby twojej pedziała, co ci konie ukradli...

I we dwóch puścili się ku pastwisku.

Świtać na dobre zaczęło, kiedy dopadli łąki.

— Kajżeś się położył?

Nagłowski wskazał miejsce.

— O, patrzaj, tu leżałem, jeszcze ślad na rosie; a konięta tam były, tuż pod ręką... i to ukradli!

Wójtka z kolei podszedł do miejsca, gdzie pasły się konie. Ukląkł na ziemi i jął się trawie bacznie przypatrywać.

A był to chłop, choć młody, na wszystkie strony kuty; na nic niby nie patrzył, a wszystko widział; umiał doskonale jedno z drugim zestawiać, wywnioskować, że aż we wsi mówiono: „Ho, ho! Brózdka praktyk okrutny... Czego on nie wyśpekuluje, tego nikt nie dojdzie!...”

— Tyś, Antek, boso? — spytał.

— Boso, a tamte ślady w butach.

— A bo to jeden! Tu dwóch było... Widzisz, szli tędy od krzaków. Szły juchy, tak, że ślad wchodził, niby jednego człowieka, ale tu się rozchodzi. Patrzaj: jeden miał podkówekki na obcasach, a drugi nie. To chłopski but, a to żydowski!

Nagłowski nachylił się i przyglądał zdeptanej trawie i nieznacznym prawie zagłębieniom w ziemi.

— Prawda — rzekł, — tu moich koni dopadli. Siwy w bok uskoczył... Widzisz, Wójtka,

tu jego podkowę? Ten chłop chwycił go za grzywę... O, patrzaj, trocha włosia...

— A te żydowskie ślady wedle twojej gniadój. No, nie bałamućmy, i za śladem.

Nie zwlekając, puścili się ku krzakom. Szli w ten sposób, że ślady mieli w środku między sobą.

Idąc tak, doszli do zarośli. Tu w jednym miejscu ziemia była bardzo zdeptana, ślady nóg ludzkich mieszały się z końskimi, krzyżowały się same z sobą i dopiero z tej motaniny ciągnął się dalej ku polnej drożynie ślad tylko kopyt końskich.

— Tu bestye na konie siadły — mówił Brózdka; — widać miały uździenice w krzakach pochowane.

— Kłusem z miejsca ruszyli — dodał Nagłowski, pokazując głębokie ślady podków; — a kiej pośpieszyli oni, trza i nam śpieszyć.

Jak dwa psy gończe puścili się po obu stronach drogi. Każdy nie tylko pilnował śladu na drodze, lecz śledził także, czy przypadkiem po jego stronie niema czegoś, coby mu mogło dać jakąkolwiek wskazówkę co do złodziei.

Za śladem wpadli do obcej wsi, jeszcze ze snu nierozbudzonej. Koło karczmy psy ich opadły, ledwie im się opędzili, i znowu za wioskę wybiegli. Pot spływał z obudwu kropkami.

— Weź-no, Antek, jednego buta, bo mi okrutnie ciężko—odezwał się Brózda i cisnął jeden but Nagłowskiemu.

Ten w lot go schwycił, wsadził pod pachę i pobiegł dalej.

Biegli tak to drogą, to miedzami, to drożynami polnemi.

Ślad, raz wyraźniejszy, raz mniej wyraźny, ginał im czasem zupełnie i znów się odnajdował. Nieraz wracali się, myśląc, że ślad zgubili, znów go znajdowali i znów biegli dalej, bez wypoczynku, bez wytchnienia, gnani jedną myślą i jedną żądzą schwytania złodziei.

Zdała na szarém niebie zarysowały się ruiny chęcińskiego zamku.

— Wójtak, trza wytchnąć choć chwilę, bo się zatchnęł...

Stanęli. Ze dwie mile już zrobić musieli, kołując za śladem. Żeby tylko dogonić! Więc znowu ruszają. Może w jarach pod miastem złodzieje stanęli, przecież i konie chwilę wytchnąć muszą.

Ale w jarach, przez które biegnie drożyna, pusto. Jechali tędy, jechali! Siwy się potknął nawet i chłop po coś z niego zsiadał; ale już ich niema. Więc dalej za nimi.

Drożyna się wije, kręci wśród zarośli, wreszcie pod miastem na szosę wpada. Zatrzymali się nieco.

— No, teraz, Antek, dobrze patrzaj śladów koni, bo na szosie tego pełno...

Nagłowski w głowę się poskrobał. Ale to nic, że śladów na szosie pełno, on tam doskonale ślad swych koni pozna!

Więc idzie przodem. Staje, przygląda się i idzie dalej. Czasem kilkadziesiąt kroków idzie schylony nad drogą, pot strumieniem mu spływa, na czole wystąpiły żyły, krwią twarz nabiegła — on idzie.

Wtém stanął: ślad skręcał drożyną na lewo, ku samotnie stojącemu domostwu!

— Do Karpów? — spytał Wójtak.

— Do Karpów... — odparł Nagłowski głucho.

Kto nie znał Karpów w okolicy? Było ich dwóch braci, Herszek i Mendel. Obadwaj końmi niby handlują, a obadwaj pierwsi złodzieje. Ze wszystkich stron do nich konie kradzione przychodzą: tu je farbują, podpalają, zmieniają rejestra, robią łysiny, anglicyzują, strzygą, aby tylko odmienić, i dalej w świat na jarmarki do Jędrzejowa, Bodzentyna, Radomia, Skaryszewa, czasem do Łęcznej i Łowicza, lub też lasami do pruskiej granicy. a tam już nikt o pochodzenie konia nie spyta.

Ze wszystkimi się znają, wszędzie mają wspólników; więc też co w ich ręce popadnie, ginie bez powrotu.

Sprytni przytęm niesłuchanie: słyszą, jak trawa rośnie. Co rok pociągają ich do śledztwa, co rok formują im sprawy o kupno koni kradzionych lub udział w kradzieży; ale Karpowie zawsze stawiają całe zastępy świadków przeciwko świadkom oskarżenia, zawsze wytłumaczają się z czasu, udowodnią, gdzie byli — i zawsze niemal wychodzą cali.

Wsadzono ich raz do kryminału, ale cóż to im szkodzi? „Każdego może spotkać takie nieszczęście” — jak starszy Karp powiada.

Znał ich Brózda, znał Nagłowski—wiedzieli teraz, kto rękę w kradzieży umaczał, i zafrasowali się srodze.

— Sami tam iść nie możemy, Żydyby nas utłukły—mówił Wójtek.—Trza iść po strażnika... Ty się chyba tu ostań, boś zmachany okrutnie, i bacz na ich domostwo; a ja pójdę...

W pół godziny wrócił ze strażnikiem, którego w domu rozbudził. Zamienili z Nagłowskim słów kilka, strażnik coś do księżeczki zapisał, i poszli prosto ku mieszkaniu Karpów.

Tam spali wszyscy: musieli kilka minut z całych sił się dobijać, nim z okna wyrzała rudawa broda Herszka Karpa.

— Kto tam?

— Otwieraj, słyszysz!—wołał strażnik i kłąć zaczął.

Skrzypnęły drzwi—i wyszedł Karp, nawpół ubrany, z pierzem we włosach.

— Czego pan strażnik chce? — spytał poważnie, niemal uroczyście.

— Ty wiesz, czego! Gdzie konie?

— Jakie konie? Żadnych koni teraz nie mam. Z temi, co były, trzy dni temu pojechał mój brat Mendel na jarmark; to przecie pan strażnik wie, bo przeglądał świadectwa.

— Ty nie gadaj, a stajnię otwieraj!

— Mogę otworzyć i stajnię, ale powiadam, że koni niema.

Karp stajnię otworzył: była pusta. Poszli do stodoły—pusto; pod szopę—pusto; zaglądali do sieni.—i tam pusto. Przetrzęśli cały dom—nigdzie nic, a co najgorsza, nigdzie nawet śladu żadnego.

— „Cosik hycle z niemi zrobiły”—myślał Brózda i wszystko dokumentnie oglądał.

Na dziedzińcu było pełno rozrzuconej słomy: to zwróciło jego uwagę. Chodzi tam i napowrót, przygląda się, w głowę skrobie, ciągle czegoś szuka, — wreszcie wykrzyknął:

— Panie strażniku, tu je ślad tych samych żydowskich butów, co na łące! O, tu koło stajni... Niech pan strażnik patrzy, tu znówu, o i tu pod słomą!.. A tu stał wóz... patrzaj, Antek. Widzisz kolój, co do tych wrót idzie? Niech-no je Żyd otworzył!..

Karp zwlekał z otwarciem.

Już Brózda podparł je plecami, żeby wyważyć, kiedy Karp wrota na pole otworzył.

Kolój biegła dalej, a obok niej wyraźnie na piasku ślady siwego i gniadego.

— O Matko Boska Częstochowska!—wołał Nagłowski— to te juchy do woza założyły!...

I zapominając o zmęczeniu, o tém, że trzy godziny biegł ciągle, że nic nie jadł jeszcze, puścił się pędem za śladem.

— Trza i mnie!—zawołał Brózda; schwycił buty i spencer pod pachę, i pobiegł za Nagłowskim.

Niedługo biegli: ślad kilka razy kołował coraz bliżej miasta, w końcu wpadł w ulicę.

— Tera co? Na kamieniach nie naléźć!—zawołał Brózda.

— A nie naléźć!—powtórzył Nagłowski.

— Trza zawdy szukać, może i najdziemy, kiedyśmy dotąd znajdowali.

Chwilę się zastanowił.

— Ja to tak sobie kalkuluję: Pojechali abo ku Kielcom, abo ku Małogoszczy. Ale pewnie ku Kielcom, bo dobrą drogą dalej ujedzie i łatwiej ślad zgubić na dużym gościńcu... Trza jeno kolój ich zmierzyć dla pewności.

Przeszukał kieszenie, wyciągnął z nich kilka kawałków sznurka, powiązał je z sobą i zmierzył szerokość kolei. Cofnął się potem

o kilkanaście kroków i znów podszedł ku Nagłowskiemu, pilnie badając ślady, które wóz po sobie na drodze zostawił.

— Widzisz, Antek, tu na piasku w kolei dołeczek? Raz tu, potem tam, o i tu znowu...

— Widzę.

— To na pośledniem kole jeden gwóźdź w obręczy świeżo wbity i jeszcze mu się łeb nie obtarł. No, ale pódźwa...

Przeszli przez budzące się ze snu miasto.

Nie zmylił się Brózda w przypuszczeniach, że złodzieje skierowali się ku Kielcom; zaledwie bowiem wyszli z tysiąc kroków za miasto, Nagłowski zawołał:

— Wójtek, szwagierku, to ślad mojego siwego! Patrz, patrz: tu je znowu!...

Brózda poskoczył i zaczął się przyglądać wyciśniętym na pyłe szosowym kolejom.

— A widzisz, Antek, ten dołeczek? No, to ich znowu mamy!

Dla lepszego przekonania się, Brózda wyjął sznurek i zmierzył szerokość kolei. Ślad z miarą się zgadzał.

I znowu puścili się, jak psy gończe, dwiema stronami szosy, pilnując, czy ślad na bocznej jaką drożynę nie skręca. Biegli tak wiorst parę, wpadli do Zagród. Kilkadziesiąt kroków oddzielało ich zaledwie od mostu na Trupieńcu, kiedy Nagłowski zatrzymał się nagle.

— Wójtak, ślad drogą nad rzekę skręcał!

— Mądrale, bez most nie jechały, żeby ich na ślabanie nie widzieli!

Zbiegli pędem drożyną nad rzekę, przeszli za śladem w bród Trupieniec i oniemiał stanęli na przeciwległym brzegu. Piaszczysty brzeg był zdeptany cały, setki śladów nóg bosych krzyżowały się tutaj, płątały i gmatwały z sobą. Można było sądzić, że kilkudziesięciu ludzi przechodziło tędy w różnych kierunkach, ale śladów ani wozu, ani kopyt końskich nie było.

— Co to je? co to je? O Panno Przenajświętsza! — szepnął Nagłowski i błędnym wzrokiem wodził dokoła.

Nawet Brózda stracił teraz pewność siebie i stał na brzegu spochmurniały. Wtém się roześmiał.

— Głupia robota i tyła! Pozdejnowały juchy buty i ślad zadeptały... O! szczerwane bestye, szczerwane! Chodź, Antek, i patrz na łące dobrze, kajś się ślad odnajdzie.

I rzeczywiście ślad o kilkudziesiąt kroków znowu się znalazł: biegł łąką, potem za Markowizną znów na szosę wpadał.

Więc znowu pędem biegną po obu stronach drogi.

Za Białogonem chłop kamienie przy szosie tłucze.

— Nie przejeżdżał tu wóz w jednego konia siwego, a drugiego gniadego?—pyta Nagłowski.

— Co nie miał jechać!—chłop odpowiada i mówi im, że na wozie jechał młody Żyd, który powoził, i chłop jakiś w szarą sukmanę ubrany. Pędzili okrutnie ku Kielcom, jakby ich kto gonił.

— A dawno jechali?

— Ze dwie godziny...

Znów pędzą.

W Kielcach na rynku rębacz im mówi, że taki wóz przeleciał rynek i wpadł na Borzęcką ulicę. Na Borzęckiej rogatce dziad im powiada, że właśnie na prymaryę dzwoniło, kiedy przez Borzęcką rogatkę przejeżdżał Żyd z chłopem na wozie, zaprzężonym w parę koni; jeden był siwy, ale drugiego nie uważał. Pewnie jechali na jarmark do Bodzentyna, bo się bardzo śpieszyli...

Uciekający o dwie dobre godziny wyprzedzili pogoń. I to tamci jadą, a ci piechotą ich gonią—nie dopędzą, pewnie nie dopędzą! Biegną jednak dalej.

Po drodze coraz częściej ten lub ów im powiada: „Jechali, jechali!” Nie marnują więc czasu na rozpatrywanie śladów, biegną tylko bokami szosy, pilnując, czy ślad w bok nie skręca.

Mijają jedną wieś, drugą i trzecią, mija jedna godzina i druga, oni wciąż biegą. Kiedyniekiedy wytchną przez chwilę, i znów dalej, znów dalej; coraz mniej jednak mają wiary w dopędzenie i coraz mniej nadziei. Siły zaczynają ich opuszczać. I nie dziwota! Sześć mil z okładem zrobili, a dotąd nic w ustach nie mieli... Niech tylko złodziei dopędzą!...

— A masz ty, Antek, pieniądze?

— Nie mam.

— Ani ja.

— To coś będziemy jedli?

— Ha, buty się zastawi u Żyda...

Dobiegli do Krajna. Już tylko dwie mile ich od Bodzentyna dzieli. W Krajinie to samo cieśle im mówią: Widziano wóz taki, na wozie Żyd jechał z chłopem w szarą sukmanę odzianym. Koniska mieli strasznie zmordowane i pojechali do Bodzentyna. Tam jarmark — trzeba śpieszyć; chwila każda jest drogą, bo jak konie sprzedadzą, goń wówczas wiatr w polu!

Coraz trudniej im jednak podążać.

— Wiesz, Wójtek, ja już nie mogę — mówi Nagłowski, — chyba mnie zamroczy.

— To wytchnij trochę.

— Tak mnie w sobie ściska...

— Boś się zleciał, a głodnyś.

— Niech choć co nieco usiądę...

Więc siedli przy drodze i siedzą.

Nagłowski rękawem pot z czoła ociera; Brózda po okolicy się rozgląda. Kraj taki mu dziwny, garbaty. Jak żyje, tu nie był. Urodzony w Ostrawie, najwyżej do Sobkowa, Chęcina lub Kielca zaglądał. Raz był w Chmielniku i na tym świat mu się kończył.. „I wie to człowiek, co go czeka! — myśli sobie — spał najspokojniej, a tu ni ztąd ni zowąd leć tyle mil drogi o suchym pysku! To ci los weterański!...”

— Antek, trzeba lecieć!

— Jeszcze chwileczkę, niech wytchnę...

Wtém turkot ich dochodzi, niezadługo chłop jakiś nadjeżdża.

— A dokąd to?

— Do Bodzentyna.

— Podwieźcie nas, moi drodzy... Konie nam ukradli.

Chłop konie wstrzymuje, na wóz ich zabiera. Wypytuje: zkąd? co? jak? co konie były warte? Aż głową kręci ze zdziwienia, jak mu Brózda opowiada, jako od świtu za śladem biegą, ale jakże biedz nie mają, kiedy szkapęta z pięćdziesiąt rubli były wartel...

Mijają klasztor św. Katarzyny; chłop konie ciągle zacina, aby prędzej stanąć w Bodzentynie; wreszcie Nagłowski wykrzyknie:

— Jakieś miasto!

— To Bodzentyn...

I w kwadrans są na miejscu.

Zeskoczyli z wozu, podziękowali za przysługę i pobiegli ku rynkowi. Tam tłok, ścisk, ludu jak nabił,—ani przejeść prawie, tyle furmanek i wozów.

Odszukali strażnika—opowiedzieli się, zkąd i po co przybyli, i wpadli między wozy.

Chodzą, patrzą, szukają, ledwo oczu nie wypatrzą.

Nagle w Nagłowskim dech zamarł. Po między wozami stoi wóz, na wozie Żyd młody siedzi, a do wozu zaprzężone jego siwy i gniada. Oba konie staremi kapotami przykryte, ale on zna je doskonale; niech-no ucho zobaczy, już poznał. Więc skrada się zcicha, prze-myka między furmankami, i nim Żyd zdołał się obejrzyć, już za kark go trzyma.

— Złodziej! złodziej! Wójtek, a bywaj!

— Lecę! — grzmi głos Wójtki.

Robi się zamieszanie, Żyd krzyczy, odzywa się świstawka strażnika, ludzie się cisną, pchają, próżno się Żyd rzuca i wyrwać usiłuje, nie na to go Wójtek trzyma. Och! tak-by go w pysk lunął z ochotą! Już nawet w garść splunął, kiedy strażnicy nadbiegli, a Nagłowski od téj wielkiej radości nie wie co robić, i śmieje się, i płacze, i konie po łbach całuje.

Tam zaś, bokami, chyłkiem pomyka za miasto chłop jakiś, w szarą kapotę odziany.

Konie odprowadzono do wójta, Żyda w areszcie zamknięto. Z Chęcín on, parobek Karpowy.

No, teraz Nagłowski i Brózda zastawią buty i zjedzą, bał nawet wypiją, co im się rzetelnie należy. Potém pójda do domu po świadectwa.

Pan pisarz, choć nigdy w życiu ich koni nie widział, wypisze w świadectwie: jakieś były maści i ile koni Nagłowski posiada. A jak nie napisze?... Ale napisze! toć mu pięknie podziękują... Wójt pieczęć przyłoży. Potém znów piechotą do Bodzentyna po konie powrócą, i dopiero z powrotem na siwym i gniadój pojadą.

Zajmie im to ze trzy, cztery dni czasu, zmordują się i nachodzą doskonale, nim konie odbiorą; ale to nic, byle tylko Żyd ich potém nie spalił!

Gräfenberg, Wrzesień 1888 r.

IV.

ZA SPRAWĄ.

hybaby sprawiedliwości na świecie nie było, gdyby Zapałowe dzieci miały Szóstakowi grunt odebrać!...

A toć jedenaście lat temu stary Wawrzek Zapała, kiedy po śmierci żony córkę wydał za mąż, syn zaś poszedł do wojska i stary nie mógł dać sobie rady z gospodarstwem, sprzedał mu, prawda aktem prywatnym, ale zawsze sprzedał, swoją osadę z pobudynkiem i serwitutem za dwieście pięćdziesiąt rubli. Pieniądze do własnych rąk jak jeden grosz od Antoniego Szóstaka odebrał, i na znak, że żadnej więcej pretensyi do niego już nie ma, a grunt na wieki sprzedaje, podznaczył się na dobrowolnej umowie znakami krzyża świętego.

Toć żyją ludzie, co przy tém byli: jeden Wincenty Bakałarz umarł, ale żyje i Szymon Przonda i Floryan Niecuń, urzędowa osoba, bo sołtysem na wsil... Toć ta sama Kurkowa, która dzisiaj gada, że nie wie o żadnej sprzedaży i drze się do gruntu, z tych pieniędzy, które ojciec brał wówczas za osadę, pięćdziesiąt rubli zaraz dostała, a resztę wzięła po śmierci ojcowej...

Ignacy mógłby jeszcze gadać, że nic nie wie, bo go w domu nie było i niedawno dopiero powrócił, choć dawno wrócić był winien, ale ona, ona!... i tó w żywy kamień się klnie, że nic nie słyszała!

A jakimżeby prawem Szóstak tyle czasu na gruncie siedział? Zkądżeby stary Zapała z osady mu ustąpił? Cóż to, Szóstak mu syn, brat, albo swat jaki? Cóż to, nie miał własnych dzieci, czy co? Gadają teraz, że nic nie wiedzą o sprzedaży, że Szóstak pewnie osadę dzierżawił, a najpewniej ocyganił starego i grunt zabrał: nibyto chłop tak łatwo ziemię z rąk popuści i pierwszemu da wydrzeć swoją krwawicę!

A czegoż za życia ojca Kurkowa siedziała cicho? Czego i Ignacy się wtenczas nie zgłaszał? Nie było go... Co z tego, że go nie było? Toć pisywali do niego — i niechby mu byli słówko napisali, że Szóstak grunt staremu

wydarł, to byłby się na urlop uprosił, albo cisnął tę fabrykę, w której po wysłużeniu został, byłby ptakiem do domu przyleciał broń dobytku.

Dziecko chyba zrozumie, że teraz Kurkowa z Ignacym chcą jakieś cygaństwo zrobić, a sąd miałby nie rozumieć? Niech się odgrają, że grunt odbiorą, niech się puszą, kiedy taka ich wola, ale grunt przy nim po sprawiedliwości zostanie... Ale czego? czego się odgrają?...

Choć on wie, że mu nic nie zrobią, zawsze te odgróзки kamieniem na duszę mu spadły. Ledwie wczoraj je w karczmie usłyszał, już całą noc spać nie może, tłucze się po posłaniu, jakby mu kto szyszkami siennik wypchał, i raz za razem wzdycha.

— A czegoż, Antek, tak się tłuczysz?—spytała żona—pewnieś znowu trochę wypił...

Szóstak żonie zrazu nie odpowiada: co tam babie o takich interesach mówić! Wtém go taka żalność chwyciła, jak sobie pomyślał, że go może niedługo z téj chałupy wypędzą, że nie wie, co z sobą robić, znów się przewraca i wzdycha, wreszcie zawoła:

— Bo żebyś ty, Kaśka, wiedziała, co w karczmie pedali...

I wszystko żonie opowiada, i o tém, jak się Ignac z Kurkową odgraża, i jak on sobie w głowie kalkuluje, że mu nic nie zrobią.

Żona słucha, słucha, aż w płacz uderzy.

— Co my chudziaki z tymi hyclami teraz pocniemy?!... Tyla się człek napracował, naharował, od gęby odejmował, żeby grunt kupić, i teraz mu wydzierają.

— Ta nic nam nie zrobią.

— Nie zrobią ci ta, nie zrobią! Jeśli się oni na to wagują, to pewnie dobrze wiedzą...

— E, może tylko Ignac tak gadał, co mu ślina przyniosła — mówi Szóstak, choć sam niebardzo temu wierzy.

I słusznie, że nie wierzy, bo Ignacy Zapala nie gadał tylko dla śliny. Dobrze on wprzód rzecz całą spenetrował i rozważył, nim, wzięwszy się pod boki, splunął przez zęby i rzucił Szóstakowi pytanie:

— A ty, Szóstak, kiedy grunt mi oddasz?

— Czyś ty, Ignac, oszalał?—spyta Szóstak, patrząc na niego ze zdziwieniem.— Dyc ja grunt kupilem.

— Kiej kupił, to ty akt pokaż!

— Żebyś mi go wydarł!... Aha!... Ale spytaj Szymona Przondy, on był przy pieniądzech i za świadka się podpisał. Spytaj Niecunia, spytaj Kurkowój...

— Ona mówi, co nie słycha... Prawda, Franka?...

— Ja ta o żadnej sprzedaży nie słycham — odpowie Kurkowa, siedząca opodal.

Szóstak ręce załamał.

— Jezus Marya! Słyszane to rzeczy!...

— A ty grunt oddasz! — powtarza mu Zapala i spluwa znowu na środek izby przez zęby.

Tyle było pierwszej rozmowy i wystarczyło, żeby wstrząsnąć do głębi Szóstakową duszą.

Na drugi dzień wieczorem Szóstak jeszcze bardziej markotny do domu powrócił. Ktoś mu mówił, że akt prywatny tyle co nic, i że go napewno Ignacy z Kurkową wyrzuca, bo stary Zapala stoi w tabeli likwidacyjnej.

Ze zgryzoty nie tknął wieczery i nie położył się na łóżku, lecz poszedł spać do stajni.

Ledwie świtać zaczęło, wyszedł na podwórze. Przed chałupą stała już żona, która także tej nocy zasnąć nie mogła.

— I cóż?

— A myślę sobie, co swoim rozumem tu nie poradzę, jeno trza iść do miasta, do jakiego mądrego człowieka, i jego się zaradzić...

— I ja tak myślę. Noszę-ci ja masło do pani Darowskiej, której syn adwokatem, to

we wtorek pójdziemy oboje i zaradzimy się, czy to prawda.

Do wtorku jeszcze dni kilka. Ciężko czekać; Szóstakowi jednak z chwilą, gdy postanowił iść się zaradzić, lżej się na duszy zrobiło i ręce nie opadały przy robocie.

W tygodniu spotkał się raz z Kurkiem i zagadnął go, czego to żona się wypiera, że pieniędzy nie brała, jak on za grunt płacił? Cemu gada, że nie wie o sprzedaży? i czego wreszcie pozwala, żeby brat żony teraz chciał to odbierać, co rodzony jego ojciec sprzedał dobrowolnie?

Ale Kurek tylko się zwinął, powiedział, że on się do żoninego gadania nie miesza, bo i tak baba bez ustanku miele, Ignacy zaś ma swój rozum i robi to, co mu się zdaje.

— No, zobaczymy, czyja będzie prawda! — odparł Szóstak i pełen otuchy poszedł swoją drogą.

Ale jakież było jego przerażenie, kiedy nazajutrz chciał wziąć na kredyt rzemienia w sklepiku u Szmula Wypchanki, i ten mu, dając towar, powiedział:

— Wydzycze, Szóstaku, ja jezdem dobry człowiek; ja wam ufam, choć wam grunt Zapala odbierze...

O mało nie zapomniał rzemienia, tak biegł do domu.

— Słuchaj, Kaśka, trza duchem iść wedle tój zarady...

— Znowu pyskował?

— Żeby to on: Żyd mówił!

— Żyd! — zawoła Szóstakowa, załamując ręce — kiedy Żyd mówi, to pewnie rady już niema.

We wtorek do dnia wyruszyli w drogę. Nigdy tak markotni nie wchodzili jeszcze do miasta; aż spostrzegł to Gałda, którego spotkali na rogatce, koło szynku Rachmila.

— Cożeście, Antoni, tak się zafrasowali?

— Wedle tego mojego gruntu.

— Nie kłopotalibyście sobie głowy... Toć stary Wawrzek chyba z grobuby powstał, jakby ten psubrat grunt wam odebrał!

— Szmul gadał to samo...

— Kto ta zważa na żydowskie gadanie! Ot, chodźcie lepiej do Rachmila, napijemy się po kieliszku i wasza się napije. Na frasunek dobry trunek.

Weszli do szynku.

We drzwiach stał chłop w szarą sukmanę ubrany, z dużym nosem, twarzą wygoloną, w kapeluszu naciśniętym na czoło i gryzł obwarzanek.

Kiedy go Szóstakowie mijali, chłop spojrzał na nich z pode łba, poprawił worka, który przez ramię miał przerzucony, i za nimi się obejrzał.

Gałda kazał dać po kieliszku, Szóstak po drugim; stali wciąż na środku i dalej mówili o Zapale i gruncie, nie zważając na chłopą, który od drzwi wchodowych miał ciągle ich na oku i pilnie im się przysłuchiwał.

Kiedy wyszli, chłop w szarą sukmanę o kilkadziesiąt kroków jął iść za nimi.

Szóstakowa doprowadziła męża do pani Darowskiej. Skłoniła jej się do kolan i najpierw nawpół z płaczem opowiedziała „swojej pani, jak na świętej spowiedzi,” jak grunt od starego Zapały kupili i jak teraz młodszy chce go odbierać, — a potem prosiła najpokorniej, aby się dowiedziała od syna, czy to naprawdę młody Zapała będzie mocen z gruntu ich wypędzić i czy to pewno prywatne akta nic nie znaczą.

Pani Darowska z wielkiem zajęciem wysłuchiwała wszystkiego. Nie mogło jej się w głowie pomieścić, aby rzecz raz sprzedana, i to sprzedana jedenaście lat temu, mogła być odebrana; więc jął uspokajać Szóstaków, obiecując, że jak tylko syn na obiad przyjdzie, zaraz mu wszystko powtórzy i o wszystko wypyta.

I dotrzymała obietnicy.

— Matuchno droga — odparł jej młody Darowski, gdy całej relacji wysłuchał, — jest to jeden z tych wypadków, kiedy w imię

literę prawa, dla zachowania porządku publicznego, bądź co bądź, wyrządzają się nieraz krzywdy; ale, niestety! jeżeli Szóstak kupił grunt od starego Zapały za aktem prywatnym, to źle kupił, i dziś młody Zapała grunt mu odebrać może. Wobec wyraźnego przepisu prawa, że nieruchomości mogą być tylko za aktami regentalnemi pozbywane, i wobec drugiego przepisu, że odmowa wykonania przysięgi nie może być tłumaczoną na niekorzyść odmawiającego, akt prywatny nic nie znaczy, jeżeli sprzedający lub jego sukcesor nie chce dotrzymać umowy.

— Więc tym ludziom mogą grunt odebrać?

— Mogą.

— Jaktol i dla prostej formalności mają tracić wszystko!

— Twarde to prawo, ale prawo. Obowiązywało ono, gdy Szóstak grunt kupował, a niewiadomością prawa nikt tłumaczyć się nie może, bobyśmy otworzyli wrota wszelkim nadużyciom. Przypadek, mateczko, ten przepis ma rację bytu: musi być jawność tam, gdzie idzie o tak ważne rzeczy, jak sprzedaż ziemi; musi akt sprzedaży mieć wiarę publiczną, a jawności ani wiary takiej nie może zapewnić i mieć akt prywatny, spisany gdzieś może w szynkowni przez pijanego pisarza!... Zresztą ci Szóstakowie nie stracą wszystkiego:

mają prawo żądać zwrotu pobranego szacunku i wynagrodzenia za zrobione nakłady, jako posiadacze w dobrej wierze.

Pani Darowska zamyśliła się nad słowami syna.

— I niema wypadku, kiedy akt taki może mieć znaczenie?

— Jest.

— Kiedy? kiedy, mój drogi?

— Gdy sprzedający chce dotrzymać warunków, lub gdy zajdzie przedawnienie.

— A ileż lat trzeba dla przedawnienia?

— Lat trzydziestu.

— Trzydziestu!... Biedni ludzie, biedni... Mój Kaziu drogi, może ty im to sam powiesz.

— Ależ z największą ochotą; zresztą to mój obowiązek.

I wyszedł do kuchni, gdzie czekali Szóstakowie.

Z całą cierpliwością wysłuchał ich opowieści, a potem jasno i zrozumiale ją im tłumaczył, dlaczego akt ich kupna nie ma znaczenia.

Szóstakowie, wzdychając i lamentując, słów jego słuchali; nie mogło im się jednak w głowie pomieścić, tak samo jak p. Darowski, że grunt, który ojciec sprzedał, syn odebrać może.

— Kiej, proszę wielmożnego pana, stary Wawrzek wzion ode mnie pieniądze.

— Mój Szóstaku, nie chcecie, czy nie możecie zrozumieć, że jest prawo, iż nie wolno gruntu sprzedawać prywatnie, że taka sprzedaż jest nieważną i że akt musi być spisany u regenta.

— A toć, proszę łaski wielmożnego pana, niech Kurkowa przysięgnie, czy nie brała pieniędzy; niech Ignac przysięga, czy nie wie, że ociec grunt przedali...

— Jak nie będzie chciał przysięgać, nie możecie go zmusić do tego.

— To ja przysięgnę!

— Was do przysięgi nie dopuszczają...

— Na fuzyę przysięgnę! Niechby mnie pierwszy piorun zabił, jeżeli będę przysięgał fałszywie, niech do domu z sądu nie wrócę, niech!...

— Moi drodzy, przysięga może być dopuszczona tylko za zgodą stron obudwóch; jeśli więc młody Zapala nie przystanie, sąd nie może nakazać przysięgi ani wam, ani jemu. Wam aktu regentalnego potrzeba.

— Co z tego, proszę wielmożnego pana, że gruntu nie kupiłem w regencie, alem go przecie nie ukradł, jeno kupił przy świadkach, gospodarzach i przy sołtysie. Niech oni przysięgają!

— Świadców sąd dopuścić nie może, bo prawo w takich razach nie dopuszcza badania świadków.

Szóstak za głowę się złapał.

— A to co ja, chudzina, pocznę!...

Darowski zaczął mu tłumaczyć, że jeżeli Zapala go zapozwie go do sądu, powinien zgłosić się do adwokata; niech jednak baczny, aby się nie dostał do jakiego pokątnego doradcy i wydrwigrosza, bo chociaż przy gruncie utrzymać się nie może, w każdym razie trzeba uratować pieniądze, które za grunt zapłacił, i zapewnić sobie zwrot porobionych nakładów.

Szóstak słuchał, głową kręcił; Szóstakowa wzdychała; wreszcie skłonili się i wyszli oboje.

Darowski wrócił do matki.

— Wie, matuchna, co? Jestem przekonany, że ci ludzie nie wierzą mi.

— Zkąd znów!

— Najpierw dlatego, że mówiąc prawdę, mówię im to, czego oni w duszy sobie nie życzą; a dalej dlatego, że... chodzę w surducie.

Pani Darowska od robótki podniosła oczy na syna.

— Mój Kaziu, co też ci się po głowie roi!...

Ale Darowski się nie mylił. Ledwie Szóstakowie zeszli ze schodów, mąż obejrzał się

wkoło, czy niema kogo w sieni, i rzekł półgłosem do żony:

— Kaśka!

— Co?

— Mnie się widzi, że ten Darowski cygan: pewnie Zapała był u niego. Że je takie prawo, co prywatnym aktem gruntu kupować nie wolno, to może i prawda, bo Bąk to samo gadał; ale żeby sąd nie zawołał świadków, to pewnie cygaństwol

— Pewnie.

— Trzaby się kogo jeszcze poradzić.

— Trzaby...

Szóstakowa zbywała męża półsłówkami, rozważając sama wszystko po kolei, co mówił Darowski. Chwilami zdawało jej się, że mówił tak, jak mu sumienie mówić kazało; chwilami znowu, że może istotnie jest inaczej, niż im Darowski przekładał. Jaktol mąż chce na fuzyę przysięgać, i jemu nie będzie w sądzie wiary, że grunt kupił i co do grosza się wypłacił! I dziś, kiedy grunt cały poprawili, ktoś ma prawo z gruntu ich wygnać! A gdzież się oni podzieją? do kogo pójdą z dziećmi, jak ich wyżeną? gdzie się obróca?...

I ani wiedziała, jak łyż jej po twarzy płynąć zaczęły.

— No, nie płacz, Kaśka, nie płacz!

Wyszli na ulicę: Szóstak chmurny, Szóstakowa łyż ocierająca, — kiedy zbliżył się do nich ten sam chłop w szarzej sukmanie, który stał we drzwiach szynku Rachmila i gryzł obwarzanek, gdy wchodzili z Gałdą na wódkę, i który następnie wyszedł za nimi. Worek, jak przedtém pusty, miał przez ramię przerzucony, kapelusz nasunięty głęboko na czoło.

— Cóż, od adwokata? — zapytał,

— A od adwokata — odparł Szóstak.

— Pewnie wam sprawę przegrał, kiedy wasza płacze.

— Ej, nie przegrał, nie przegrał! Byliśmy się jeno zaradzić.

— Tacy to oni wszyscy, a ten Darowski to psubrat nagorszy... Cygan! Co on narodu nagubił, to powiedzieć trudno. Drugi toby oczu między ludźmi nie pokazał!... A jak gada, to jakby miodem smarował, a w duszy to ma... *arsenik!*

Szóstakowa ze zgrozy ręce załamała. Nieznajomy ciągnął dalej:

— Ale są jeszcze dobrzy ludzie, są! Wziemi się oni do tego Darowskiego, i do Bielińskiego, i do innych. Wygonią tych psubratów, wygonią, żeby ludzi nie gubili. Przysięgłe adwokaty... bo na wszystko przysięgać muszą, żeby im sąd choć co wierzył, i codzień juchy

dusze gubiał! I ja byłbym bez tych hyclów zmarniał, z kośćcami zginął w kryminale, gdyby mnie jeden dobry człowiek nie poratował. Niech mu Pan Bóg da zdrowie i Przenajświętsza Panienka szczęścia użyczy!...

Szóstakowie patrzyli w mówiącego, jak w obraz. O, ten człowiek prawdę mówi z pewnością.

— Moiście wy, a kto wy jesteście? — spytała Szóstakowa, biorąc go za ramię.

— Kto jestem, to jestem; jestem dobry człowiek i tyła!

— Bo ja to jestem Antoni Szóstak z Zagórza.

— A ja się nazywam Kacper Górecki.

— Mój Kacprze, to kiedy was ten dobry człowiek wyratował, możeby i nas w naszej bidzie wspomógł. Doprowadźcie nas, to się wam wywdzięczymy...

Oczy Góreckiemu błysnęły pod kapeluszem; w kątach ust zjawił się uśmiech przelotny.

— Kiej, widzicie, ja jeno za sprawunkiem do miasta przyszedem—wymawiał się, pokazując na worek.

— Przecież nie zbałamucicie długo. Sam Pan Bóg was nam zesłał, to i nie opuszczajcie nas w téj bidzie.

— A no, moi drodzy, niechta!.. To chodźcie.

Ruszyli we troje. Szóstak przez drogę opowiadał Góreckiemu, o co się radził Darowskiego, i co mu ten powiedział.

Górecki za głowę się łapał, łamał ręce, że aż w stawach trzeszczały, słuchając opowieści. Kłął Darowskiego i adwokatów, lub bił się w piersi naprzemian, zapewniając, że ten dobry człowiek, do którego on ich prowadzi, napewno im sprawę dobrze nastroi i z biedy wyratuje.

— To je adwokat? — spytał Szóstak.

— Adwokat, ale nie żaden ta przysięgły. Jemu sąd i bez przysięgi wierzy.

Szóstakom coraz różniej robiło się na duszy. Ona o łzach dawno zapomniała, on nabierał coraz większej fantazyi. Niechby mu się teraz Zapala nawinał, toby mu się roześmiał w oczy i powiedział: „Tyle się ciebie boję, co nic!”

Przeszli przez całe miasto i weszli na przedmieście.

— Okrutnie daleko siedzi—zauważył Szóstak mimochodem.

— Żeby żył krzywdą ludzką, toby na najważniejszej ulicy siedział, a że je sprawiedliwy, to tu się tulać musi—odparł Górecki poważnie.

Szóstakowa westchnęła:

— Tak to zawdy...

Nakoniec stanęli przed małym domkiem drewnianym. Szóstakowi trochę dziwnem było, że w takiej dziurze może adwokat mieszkać; ale prawda, Górecki ich zapewniał, że to dlatego, iż jest „sprawiedliwym,” — więc wszedł pełen ufności do wnętrza.

W sieni spotkali dwóch Żydów, którzy jakieś znaki z Góreckim zamienili.

— Czy je pan adwokat? — spytał Górecki.

— Co nie ma być? jest — odparł jeden i coś po żydowsku do towarzysza zaszwargotał.

— Kuźdy naród tutaj idzie — przemówił Górecki i niskie drzwi otworzył.

Znaleźli się w niewielkim, bielonym pokoiku. Na środku stał stół duży, cały papierami zarzucony; w jednym rogu leżały na nim dwie księgi wielkości mszałów; pod ścianą szafka z papierami i parę stołków. Przy stole siedział mężczyzna olbrzymiego wzrostu, z dużą czarną brodą na piersi spadającą i gęstymi włosami.

Zwolna podniósł ponure oczy na wchodzących i, jakby ich nie widział, pisał dalej.

Górecki, widocznie dobrze z tém obeznany, jął dawać znaki Szóstakom, kłaniającym się do ziemi „panu adwokatowi,” żeby cicho

stanęli pod ścianą, a sam nieco na przód się wysunął.

— Czego to? — zabrzmiał zaraz głos gruby z odcieniem pewnej niecierpliwości.

Szóstakowie od ściany się porwali: on do ziemi się znów skłonił, ona do łokcia adwokackiego przypadła, żeby go ucałować. *

Zaczęli wyluszczać cel przybycia i treść sprawy; lecz Górecki im przerwał i sam jął opowiadać, jak Szóstak jedenaście lat temu od Zapały przy świadkach grunt z pobudynkiem i serwitutem kupił, i jak mu Zapała pokwitował przy sołtysie, i jak teraz syn Zapały, który świeżo do domu wrócił, chce Szóstakowi ziemię odebrać, mówiąc, że taka sprzedaż nieważna.

Pan adwokat słuchał i głową kręcił. Ile razy Górecki mówił o zamiarach młodego Zapały i obawie Szóstaków, że może im na prawdę grunt odbierze, uśmiechał się pobłażająco.

— Proszę wielmożnego pana adwokata — ciągnął Górecki, — to oni z tego strachu o grunt przyszli dziś zaradzić się jakiejś umiejscowionej osoby i byli u Darowskiego.

— U tego Cygana?

— Nie mówiłem wam zara? — zawołał Górecki. — Czy je choć jeden człowiek w mieście, coby o nim inaczej powiedział? Cygan i Cygan!

jak te wszystkie psubraty, co mnie chciały zgubić, jeno wielmożny pan mnie uratował. O, niech Pan Bóg i Najświętsza Panienska...

I w rozczuleniu schwycił rękę olbrzyma i zaczął ją okrywać gorącymi pocałunkami.

— No, daj spokój, Kacprze — mówił pan adwokat głosem łagodnym. — Cóż wam ten przysięgły powiedział?

— Że takie kupno nie ma mocy, i że Zapala, jak będzie chciał, grunt odbierze.

Olbrzym ryknął śmiechem, aż trząś się i poczerwieniał cały.

— Co, ten błazen zwaryował! Tu mi, tu wprzód włosy wyrosną — wołał, pokazując palcem środek swjej wielkiej dłoni, — nim was Zapala wyrzuci. Jakto! syn miałby prawo to burzyć, co ojciec nieboszczyk, spoczywający w grobie, zrobił?

Górecki westchnął jak miech kowalski.

— A kodeks? A prawo hipoteczne? A ustawa regentalna i... dodatki?... Cóż to, Darowski będzie to znosił, co w prawie napisano?...

Schwycił jedną z dwóch wielkich ksiąg i jął szybko przewracać karty.

— O, jak byk stoi: artykuł 3241: Syn nie ma prawa występować przeciwko woli ojca. Niech sobie łeb, jak chce, łamie, tego siekierą nie wyrąbać... siekierą!... Nic wam Zapala nie robi, i niech stu takich psów, jak Da-

rowski, szczeka, wy na gruncie zostaniecie. Idźcie do domu i bądźcie spokojni, a jakby co było, przyjdź do mnie... Ja ich nauczę!!

I wznosił zaciśniętą pięść do góry.

Szóstakowie do nóg się rzucili nowemu opiekunowi. Jęj słów brakowało: całowała raz po raz rękę pana adwokata, jeszcze serdeczniej niż Górecki, belkocząc bez związku. On za kolana go ujął. Górecki głaskał się po twarzą, śmiał i głową kiwał.

— A co, nie mówiłem! nie mówiłem! — powtarzał bez końca.

— No, idźcie już, idźcie — rzekł olbrzym i wziął się znów do pisanja.

Szóstakowa na męża skinęła, kilka słów zamienili z sobą pode drzwiami i jąła rozpiąć kaftan. Z za koszuli wyciągnęła woreczek, z którego wyjęła trzyrublowy papiererek i nieśmiało zbliżyła się z nim do stołu.

— A to co?

— Przecież wielmożnemu panu za poradę się należy...

— Dobre słowo, rozumiecie? dobre słowo, nic więcej.

Górecki spojrział ze zdziwieniem na mówiącego. Szóstakowie także w pierwszej chwili oniemieli z radości i ze zdziwienia: nie wiedzieli, jak mają nawet dziękować swemu dobroczyńcy. I powtórzyła się poprze-

dnia scena obejmowania za kolana, całowania rąk i podziękowań.

Wreszcie zabrali się i wyszli, błogosławiąc jeszcze od proga. Górecki jednak od drzwi się wrócił, zamknąwszy je wprzód.

W jednej chwili z tego pokornego Kacpra, który ze łzami wdzięczności całował przy Szóstakach rękę olbrzyma, przeistoczył się w równego tamtemu współnika.

— Proszę pana, czemu pan nie wziął od nich? — pytał z niezadowoleniem. — To bogate widać chłopcy: ze trzydzieści rubli miała przy sobie...

Ale i olbrzym nie tak jak przedtém wyglądał. Ten sam wzrok, który przed chwilą rzucał pioruny, gdy olbrzym wygrażał niewidzialnemu przeciwnikowi, teraz patrzył z pobbazaniem na mówiącego.

— Jakiś ty głupi, Górecki, to aż strach! Zapala ich wyrzuci z gruntu, inaczej być nie może. Jak ich zacnie procesować, oni muszą przyjść do mnie, a wtedy dopiero ich pociągniemy! Dobrze mi oni zapłacą, nie bój się, i ty doskonale zarobisz... No, idź za nimi, a pilnuj, żeby ich ten kłapouch od Polickiego nie złapał.

Górecki z uwielbieniem popatrywał na olbrzyma, w ramię go pocałował i już chciał wyjść, kiedy zapytał:

— A proszę pana, czy to je w prawie o tym synu?

— Głupiś, mój drogi. Co to ciebie obchodzi może? Poszedłbyś lepiej i pilnował.

Więc Górecki wybiegł i, dopędzwszy Szóstaków, zawołał:

— Jaki ten pan Kałczyński ma rozum, to!...

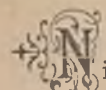
— Oj, prawda, prawda! — potwierdzili oboje.

Gräfenberg, Październik 1886 r.

14. Mamec 1912 rok. J.L.



ŚWIADEK.

 Niepodobna, żebyście go nie znali, —
wszak byliście choć raz w życiu w kancelaryi
rejenta?... Siedzi zgarbiony pod piecem, z no-
gami skulonemi pod ławką, z rękami bezwła-
dnie opuszczonemi na kolana, lub zaciśnięty
na krześle gdzieś w kąt, między wysoki stos
ksiąg hipotecznych i ścianę, nawpół czuwa,
nawpół drzemie. Lat ma nie wiedzieć ile:
może czterdzieści kilka, może pięćdziesiąt lub
więcej. Pomięta twarz jego nosi to szcze-
gólne piętno czegoś, co w słowa ująć się nie
da, co nie jest wyłącznie ani smutkiem, ani
znużeniem lub beczuciem, lecz mieszaniną tego
wszystkiego. Takie piętna na twarzach ludz-
kich kładzie... życiowe rozbicie. Patrząc na
niego, trudno określić, czem jest on na świe-
cie; jest to... świadek. Prawo wymaga, aby
przy spisaniu każdej rejentalnej umowy lub
aktu było dwóch świadków, „obywateli kra-

ju, rejentowi osobiście znanych i do czynności prawnych zdolnych" — więc są. Jednym jest dawny woźny trybunału, drugim Bobecki.

Długo by opowiadać, z kąd się wziął tutaj, co robił przedtem na świecie i jakie w życiu przechodził koleje. On sam zresztą dobrze nie pamięta. Kilkanaście lat temu usiadł po raz pierwszy na ławce pod piecem i odtąd codziennie tu siada. Zimą czy latem, w mróz czy w gorąco, przychodzi punkt o dziewiątej do kancelaryi, wita pana starszego dependenta i panów pomocników, i siada na swoim miejscu. Czasem bierze *Kurjera* do przeczytania, czyta jednak tylko wiadomości kościelne i ogłoszenia. Reszta go nie obchodzi.

Pan Sylweryusz, starszy dependent, prowadzący kancelaryę, wie doskonale, iż Bobeckiego nic a nic polityka nie zajmuje, mimo to czasem, odrzuciwszy w tył lwia grzywę, którą podbija serca odrazu trzech swoich sąsiadek, zapytuje go z nienacką:

— Panie Bobecki, jak się pan zapatrujesz na sprawę bułgarską?

W kancelaryi robi się wówczas cicho, a Bobecki kręci się na swoim miejscu, wreszcie odpowiada:

— Proszę pana, ja, zdaje się, przy tym akcie nie byłem świadkiem...

I kancelarya wybucha śmiechem.

— Oj, panie Bobecki! panie Bobecki...

Zakłopotany czas jakiś po wszystkich spojąda i znowu wraca do poprzedniego stanu.

Ale dziś widocznie postanowiono bawić się jego kosztem, bo ledwie oparł się plecami o ścianę, gdy między panem Sylweryuszem a panem Rafałem, najstarszym z pomocników, wynika zacięty spór o treść aktu, zawartego przed kilkoma dniami. Pan Sylweryusz dowodzi, że w akcie niedość jasno i niezupełnie dokładnie wyrażono myśl umawiających się stron; pan Rafał zaś utrzymuje, że właśnie w akcie to pomieszczono, czego strony chciały; niech zresztą rozstrzygnie spór świadek umowy, pan Bobecki.

— Panie Bobecki—woła pan Sylweryusz,— jak to się zobowiązał Mordka Gelbfisz wypłacać baronowi von Ullersdorf należność za las, czy to...

— Proszę pana, ja żadnego Gelbfisza, ani barona, nie znam — odpowiada Bobecki pośpiesznie.

— Co też pan mówisz, panie Bobecki? — woła teraz pan Rafał — przecież pan byłeś przy ich umowie?

— Ja, proszę panów, przy żadnej umowie nie byłem, ja ich nie znam...

Pan Sylweryusz chwyta księgę hipoteczną dóbr Ogary, rozkłada ją na stole i woła z oburzeniem:

— Jakto, pan nie byłeś? patrz pan: akt kupna i sprzedaży lasu między Fryderykiem Ulrychem dwóch imion baronem von Ullersdorf, synem Wilhelma, z jednej strony, a Mordką Gelbfiszem, synem Icka, z drugiej strony, zdziałany dnia... mniejsza o to! przed rejentem Chwalborskim... widzisz pan... a tu co na końcu?

— Mój podpis... — szepce zgnębiony Bobecki.

— I pan w żywe oczy nam mówisz, że nie znasz ani barona, ani Gelbfisza?... Panie Bobecki, na miłość boską, pamiętaj pan treść aktów; za piętnaście lat mogą pana zawezwać do sądu i pod przysięgą każą zeznawać, jak się strony umawiały, a pan...

— A ja i dziś powiem, że nic nie wiem! — i znowu siada na swoim miejscu.

Bije dziesiąta, niezadługo drzwi się otwierają, wchodzi pan rejent Chwalborski. Kiwa głową na prawo i lewo, panu Sylweryuszowi podaje rękę, panu Rafałowi końce palców. Bobecki zdaleka się kłania i pośpiesznie składa *Kuryera*, który przeglądał, aby go odnieść na biurko rejenta.

Teraz jest już wolnym od żartów „kancelaryi,” za to pan rejent czasem z niego żartuje.

— Słyszałem, panie Bobecki, że się pan żenisz...

Bobecki wzrusza ramionami, na twarzy zjawia mu się coś nakształt uśmiechu.

— Panie rejencie...

— No, nie wypieraj się pan, bałamut z pana, bałamut... niejedna tam płacze...

— Panie rejencie... — próbuje coś powiedzieć i odchodzi, wzdychając.

Robota idzie jak we młynie. Ciągłe ktoś przychodzi, wychodzi, pióra skrzypią, pytania mieszają się z odpowiedziami; niema czasu na żarty i koncepta. Bobecki siedzi nieruchomy na swoim miejscu i patrzy na koniec swego buta. Skończono pisać jakiś akt, strony przyszły do podpisania: „zaczynamy akt czytać” rozlega się w kancelaryi głos pana rejenta, wszyscy milkną. Bobecki wstaje, z powagą zbliża się do stołu i staje za innymi. Jeden z dependentów czyta, rejent tłumaczy stronom zawilsze miejsca, Bobecki wszystkiego słucha i kiwa głową nieustannie, choć nic a nic nie wie, o co rzecz idzie.

Nagle dependent zatrzymał się.

— Czy już? — pyta Bobecki półgłosem, i myśląc, że już akt czytać skończono, obraca

pióro w palcach, gotów położyć swój podpis pod aktem. Najczęściej nikt nie zwraca uwagi na jego pytanie, dependent dalej czyta, wreszcie kończy.

Strony akt podpisały, rejent podpisy przetłumaczył; przystępuje Bobecki do stołu, z powagą zasiada i dużemi, równemi literami wypisuje: Romuald Bobecki; poczem jeszcze raz na podpis spogląda, czy mu nie brak czego, i dodaje zakręt. Otrzepuje pióro i wraca na miejsce.

O drugiej idzie na obiad; nim jednak na obiad pójdzie, zbliża się do pana Sylweryusza i półgłosem prosi o „kartki.” Pan Sylweryusz czasem dwa razy prośbę każe sobie powtórzyć, wreszcie odsuwa szufladę i daje mu jedną lub kilka małych kartek z pieczęcią rejenta, stosownie do ilości podpisów. Co sobota Bobecki te kartki na gotówkę wymienia u rejenta; za każdą bierze złotówkę. Z tego żyje.

Mieszka na przedmieściu, u wdowy po woźnym sądowym, od której pokoik odnajmuje i u której jada. Mateuszowa nie może go się odchwalić: płaci regularnie i nigdy nie grymasi. Głosu jego prawie nie słyszy, a już dla dzieci—to ma anielską cierpliwość. Jest to jedyna jego słabość. Na widok dziecka na zmiętej jego twarzy zjawia się uśmiech, oczy się rozjaśniają i patrzą żywiej. Czasem

nawet Bobecki przystanie i spyta służącą, czyje to dziecko; nie pocałuje go jednak nigdy. Westchnie i pójdzie dalej.

Jednego tylko Józia Mateuszowej codzien pogłaska i czasem w głowę pocałuje,—a wieczorem, kiedy do domu z kancelaryi powróci, posadzi Józia na kolanach, rozłoży książkę na stole i zaczyna mu pokazywać:

— B, a—ba; b, e—be; b, i—bi... rozlega się w jego izdebce.

Chłopak czasem nie chce uważać, kręci się i wyrывa. Bobecki z całą łagodnością go strofuje:

— Widzisz, Józiu, trzeba, żebyś się uczył: czem więcej będziesz umiał, tem ci lepiej będzie na świecie. Żebyś ja się był uczył — dodaje jakby dla siebie, — to nie byłbym na starość... świadkiem.

I dalej pokazuje chłopcu litery, a jeśli Józio dobrze je składał, wówczas na zakończenie sadza go na nodze, jak na koniu, i zaczyna:

Pan jedzie, pan jedzie

Po obiedzie.

Za nim chłop

Hop! hop! hop! hop!

Za nim żyd

Dzid! dzid! dzid! dzid!

I wyrzuca coraz wyżej chłopaka. Józio zanosí się od śmiechu, aż szybki trzęsą się w okienku. Wówczas we drzwiach zjawia się Mateuszowa i z dobrotliwym uśmiechem mówi:

— Oj, panie Bobecki, panie Bobeckil... Co téż pan z chłopcem nie wyprawiał...

WARTALEK.

 szynku pełno, jak nabił. Nic dziwnego — wszak to dzień jarmarczny w miasteczku. Usłużny Chaimek na lewo i na prawo roznosi półkwaterki, naprzemian to cmoka ustami, lub skrobie się w rzadką brodę, pisząc coś kredą na szynkwasio; to znów klepie po ramieniu którego z gospodarzy i śmieje się, wyszczerzając dwa krzywe zęby. Rad gościom i jemu radzi.

— Ty, Chaim — mówi chłop nieco podpiły, — chociażś żyd, aleś dobry, kiedy na borg dajesz, i... żebym się, bestyjo, nie bojał, co bym oparszywiał, tobym cię pocałował..

— Słuchajcie, Wojciechu, już ja was kwituję z tego całowania; lepi cobyście oddali mi za te wódkie.

— O! jaki mi do pieniędzy skory! a czekać, nie łaska?... Jak odbiorę moje od Szymona, to ci wszystko zapłacę.

— Ny, a kiedy to będzie?

— Juści co nie zaraz...

— Aj, aj, aj!... przeszłego wtorku napiliście na całe dwa złote i gadaliście, co od Szymona zaraz odbierzecie; dziś znowu za dwa złote groszy pięć... Aj, aj, aj!... a mnie pieniędzy potrzeba!...

— Toż ci nie przepadnie; kiedy powiadam, że oddam, to oddam.

— A daliście sprawę do sądu?

— Com miał dać!

— Ny, i co wy gadacie, co zaraz odbierzecie? Szymon bez wyroku nie odda, ja to wim. Jak wy jemu nie zaskarzycie, to i wasze przepadnie, i ja mojego nie odbiorę.

Chłop podrapał się w głowę, Chaim ciągnął dalej:

— Słuchajcie, Wojciechu, ja wam powim, co jest tu bardzo porządne osoba, co się zna na prawie; un... ja wam mówię, mądrzejszy od najmądrzejszego adwokata; już wy się jego wypytajcie; un wam powie, co trzeba robić, i tak wam sprawę wyręchtuje, co będzie *ganc git...*

Wojciech milczał. Chaim wziął to za znak powątpiewania, przyłożył więc rękę do piersi i wyrzekł przekonująco:

— Pod *hajrem*, Wojciechu; jak wam dobrze życzę... waszym dzieciom też...

Wojciech poprawił czapki.

— A kajże on? — spytał.

— No i co wy się pytacie? — mówił Chaim, a twarz jego przybrała wyraz miłego zdziwienia. — Niby to wy nie znacie pana Wartalek; un tam siedził — i wskazał brudnym palcem w kąt izby, gdzie siedział za stołem męczynna, wyglądający z waszecia.

Był to Wartalek.

Na głowie miał kaszkiet z nawpół obdarty daszkiem, mocno zasunięty na czoło, jakby dla ukrycia oczu, które zazwyczaj z podoba patrzyły; nos ostry, czerwonawy, sterczał z pomiędzy rogów postawionego kołnierza, który krył resztę twarzy. Wypłowiłe palto, miejscami zielonawe, miejscami fioletowe, zapięte na parę guzików, okrywało jego osobę, znającą się na prawie. Z pod stołu wyglądały dwa koszlawe buty, ponad którymi zwisała się w strzępach inna część ubrania bardzo wątpliwego koloru.

Wartalek, zwany także panem Wartalskim, był niegdyś lokajem, później woźnym sądowym — i byłby bezwątpienia do dziś tę go-

дноść piastował, gdyby nie wypędzono go z sądu pewnego pięknego poranku za jakieś nadużycia. Straciwszy „posadę,” Wartalek poszedł prosto do szynku Chaimka—i tu, ciągnąc zwolna piwo, powziął wzniosłą myśl zostania adwokatem ludu, czyli, mówiąc po prostu—szynkownianym doradcą. Miał wszelkie kwalifikacje po temu: umiał pisać po rusku; znał chłopów, bo sam z nich pochodził; wiedział, że łatwo ich „odurzyć; i posiadał spryt wrodzony, który zresztą o mało go już raz nie zaprowadził na ławę oskarżonych. Przy piątym kuflu plan cały był już gotowy—potrzebował tylko współnika, któryby mu pomagał, i kancelaryi, dostępnej dla ludu, mającego być odtąd jego dojną krową.

Za szynkwasem stał Chaim, skubiąc brodę. Wartalek patrzył nań długo, w końcu skinął i jął mu coś tłumaczyć. Żyd pluł na izbę, niby z oburzeniem, niby nie chcąc się zgodzić; w końcu przystał na wszystko, postawił wódki, poczęstował gościa papierosem,—i odtąd Wartalek zajął na stałe stolik w kącie szynkowni.

Początkowo szło mu nieszczególnie, choć czapka woźnego dodawała mu powagi. Co zebrał we wtorek, zaraz musiał oddać Chaimowi, to jako dług za jadło i napitek, to znowu jako procent od zysków. We dwa mie-

siące spotkało go nieszczęście: zabroniono mu chodzić w czapce. Wartalek kupił kaszkiet i kłął na czém świat stoi, zły, że nie mógł udawać „urzędowej osoby;” bał się jednak policyi, która miała go na oku. Zarobki tymczasem zwiększały się, powoli rosła bowiem klientela,—zresztą pomysłowy Wartalek wynalazł sposób okpiwania współnika. Chaim domyślał się wprawdzie czegoś, ale nie był pewien; w każdym jednak razie na spółce zyskiwał — w najgorszym bowiem wypadku odbijał stracone korzyści na wódce, którą w jego szynku wypijano. Nic więc dziwnego, że chętnie protegował Wartalka i że sam poradził Wojciechowi, aby zasięgnął u niego rady.

Wojciech poskrobał się w głowę i niezbyt pewnym krokiem zbliżył się do stolika, przy którym siedział Wartalski. Napróżno Chaim dawał mu znaki z za szynkwasu, Wartalek opuścił głowę i drzemał.

— Proszę pana!—zaczął Wojciech i umilkł, patrząc, czy się „osoba znająca na prawie” nie przecknie. — Proszę pana! — zawołał głośniej. — Proszę pana! — huknął mu nad samém uchem i cofnął się, przerażony skutkiem swego głosu.

Wartalek porwał się z siedzenia i byłby z pewnością ugodził Wojciecha, gdyby nie

Chaimek, który znalazł się między nim a Wojciechem.

— Panie Wartalski — tłumaczył Chaim, — to jest Wojciech, bardzo porządny gospodarz z Zagród; un ma sprawę z jednym i chce się pana poradzić... Prawda, Wojciechu?

Wojciech zmieszany kiwnął głową, Wartalek zasiadł z powrotem na ławie.

— O co idzie? — zapytał.

Wojciech siadł naprzeciwko i już gotował się do odpowiedzi, kiedy Wartalek przerwał mu ostro:

— Cóż to! myślicie, że o suchym pysku będę gadał?... Każcie co postawić!...

— A no, to przynieście tam co, Chaimie... Chaim przyniósł flaszkę wódki i odszedł.

— Nalano półkwatki i zaczęła się rozmowa.

— To wy jesteście z Zagród?—mówił Wartalek, stawiając pusty półkwaterek na stole.— Tak?

— A no, niby tak... z Zagród.

Wartalek nalał znowu.

— No, pijcie! — zapraszał protekcyjnie — i gadajcie, o co wam idzie.

— Ja to przyszedłem wedle rady... Ja się nazywam Wojciech Kostrzewa i sąsiaduję z Szymonem Kanarkiem. Grunta także mamy podle siebie... Łońskiego roku kupiłem

krowę na świętojańskim jarmarku... dałem za bydlę trzydzieści rubli...

— Krowę kupiliście od Szymona?

— Nie, jeno od żyda. Oool... zabaczyłem, jak się bestya nazywał... jakosik potrafnie... ale moja będzie wiedziała.

— No i co?

— A no, grunta mamy, jak rzekłem, podle siebie... to moje bydlę wlaźło na jego rolę. Kanarek był niedaleko z wozem... wzion kłonicy... jak bydlę wycion, tak padło.

— Więc teraz chcecie, żeby sąd przysądził wam wartość krowy?

— A juści.

W milczeniu wychylono półkwatki.

Wartalek się zamyślił.

— To będzie dużo kosztować — rzekł w końcu.

Wojciech podrapał się w głowę.

— Możeby się i nie prawować?...

— Głupsi! — przerwał ostro Wartalek. — Powiadam wam, żeście głupi—tłumaczył dalej.—Na co ustanowione sądy: gminny sud, i mirowy, i zjezdy i okružny? Na co? Na to, żeby się ludzie prawowali. Rozumiecie? Jakby każdy swą krzywdę darował i nikt nie szedł ze sprawą do sądu, toby i bez sądów się obeszło; a kiedy je ustanowili, to widać są potrzebne!

— A no, niby tak—mówił Wojciech, któremu dobrze się w głowie kręciło.

— Jeżeli powiedziałem, że dużo będzie kosztować, to Szymona, a nie was; sąd wszystkie kosztą każe wam zwrócić, grosz wam jeden nie przepadnie... Nawet za tę wódkę, co tu pijemy, Szymon zapłaci. •

— Cha! cha! cha!... To możeby jeszcze?

— Co chcecie, żeby wam sąd przysądził? Gadajcie!

— Ta ze dwadzieścia pięć rubli.

— I jakie wy macie pojęcie o rzeczy?!... Dwadzieścia pięć rubli!... Niech go piorun spali!... Sto, sto dwadzieścia pięć rubli!

— Zkądże znowu! — zaprotestował Wojciech.

Wartałek był tak oburzony, że wypił znowu półkwaterek duszkiem; poczem jął mówić:

— Słuchajcie! Za krowę, gdybyście ją dziś kupili na targu, trzebaby zapłacić pięćdziesiąt rubli...

— Ta może czterdzieści.

— Powiadam, że pięćdziesiąt!

— To zawdy nie tyle, co pan mówi!...

— Czekaj końca!—mówił zniecierpliwiony Wartałek, pisząc kredą na stole: 50. — Dalej, krowa była cielna...

— Chyba nie...

— Ale mogła być cielną. Gdyby Szymon był jój nie zabił, zapłaconoby wam za cielę pięć rubli... To wam się także należy: w prawie tak stoi. Krowę trzymalibyście jeszcze z kilka lat, tak z dziesięć... zadługo?... z siedem? Kiwacie głową, że siedem... dobrze; siedem cieląt po pięć rubli... Wszak się co rok krowa cieli?

— Juści.

— Siedem cieląt po pięć rubli... trzydzieści pięć, razem osiemdziesiąt pięć. Dalej: mleko, masło, sery, jajka...

— Jakie jajka?

Wartałek spojrzął i machnął ręką.

— Prawda!... Mleko, masło, sery, śmietanka, śmietana... najmniej czterdzieści rubli, razem sto dwadzieścia pięć.

— O la Boga!

— Jeszcze nie koniec; kobieta wasza chorowała po zabiciu, wyście się także zmartwili, prawda?... Co? Za zmartwienie i ambaras dwadzieścia pięć rubli, razem sto pięćdziesiąt.

— Rany boskie! tyle pieniędzy!—krzyknął Wojciech i zaczął się śmiać na całe gardło, że aż Chaimek zjawił się u stolika.

— Ny, co to wam, Wojciechu?

— Niech go wciurności! A to ci prawniki! Jak jął kalikować, tak wykalikował aż sto

pięćdziesiąt rubli za jedną krowę!... Bodajby gol...

I dalej śmiał się jak wprzód.

Śmiech bywa zaraźliwy; — jeden z najbliższych stojących gospodarzy oparł się Wojciechowi ręką na ramieniu, drugą wziął się pod boki i ryknął mu nad samém uchem:

— Cha! cha! cha!... czego się śmiejecie, Wojciechu?

— Cha! cha! cha!... bo nie wytrzymam!

— Un się śmieje — tłumaczył Chaim, — co jemu pan Wartalski wyprawuje sto pięćdziesiąt rubli za krowę od Szymona.

— Oool... sto pięćdziesiąt rubli! Wojciechu, dajcie gęby... będziemy pili...

Ale Wojciech nie słyszał; zwiesił głowę na piersi i mruczał coś pod nosem. Nagle porwał się z siedzenia.

— Jak Boga kocham, to krzywda, krzywda mu będzie!... Słuchaj, cholerniku, ty mnie nie kuś, nie kuś, powiadam... — i zamierzył się pięścią na tryumfującego przed chwilą Wartalka.

Niedarmo jednak stał Chaim.

— Siadajcie, Wojciechu. Nie chcecie, dobrze. Pan Wartalski tak robi, co wam sąd trzy ruble zasądzi za krowę; a nie, to wy jeszcze zapłacicie Szymonowi za to, co un

wam zabił będlę, które i tak byłoby zdechło...

— Nie gadaj!...

— Ja wam powiadam, co tak będzie; sąd to robi, co chce pan Wartalski... Chcecie darować Szymonowi, dobrze!... Stodołę wywróci, dzieciów pokaleczy, i jemu nic nie będzie, bo wy, Wojciech Kostrzewa, nie chcecie, co by co było... Ny, dobrze, dobrze!...

Wojciech zdawał się głęboko namyślać.

— A to niech-ta już robi pan Wartalski, jak chcą... ale ja pieniędzy nie mam.

— No, to pożyczcie...

Wojciech ruszył ramionami.

— Choroba! — mruknął i cisnął czapkę o stół, że aż o mało flaszki nie zrzucił.

— Czego się złościacie? — mówił Chaim. — Ja wam dam, bylebym tylko swoje odebrał... Wy mi oddacie za tydzień, a na pewność zostawcie jedną szkapę. Ja ją będę żywił bez ten czas i nic za to nie policzę... Wy wiecie, Wojciechu, co ja wam zawsze dobrze życzę...

I położył dziesięć rubli na stole.

Wojciech za dużo wypił, żeby mógł zupełnie jasno zrozumieć położenie rzeczy; zmordowała go rozmowa — zgadzał się więc na wszystko.

Stało w końcu na tём, że Wartalek zabierze dziesięć rubli na koszt procesu, Chaim konia na pewno, a Wojciech zaczeka, póki podanie do sądu nie będzie gotowe, poczem obydwaj pójdą na pocztę i wyszlą skargę jako list rekomendowany pod adresem sądu.

W szynku zrobiło się już luźniej, Wartalek jął pisać, Wojciech usnął. I kiedy się obudził, skarga była już gotowa.

— Trzeba jeszcze — mówił Wartalek — trzech marek na „proszeńje” i na odpowiedź.

— To na poczcie.

— Kiedy bo wy się na niczém nie znacie. To „gierbowych” marek potrzeba, sztuka po siedemdziesiąt kopiejek.

— A zkadże ja wezmę?

— To już wasza rzecz; bez gierbowej marki wszystko nic nie znaczy.

Wojciech skrobał się w głowę, w końcu uprosił swego kuma o trzy ruble i oddał je Wartalkowi.

Marki dziwnym wypadkiem znalazły się w pugilaresie Wartalka i ustąpiły miejsca trzyrubłowce. Załączono je do skargi. Wojciech podpisał, poczem obydwaj wyszli z szynku.

— Ja jedną waszą szkapę już kazałem wyprządz! — wołał Chaim. — Nie zapominajcie: dwa złote i groszy pięć...

— Dobrze, dobrze! — mruczał Wojciech. Poszli. W szynku było pusto.

* * *

Chaim przy świetle łożówki obliczał dzienny zarobek, kiedy do izby wsunął się Wartalek.

— A to głupia bestya! — mówił, zsuwając kaszkiet na tył głowy. — No, dawaj wódkil!

Chaim nalał kieliszek i wrócił do poprzedniego zajęcia.

— Zawsze szkoda tych marków — rzekł po chwili. — Szkoda!...

Wartalek parsknął śmiechem.

— Ny, co się pan śmieje? — zapytał, patrząc ze zdziwieniem na Wartalka, który śmiał się jeszcze bardziej.

— Jutro, jutro je zobaczysz! Myślisz, żem ja głupi... „Proszeńje” zaadresowałem do siebie; jutro je odbiorę... Do sądneho dnia może bestya czekać, nim sąd jego skargę zobaczy... i osądzi... Cha! cha! cha!...

Chaim otworzył usta — imponował mu spryt Wartalka. Ten widział to i ciągnął dalej...

— Powiadam ci, Chaimku, póki chłop będzie, głupi, póty ja i ty, my obaj nie przepadniemy!...

Chaim westchnął i uśmiechnął się słodko, jakby prosząc nieba, żeby chłop jaknajdłużej był głupi.

— Delikatny rozum!... *Auf meine munes...* delikatny rozum!... — szepnął zcicha.

I dwaj dobroczyńcy ludu spojrzeli na siebie.

02084

CZY WRÓCI?

Zostańcie z Bogiem—mówił Jakób, żegnając swoich, — na święty Michał do dom powrócę i znów do wiosny z wami останę. Da Bóg, człek tyle zarobi, że będzie chleba dla wszystkich...

Stara Bartkowa nieruchomie siedziała na ławie; ręce skrzyżowała na kolanach i patrzyła przed siebie, jakby nie słysząc słów syna. Może myślała o Antku, co poszedł łońskiego roku flisować i dotąd nie wrócił. A stary — toć i on gdzieś się zaprzepaścił. Jeden Jakób jój został, a i ten, jak tylko lody puszcza, w chacie wytrzymać nie może i w świat gdzieś leci.. Powoli spojrzała na synową, która stała pod oknem, ocierając raz po raz łzę fartuchem. I ta miała czas przywyknąć do wypraw męża, a jednak markotno jój było i łzy jak groch po twarzy jój spadały.

— Idźcie z Bogiem, Jakóbie — mówiła. — Niech wam Matka Boska błogosławił...

— O chłopaku, Jaguś, pamiętaj — dodał mąż po chwili, — niech rośnie na flisa...

Jasiek, jakby przeczuł, że o nim mowa, wyciągnął ręce ku ojcu z podłogi, na której siedział przy dzieży. Jakób przykucnął, pożegnął go i do piersi przytulił.

— Jakóbie! — odezwał się głos z za okna. — A chodźta, bo już nie sporol...

— Zara, zara idę, Szymonie...

Zarzucił na plecy tobolek, wziął wiosło, co pod ścianą stało, jeszcze raz uściskał swoich i wyszedł z chałupy. Za nim wysunęła się żona i u progu stanęła.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki...

Odeszli. Jakóbową stała dalej w progu, patrząc za odchodzącymi. Uszli niewielki kawałek i Jakób się odwrócił:

— Jaguś!...

— Czego?

— A pamiętaj na święty Jan dać na mszę świętą...

I znowu uszedł kawałek.

Teraz ona zawołała:

— Jakóbi!

— Czego?

— Niech cię Bóg prowadził...

Droga wiodła przez wzgórek. Jeszcze raz się Jakób za siebie obejrzał. Już nic nie mówił — chwilę popatrzył tylko ku swoim, machnął kapeluszem i zbiegł ze wzgórza. Białe wiosło zabłysło w słońcu i znikło.

Czy wróci?...

WYRODNA.

Miała zaledwie lat osiemnaście, kiedy została matką.

Nie było przy niej ani wyperfumowanego lekarza, ani doświadczonej damy, któraby dziecko przyjęła; szczęściem, że jęk chorąg usłyszała stara śmieciarka, mieszkająca z nią razem, i przybiegła z pomocą.

— Pan Bóg dał dziewczynę... — mruzczała stara, podając matce dziecko, zawinięte w szmaty, dziś bodaj jeszcze znalezione w śmietniku.

— Dziewczynę... — jak echo powtórzyła matka i przycisnęła dziecko do piersi.

W tém jedném słowie mieściło się wszystko: żal, radość, wyrzut i zwątpienie. — Cemu nie dała życia chłopakowi? Możeby go lepszy los spotkał na świecie, a dziewczynę cóż czekać może?... ponieważ między obcymi i hańba — ot wszystko! Chłopak zawsze łatwiej da sobie radę... Toć i jej ojciec nie-

raz złorzeczył, że się dziewczyną urodziła, że tylko kłopot z nią będzie, aby ustrzedz... Cha! cha! cha! nie ustrzegł i z domu wypędził — Została bez dachu, bez chleba, bo sprawca jój nieszczęścia ani myślał troszczyć się o nią, témbardziej teraz, kiedy lada dzień mogły nań spaść nowe obowiązki. Błagała się bez przytułku dni kilka, wreszcie spotkała starą śmieciarkę, która ją przygarnęła do pustej izby na strychu... i tu została matką.

A co potem?..

Co potem? Alboż ona wie sama! Dziecko jój mlekiem żyć będzie, ale czém ona?..

I zaczęły się dni straszne. Dziecina nieustannie płakała u wyschlęj piersi matczynej, a matka godzinami nasłuchiwała, czy stara Pawlikowa idzie. Nigdy chyba Opatrzność nie wyglądała tak wstrętnie, a jednak, gdyby nie Pawlikowa, z głodu obojgu umrzęćby przyszło. Stara dzieliła się z nimi nędznym zarobkiem, robiła dla nich co mogła, wybrała się nawet do Wachy, ojca dziewczyny, ale stary tracz ani chciał słyszeć o córce. „Chciało jój się — mówił, — to ma; niech teraz z głodu zdycha!...” I dumny był ze swojej stałości.

Tak przeszło parę tygodni.

Wachówna snuła się po poddaszu, zbyt słaba jeszcze, aby jąć się jakiej pracy. Zkąd

zresztą mogła mieć siły! przecież ani ten chleb czarny, ani ta trocha mleka, które miała z łaski Pawlikowej, nie mogły jój pokrzepić, choć tak pragnęła być zdrową i silną. A dziecko, Boże zlituj się! Takie było blade i przezroczyste, jakby je z wosku białego zlepieno. Coraz cichszym płakiwało głosem, — lada dzień, zdawało się, zamilknie na zawsze.

Przeszedł znów tydzień, gdy jednego południa Pawlikowa nie przyszła do domu. „Musiała zająć gdzieś daleko” — myślała Wachówna i zwlokła się z barłogu, aby zejść na dół, do izby, zajętej przez paru żebraków, nędzarzy takich jak ona. Gwaro tu było: Mikołajek, udający ślepego pod kościołem, opowiadał jakąś strasznie zabawną historję, z której nawet stary Szczudło, sprawujący obowiązki zwierchnika tej żebraczęj zgrai, śmiał się do rozpuku. Chwilę zatrzymała się u drzwi, nie wiedząc, czy ma wejść do izby, gdzie jój nie lubiano; myśl jednak o dziecku wzięła górę. I dobrze się stało, bo Mikołajek, jedyny, który ją lubił, wyciągnął z sakwy starą bułkę i dał ją Wachównie.

— To dla panny — mówił, — a tu cztery grosze na mleko dla pędraka; uważaj jeno dobrze panna, co ci powiem: sklepiczarka niech daje mleka od czarnej krowy, bo siwe

są węższe w biodrach i bez to kiepskie mleko dają, a dla takiej żaby, jak panina, zawsze lepij, gdy mleko gęściejsze...

Niedługo była z powrotem. Nakarmiła dziecko i siadła skulona w kącie izby ze śpiącym maleństwem na kolanach. Godzina mijała za godziną; ściemniło się, noc przyszła — Pawlikowój nie było.

— Boże, mój Boże!... — szeptała, nadsluchując kroków opiekunki.

Gdy rano otworzyła oczy, siedziała w tém samym miejscu, co wczoraj. Spojrzała w kąt, w którym sypiała stara, i przerażona krzyknęła. Był pusty... A więc odepchnięta przez swoich, shańbiona, oplwana, ma stracić i tę ostatnią rękę, która szła jój z pomocą?... Dziecko, dziecko! co się z niem stanie?... Nie, Pawlikowa wróci, musi wrócić!... I chciała biedz, ale sił jój zabrakło. Bezwładna upadła na barłóg z maleństwem, które zaczęło płakać żałośnie.

Trzeba było jednak coś przedsięwziąć, szukać gdzieś rady; utuliła więc dziecko i powoli wsunęła się do żebraczj izby; może tam znajdzie pomoc, może i dziś Mikołajek będzie tak szczodry, jak wczoraj. Mikołajka nie było — poszedł na odpust, zastała tylko Szczudłą i Okonia.

— Nie widzieliście Pawlikowój? — zapytała nieśmiało.

— Niéma jój to? To się pewno spiła i zdechła gdzie pod ścianą — mówił Szczudło, z pode łba patrząc na Wachównę; — nibyto ona pierwsza!

— Więc może nie wróci?

— Cóżes panna myślała?... Może w karecie mają ją odwieźć do domu?... Zapewne! jeszcze czego!...

Wachówna czuła, że nogi pod nią się chwieją.

— Dajcie co dla dziecka... — szepnęła ledwie dosłyszalnym głosem.

— Eee, nie zawracałabyś panna głowy! Będę tam opychał jakiegoś znajdę... Aha!... Jak rak świśnie... nibyto ja głupi! Niech go raz dyabli razem z panną biorą!...

Łzy jak groch spadały po jój twarzy. Wiedziała, że głos Szczudły w téj izbie jest prawem, którego nikt złamać się nie odważy, nawet Mikołajek. Ale może ona go zdoła zmiekczyć, uprosić — szepce więc raz jeszcze:

— Nie dla mnie... dla dziecka!...

Stary stracił cierpliwość.

— Wynoś się panna — wrzasnął, — pókim dobry!

I zamachnął się kulą, którą trzymał w ręku.

Z pustemi rękoma wróciła na górę... Jak Pawlikowa i dziś nie wróci, co będzie?... Może ona nie wraca, aby się pozbyć ciężaru, który nie wiedzieć czemu przyjęła na siebie... a może naprawdę umarła na ulicy?... Kto ich teraz wspomże, kto dziecko przytuli?... Ojciec?... Czyż po to wypędzał córkę, która włos jego siwy shańbiła, aby ją przyjąć z owocem tej hańby?... „Niech z głodu zdycha!” — wołał do Pawlikowej i nigdy przekleństwa nie cofnie. — Matka może?... W grobie!... A „on?” Nie, nigdy, nigdy!... I zerwała się z barłogu.

Na twarz jej wystąpiły ceglane rumieńce. Nogi drżały pod nią — czuła, że się w niej coś dziwnego dzieje. To nie głód, o, nie! wszak ona do głodu przywykła...

Nagle jakaś myśl straszna przemknęła jej przez głowę: jak szalona schwyciła się oburącz za piersi i z przerażeniem patrzyła na dziecko, które u nóg jej leżało skulone wśród szmat i śmieci. Jedna myśl teraz tylko ją zajmuje: jak ona umrze, co z dzieckiem się stanie?... „Dziecko, moje dziecko!” I nieprzysotomna pięścią zatyka swe usta, aby jak pies nie wyła...

Z krzykiem runęła na ziemię...

Gdy się znowu ocknęła, było już ciemno. Strach niepojęty zaczął ją ogarniać; bała się

wszystkiego: ciemności, ciszy, a nadewszystko samej siebie. Dziecko swym płaczem rozdzierało jej serce. Czuła, że gdy tu pozostanie dłużej sam na sam z dzieckiem, stanie się coś strasznego. Chciała biedz sama szukać pomocy... Ale gdzie, u kogo?... A jeśli tymczasem dziecko jej skona? Jeżeli ona sama gdzie padnie na ulicy, jak Pawlikowa? — bo ona umarła, musiała umrzeć! Czyżby inaczej nie była już dotąd wróciła?... Tak, tak! a jeszcze chwila wśród tych ścian pustych, z tym płaczem dziecka... Boże, bądź miłosierny!...

Chwilę stała nieruchoma, jak posąg boleści. Waha się jeszcze, ale nie! niech dzieje się, co stać się miało — niema innej rady... Z gorączkowym pośpiechem wzięła maleństwo swoje, ucałowała w białe usteczka i zawięła w szmaty, a potem powoli wyszła z nim na ulicę.

Zniknęła w cieniu...

* * *

Nazajutrz czytaliśmy w „Kuryerze” co następuje:

„Wyrodna!

Gdzie teraz nie podrzucają!

Niedługo, zdaje się, dojdzie do tego, że, postawiwszy cylinder w cukierni na stole,

nie będzie można być pewnym, czy, wychodząc, nie znajdzie się w nim podrzutka.

Wczoraj, naprzykład, państwo L. bawili wieczorem u swoich znajomych w Alejach Jerozolimskich—przed domem stała karetka.

Wychodzą i — o dziwo! — w karecie znajdują dziecko, zawinięte w szmaty, które wyrodna matka tam podrzuciła.

Państwo L., ludzie bogaci i bezdietni, aczkolwiek w pierwszej chwili byli mocno zdziwieni tym podarunkiem, chcieli dziecko przyjąć za swoje, — niestety jednak, jak nam donoszą w tej chwili, dziecko przed godziną zmarło z wycieńczenia.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa wyrodna matka chciała zamorzyć je głodem i gdy to jej się nie udało — podrzuciła!

Zbrodniarki poszukują...”

Nieco zaś niżej, między wypadkami:

„Na rogu Alei Jerozolimskich i Smolnej znaleziono wczoraj wieczorem nieprzytomną kobietę, lat około dwudziestu, którą odwieziono do szpitala Dzieciątka Jezus. Niepodobna było dowiedzieć się jej nazwiska. W gorączce mówiła ciągle o jakimś dziecku i nad ranem zmarła.”

KONIEC



Z
V
C
M
K
B
Z
P
Ś
W
Cz
W

